# PRZEGLĄD

# POZNAŃSKI.

---

## PISMO MIESIĘCZNE.

---

### Poszyt VIII.

MIESIĄC SIERPIEŃ.

1847.

POZNAŃ.
CZCIONKAMI W. STEFAŃSKIEGO.

IMPRIMATUR.

Poznań, dnia 10. Sierpnia 1847.

Czarnecki, Cenzor.

# O Kodexach Dyplomatycznych Polski.

Powitaliśmy z niemałą radością Kodex Dyplomatyczny Polski, wydany w Warszawie:

*Codex Diplomaticus Poloniae, quo continentur privilegia Regum Poloniae, Magnorum Ducum Lituaniae Bullae Pontificum nec non iura a privatis data illustrandis domesticis rebus gestis inservitura adhuc nusquam typis exarata ab antiquissimis inde temporibus usque ad annum 1506 edita; studio et opera Leonis Rzyszczewski et Antonii Muczkowski Adiutoris Varsaviensis Tabellarii publici Regni Poloniae notis adornatus usque ad Nrum CVII ab Antonio Sigismundo Helcel Juris Utriusque Doctore. Tomus I. Varsoviae. Typis Stanislai Strąbski 1847. 4° XXIII. 367. LXXII.*

Z wielu względów publikacya ta na wielką zasługuje uwagę. Cała umiejętność dzisiejszego świata rzetelniejszy od niejakiego czasu wzięła kierunek; kiedy bowiem skeptycyzm przeszłowieczny lub brudny materializm, nie zadowolniwszy umysłu ludzkiego, popchnął go na bezdroża czczéj ideologii, historiografia, stósując się poniekąd do rozmarzonéj filozofomanii, nietylko zaniedbała swych obowiązków nauczycielki, ale nadto pomagała wybrykom, nakręcając rzeczywistość przeszłą i obecną do dziwacznych wymagań idealistów. Głębokie pomysły, któremi Giambattista Vico śledził mądréj Opatrzności w dziejach ludzkich, Herdera i Lessinga uważanie historyi starał się Fichte w ten sposób wykrzywić, iż nie dzieje winny być badania filozoficznego podstawą, ale

idealna konstrukcya a priori jest właściwém historiografii źródłem. Hegel w swym systemie bez serca i ducha dopiął tego celu; zamiast historyi wstąpiła na katedrę historiozofia naznaczająca każdéj epoce i każdemu nieomal człowiekowi w dziejach wielkiemu komóreczkę w kategorycznym magazynie nowéj a niesłychanéj umiejętności; wszystko winno było służyć domysłom i wymysłom mędrców katedrowych, a ztąd historia w najdziwaczniejszą wyrodziła się chimerę. Sądzono, iż wszystkie odkryto tajemnice, a wszystko, co nie służyło do potwierdzenia systemu i owszem na słabe jego strony zwracało uwagę, pomijano bezwzględnie, lub wskazywano mimochodem jako przedmiot małéj wagi, jednem słowém: tłoczono historią, ten akt wolności ludzkiéj kierowanéj mądréj Opatrzności wolą w prassę martwego systematu złożonego z koniecznych kategoryi. Ten kłamliwy sposób pisania historyi poczęty w szkole filozofów niezmierny wpływ wywarł na umiejętności historyczne i wkrótce poczęto nawet i tam tego się chwytać sposobu, gdzie filozofią uważano za mrzonkę, a jéj zasady za czcze wylążki chorobliwéj wyobraźni. Nie podzielano ogólnie zasad filozoficznych, ale ku usprawiedliwieniu swych osobistych lub stronniczych widoków i dążności wystawiono historyą ze stanowiska jednostronnego przywidzenia. I w tém upatrujemy najszkodliwsze wpływy filozofii na historią. Tak w Niemczech Rotteck najpopularniejsze dziś dzieło historyczne swe napisał, zapatrując się z ciasnego obrębu konstytucyi badeńskiéj na historią kilkudziesięciu wieków i całéj kuli ziemskiéj, tak i u nas zaczęto robić historyą pod najrozmaitszemi wpływami i z najróżnorodniejszych stanowisk się na nią zapatrując, a wszędzie i zawsze zatrzymując na widoku tę jedną ciasną myśl, którąbyśmy chcieli poprzéć dziejami i dla któréj stwierdzenia właściwie pisze się dzieło. Myśl ta zwykle w przedmowie wyrażona, albo niezręcznie na pierwszych stronnicach ukryta, wystawia się z początku czytelnikowi jako podobne do prawdy przypuszczenie, w ciągu dzieła nabiera jasności i mocy, a w końcu tak przekonywająco

i wymownie do wszystkich nieostrożnych przemawia, iż odtąd gotowi nowe dla jéj twierdzenia i poparcia robić poszukiwania, podejmować mozoły i pisać dzieła. Takiemi historyami mianowicie dziejów polskich jesteśmy opatrzeni, bo od lat dwudziestu szczególnie sekciarskie piśmiennictwo ważną u nas odgrywa rolę — łożono w tym celu wiele pracy a wiadomości i bez wątpienia zasługują i takie dzieła na uwagę, aczbykolwiek stokroć większą przyniosły korzyść i literaturze i życiu, gdyby bez jednostronnego uprzedzenia zapatrywano się w nich ze stanowiska występujących w dziejach osób i ich intencyami mierzono spółczesne wypadki. Najznakomitsi u nas z tego rodzaju pisarze są Joachim Lelewel, W. A. Maciejowski, J. Moraczewski i autor Piastów. Dzieła ich, z rozmaitych pisane stanowisk i w rozmaitych celach, pomimo swéj względnéj wartości, na tę zasługują naganę, iż nakręcają dzieje wedle swego upodobania, a nie trzymają się rzeczywistości rzetelnie. Nigdzie tak dowolna ta historiografia nie była rozpowszechnioną i tyle prawdziwie nie narobiła historycznéj szkody jak w Niemczech, dla tego też w nowszym czasie, gdzie umysły przy szczeréj rzetelności wytrzeźwiały z szału, nigdzie gorliwiéj nie zajęto się głębszém badaniem źródeł dziejowych jako też i ich zbiorem jak tutaj. Francya winna wiele Benedyktynom a Sancto Mauro, Du Montowi i Bouquetowi, Włochy mają swego Muratorego, Anglia szczyci się Rymerem, 1) w Niemczech dawniéj wskazał tór Leibnitz, a w nowszych czasach, począwszy od olbrzymich, ale za to płonnych zamysłów Barona Stein, stało się bardzo wiele. Paleograf i dyplomatyk sławny Pertz, Boehmer, Józef Chmel, książe Lichnowski, Doenniges, Jacobi, Boczek, Palacki, Raumer, Riedel, Stillfried, Voigt zdziałali bardzo wiele już to dla ogólnéj historyi Niemiec już też dla pojedyńczych

1) Rymer na rozkaz królowéj Anny z woli Parlamentu wydał obszerne wszelkiemi publicznemi wsparte zasobami: Foedera, Conventiones, Literae et eius generis acta publica inter Reges Angliae et alios Principes ab anno 1101 ad annum 1625. Londini 1704—1718. XVII. Voll. folio.

części. 1) — U nas zbierają pamiętniki, relacye, instrukcye, ale o źródłach dyplomatycznych mianowicie odległych wieków mało kto pamięta. — Kodexów Dyplomatycznych mamy dopiero trzy i to bardzo niezupełne. Położenie obecne, utrudniona okolicznościami nieprzyjaznemi kommunikacya, wszechstronne na stósunki względy nie pozwalają nam takich dzieł podejmować, jakie widzimy porozpoczynane we Francyi i Niemczech pod okiem i opieką przyjaznego rządu; ale winni jesteśmy według możności usilnie pracować w połączeniu i wspieraniu wzajemném sił, aby rozpierzchnięte i rozrzucone zasoby nie ginęły bez użytku, ulegając pastwą nie tak niszczącego czasu, jak raczéj nikczemnéj zazdrości, lub wygodnego lenistwa.

Pierwszy się do takiéj pracy wziął za czasów Augusta III. Ksiądz Maciéj Dogiel Pijar (ur. 1715 † 1760). — Źródła jemu wszędzie stały otworem, okoliczności więcéj jak teraz sprzyjały, ale dzieło to zamierzonego nie doszło kresu; tylko trzy tomy wyszły. Pomimo wszelkiéj protekcyi, jakiéj uczony ten Pijar ze wszystkich stron nieomal doznawał, nie zdołał dzieła dokonać. Xiążę Fryderyk Michał Czartoryski, Kanclerz Wielki Litewski, Jan Małachowski, Kanclerz Wielki Koronny, Wodzicki, Podkanclerzy Litewski, Józef Załuski, Referendarz Stanu wspierali go czynnie radą i usuwaniem wszelkich trudności; Dębowski, Biskup Kujawski oddał mu nawet do publikowania zebrane własném staraniem dokumenta tyczące się summ wywiezionych przez Bonę, a za Filipa II. Króla Hiszpanii, do Neapolu przeniesionych, a ztąd znanych pod nazwiskiem summ Neapolitańskich, ale wszystkie te starania pomimo najmozolniejszéj Księdza Dogiela pracy, ani połowy zamierzonego planu nie doprowadziły do skutku. W kraju jedynie tylko do tajnego archiwum Rzeczypospolitéj nie znalazł przystępu, tak iż się uskarza, że, chociaż wszystko dla niego stało otworem, z tego archiwum ani nawet spisu dyplomatow dostać nie mógł (Archivum

1) Przegląd Poznański. Rok 1845. Tom I. str. 327—330.

Reipublicae Sanctius, privatis omnino interdictum, cuius cum caeterorum mihi copia fieret, ne indicem quidem habere potui). 1) — W podróżach swych znalazł przystęp do Archiwów zagranicznych i powziął myśl wyszukiwania dyplomatów tyczących się dziejów polskich, kopie nagromadzone uporządkował; ale, gdy dla sprawdzenia ich w celu publikacyi porównał je z oryginałami w krajowych archiwach zachowanemi, taką znalazł różnicę, że sądził, iżby było również rzeczą próżną publikować dyplomata niepewnéj i owszem bardzo wątpliwéj powagi, jak poprawiać je z Metryki Koronnéj, 2) a na zachęcenie znakomitych protektorów przedsięwziął krajowe dokumenta uporządkować i ogłosić. Już miał dzieło w daleko większéj części ukończone, pracuje nad niém w Warszawie gdy nieszczęsnym wypadkiem dom, w którym się znaj-

1) Dogiel I. Praef.

2) Metryką koronną nazywał się spis wszystkich praw, przywilejów, nadań godności i dóbr jako też wszelkich innych z Kancelaryi Królewskiéj pod dozorem kanclerza wielkiego i podkanclerzego wychodzących pism. Te tamże do akt wciągano ku wygodzie tych, którzy po zagubieniu tychże przywilejów potrzebowali dokumentów autentycznych i ku zabezpieczeniu się przeciw fałszerzom arbitralnym i tak ongi nie rzadkim. Metrykę znajdującą się w obozie Władysława Warneńczyka Turcy do Stambułu zabrali. Zygmunt Stary roku 1538. zalecił baczną pieczę nad Metryką Koronną Kanclerzowi i Podkanclerzemu, dodając im ku pomocy przysięgłych pisarzów. (Bielski kron. p. 380. Herburt Statut p. 57. s. v. Cancellaria. Januszowski Statut p. 289). Najbliższymi dozorcami Metryki byli Metrykanci mianowani przez kanclerza (Łubieński Opp. posth. p. 219) i za jego urzędników uważani, po zgonie tegoż wtedy tylko przy urzędzie pozostając, gdyby ich potwierdził następca. — Tylko za Jana III. Metrykantom Koronnym w kancelaryi większéj i mniejszéj Marcinowi Ładowskiemu i Mikołajowi Schultzowi urząd na dożywocie zapewniono z zastrzeżeniem zachowania zwyczaju dawnego po ich zgonie (Konstyt. z r. 1677 p. 18 s. t. Metryki Koronne). — Szlachta za wyciągi czynione z Metryki opłacała od Zygmunta starego według ustawy z roku 1511 nagrodę według stałéj taxy, mieszczanie, żydzi i cudzoziemcy zaś o nagrodę z urzędnikami kancellarii układać się musieli. (Herburt Statut pagina 57 — 58 sub voce Cancellaria. Januszowski Statut pag. 290). Uchwalę tę ustawa publiczna z roku 1550 zatwierdziła. (Volumina Constit. p. 7. §. kancelarya). — Zobacz Lengnicha Jus Publicum Regni Poloniae Lib. III. Cap. VIII. §. 40—41.

dowały zebrane materyały, staje się łupem pożaru, a z domem niweczy się długoletnia Dogiela praca. Niezmordowana wytrwałość po trzeci raz do tejże saméj pracy zachęciła Dogiela i zamierzył sobie dzieło wielkie założone na ośm tomów. Gdyby wszystkie były szczęśliwie wyszły, nie bylibyśmy się potrzebowali skarzyć nań, że więcéj na wydział spraw zewnętrznych zwrócił swą uwagę 1) niż na rozwinięcie stósunków krajowych w politycznym i socyalnym względzie, bo tom siódmy byłby i w tém zaspokoił zapewne nasze oczekiwania, ale i to przyznać musimy, że praca księdza Dogiela, mając i zkąd innąd trudności, z tego mianowicie względu zasługuje na pobłażanie, że była u nas pierwszą, a po trzykroć podejmowana ostudziła zapał i nadwątliła siły. Ztąd także wytłumaczyć sobie można łatwo, że redakcya dzieła nie odbywała się z koniecznym przy takich przedsięwzięciach porządkiem. — W przeciągu sześciu lat od roku 1758. do roku 1764 wyszły trzy tomy in folio w Wilnie ex typographia Regia et Reipublicae Collegii Scholarum Piarum. C. C. R. R, tak iż pierwszy tom wyszedł r. 1758, piąty tom roku 1759, tom czwarty 1764. — Tom drugi i trzeci był już przysposobiony do druku, ale ustawiczne zawieruchy i ciągły niepokój, jaki wtedy zakłócał stósunki krajowe, śmierć wreszcie księdza Dogiela odwiodły uwagę publiczną od tego przedsięwzięcia, a w czasach przyjaźniejszych pracom takowym nie znalazł się nikt, ktoby się pokusił o sławę udziału w pracy pilnego Dogiela. Rękopisy pozostały w bibliotece XX. Piarów we Wilnie, przeszły potém podobno do biblioteki Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Warszawie, a ztamtąd wywiezione zostały do Petersburga. Późniéj kanclerz Rumiańców przeznaczył kilkadziesiąt tysięcy złotych na wydanie Dogiela rękopismów, ale że Linde, któremu tylko dzieło to chciał powierzyć, nie podjął się pracy przytrudnéj porównywania odpisów z autografami tak koniecznego dla

1) Raczyński. Codex Diplomaticus Majoris Poloniae pag. II. Rozbiory dzieł etc. Lelewela. Poznań 1844. pag. 318.

łatwych pomyłek wynikających z częstego przepisywania, dobre intencye Rumiańcowa zostały niewykonane.

Ten nieporządek co dopiero wzmiankowany w pracy Dogiela wytłómaczy nam także usterki niektóre tyczące się krytyki albo redakcyi. Dokumenta, które według planu dzieła na dwóch miejscach mogłyby być umieszczone, raz stoją tylko treściwie w kilka słów ujęte, a drugi raz przytoczone zupełnie. — Przez brak konsekwentnego porządku zdarzyło się więc, iż cytowane i zapowiedziane w pierwszym tomie dyplomata w następnych opuszczono, tak np. nie znajdują się pod rokiem 1566. dwa dyplomata Pruss się tyczące z dnia 18. Kwietnia i 8. Maja. Pierwszy: Literae recognitionis debiti decem millium florenorum Rhenanorum Joanni Alberto Duci Megalopolensi per Albertum Seniorem Ducem in Prussia factae. Regiomonti; drugi: Literae Inscriptionis Ducis Megalopolensis, quibus pollicetur se nullo unquam tempore Duci et Ducatui Prussiae in praestando auxilio defuturum esse, także dan z Królewca.

Ksiądz Dogiel rozłożył swą pracę według prowincyi dawnych Rzeczypospolitéj Polski a zagraniczne stósunki uporządkował miejscowo, tak iż ośm tomów pracy jego następujący miały mieć plan:

Tom I. Czechy, Węgry, Austrya, Dania, Bawaria, Marchia Brandenburska, Wenecya, Saxonia, Francya, Brunświk, Hollandya, Siedmiogród, Szląsk, Pomorze, Marchia Nowa, Multany, Wołosze, Bessarabia.
Tom II. Rossya, Turcya, Krym, Szwecya, Neapol.
Tom III. Litwa, Mazowsze, Ruś, Podole, Ziemia Bełzka, Starostwo Spizkie, Xięstwo Siewierskie, Oświecimskie i Zatorskie.
Tom IV. Prussy.
Tom V. Inflanty.
Tom VI. Bulle Papiezkie, Konkordaty, Ordynacye Duchowne, Statuta tyczące się spraw religijnych.
Tom VII. Prawa, Swobody, Przywileje, Statuta i Konstytucye Reczypospolitéj.
Tom VIII. Supplementa i Regestra Chronologiczne.

Najstarszy dyplom przez Dogiela podany jest z roku 1067., ale tak niezręcznie fałszowany, iż, jak Naruszewicz już dostrzegł, na pierwszy rzut oka i nieświadomość i nierzetelność fałszerzy okazuje. Tyczy on się kościoła parafialnego w Górze (Guhrau) w Szląsku a mianowicie dotacyi jego i uprzywilejowania jako też exemcyi od ceł i podatków przez Rafała Krzyżaka (Supremus Tetrarcha Militiae Hierosolymitanae) szczycącego się posiadaniem miecza Piotrowego. Podaje tenże dokument, że akt dotacyi dzieje się roku 1067. za Mikołaja II. Papieża a Bolesława króla polskiego, gdy tymczasem Mikołaj II., wstąpiwszy na tron roku 1058. umarł roku 1061., a roku 1067. siedział u steru łódki Piotrowéj Alexander II. (1061—1073.) Podał go najprzód do publicznéj wiadomości ksiądz Albert Jerzy Weierzig, proboszcz z Góry 9. Lipca roku 1663., żądając tak od władzy duchownéj jak od władzy świeckiéj potwierdzenia onegoż dokumentu; sam nieostrożny w podaniu lub zaspokojeniu się fałszywemi datami znalazł i we władzach nieoględnych dozórców i ściągnął na się podejrzenie nierzetelności lub też najgrubszéj przynajmniéj niewiadomości. Naruszewicz (Tom II. pag. 453, edit. Ia) dowodzi już najoczywiściéj fałszywości tego przywileju. Donator Rafał nazywa się hierozolimskiego rycerstwa dowódzcą, a dopiero roku 1099. pierwszy zakon mieczowy Szpitalników otworzył Gerhard w Jerozolimie. Naruszewicza wniosek z fałszywéj daty roku 966., w którym miał fundować podług tego dokumentu Bolesław Chrobry kościoły katedralne, urodzony dopiero 967. roku, dałby się tem unieważnić, że bardzo często nawet w autentycznie prawdziwych przywilejach owych czasów, fałszywe znajdują się data historyczne. — Ale wspominanie Konsulów i Prokonsulów miasta (civitatis) jako też Kawalera Maltańskiego Maura, azatem instytucyi daleko późniejszych, naocznie o fałszerstwie nas przekonywa. — Prawo niemieckie miast dopiero po stu latach za Henryka Brodatego do nas wprowadzono a o Kawalerach Maltańskich dopiero po przeniesieniu rycerzy Jana Ś. z Rhodu do Malty roku 1530. można mówić.

Przytém tok stylu tak jest niewłaściwy wiekowi jedenastemu, iż nie pozostaje pod względem autentyczności tego dokumentu żadnéj wątpliwości.

Wielce zajmujące są dyplomata tyczące się Prus, umieszczone w tomie czwartym. Wszystko, co w dzisiejszych dziełach czytamy o gwałtach i bezprawiach Krzyżaków, nie odkrywa nam ani małéj cząstki obmierzłéj chciwości i samolubstwa korporacyjnego tych najezdników, wypielęgnowanych jako wąż zmarzły u łona ciepłego Polski, i tym samym co wąż jadowity wypłacający się odwetem wdzięczności. Polska ich przyjęła dla nawrócenia Prusaków pogańskich i uposażyła ich hojnie. Stolica Apostolska już rychléj, bo 1) 1212. roku przez olbrzymiego swego sternika Innocentego III. (Idib. Aug. Signiae) napominała książęta Polski i Pomorza, by nowo nawróconych nie uciskali Prusaków i Krzyżakom lenność przez Konrada księcia Mazowieckiego jako też przez królów polskich powierzoną pod tym zatwierdziła warunkiem, aby ziemie nowo nabyte nie na własnych wygód zasoby, ale ku chwale Bożéj a dusz pożytkowi obracali. Wyraźnie we wszystkich do nich listach, brewach i bullach uważa ziemie przez nich dzierzone nie za ich własność, ale ku chwale Boga przyjmuje je Piotr Ś. *in jus et proprietatem.* — Bo taki był ongi na dzieje ludzkości pogląd, że wszystkie drobne ludzi sprawy w jedności harmonijnego akkordu przebrzmiewają aż w wieczności przestworza na chwałę Boga ku ludzi szczęściu, wszystkie jednostki rodzina wielka kościoła łączyła i wiązała z niebem myślą Bożą przezeń w rzeczywistość przeprowadzoną. Grzegórz XI. wyraźnie pisze do Konrada księcia Mazowieckiego ze Spoletu die V. Kal. Sept. anno Pontif. VIII. anno Dom. 1234., że część przez Krzyżaków na Prusakach zdobytą przyjmuje Stolica Apostolska na lennictwo i własność Piotra Ś. (in jus et proprietatem S. Petri suscepimus) i wyraźnie wymaga, aby przez tychże Krzyżaków pomnażała się chwała Boża (ut per ipsos am-

1) Dogiel IV.

plictur gloria Creatoris). Także samo dekretuje r. 1257. Alexander VI. z Viterbo, nakazując rozkrzewienie wiary, fundowanie biskupstw i kościołów i pozostawia sobie w tym względzie dalszą rzeczy dyspozycyą (die Kal. Aug. anno pontif. III. Porównaj tegoż brewe w Anagni die VIII. Kal. Febr. Pontif. anno VI. a. ch. 1260). — Ale przestarzała i już ku upadkowi się chyląca korporacya, przeszczepiona z ubóstwa i jego obrony przy grobie Chrystusa na bogactwo i jego niebezpieczeństwa rozliczne, niezrozumiała już głosu Ojca rodziny katolickiéj i gwałty oburzającemi ustawicznie dowodziła téj głuchoty na słowa prawdy. Mieli oni fundować biskupstwa, a niecne zbrojne mnichy wypędzały już istniejących biskupów i pasterzy, by ich dobytkami zalewać chciwe pragnienie wilczego gardła. I tutaj Ojciec Piotrowy wziął w obronną straż uciśnionych: Klemens V. Papież Janowi Arcybiskupowi z Bremen i Albertowi z Mediolanu Kanonikowi Rawenneńskiemu, Kapelanowi swemu, zleca z Avignonu 19. Junii 1309. poszukiwanie bezpraw Krzyżackich, Jan XXII. roku 1331. wyklina Wielkiego Mistrza, Koncylium Bazylejskie r. 1446. przeciwko nim powstaje. Jest dokumentów pruskich 358 od roku 1212 do 1739. Wszystkie są dla czytelnika nader zajmujące, bo w nich tak jasno przebija się duch, który wtedy te czyny poruszał i na jaw wyprowadzał. Każdy dokument nie jest, jak to twierdzą nieświadome mędrki, szpargałem pergamenowym, ale tych wypadków naocznym i nadusznym świadkiem; tak się jasno przezeń przebijają myśli, uczucia i dążności działających osób, opowiadanie jest tak czyste i nieskażone przez wkradające się subjektywizmu błyskotki, fakta tak wolne od swywolnego naciągania, iż trudno nie wyrzec, że kto chce ducha historyi zbadać, darmo go będzie szukał po broszurowych historyach dziewiętnastego wieku, ale zajrzeć mu należy do zbutwiałych zwojów lub ich wiernych publikacyi.

Przychodzimy z kolei do Kodexu Dyplomatycznego Wielkiéj Polski, wydanego za staraniem Raczyńskich. Edward Raczyński wydał roku 1840. przysposobione już

dawno materyały przez Kazimierza Raczyńskiego i Ignacego Raczyńskiego. Obaj mieli wielką do tego sposobność i łatwość: Kazimierz już jako Marszałek Nadworny Koronny, a późniéj jako Generał Wielkopolski starał się o zachowanie dyplomatów, które po archiwach miejskich zastał, i kazał porobić wierzytelne ich kopie; Ignacy zaś jako Biskup Poznański, a późniéj Arcy Biskup Gnieźnieński, zebrał po części dokumenta tyczące się diecezyi Poznańskiéj i Gnieźnieńskiéj. To wszystko zebrał Edward i ogłosił pod tytułem: *Codex Diplomaticus Majoris Poloniae in quo exhibentur Bullae Pontificum, Donationes Principum Privilegia Urbium, Monasteriorum et Villarum, Litterae Libertatis et alia varii argumenti diplomata ad historiam ejusdem provinciae spectantia ab anno 1136. usque ad annum 1197. collectus a Casimiro Raczyński Capitaneo Generali Majoris Poloniae et Mareschalco aulae regiae. Edidit Eduardus Raczyński. Posnaniae 1840. 4to pag. XXII. i 273.* Całe to przedsięwzięcie dość wyraźne nosi ślady swego powstania: Kazimierz Raczyński byłby się o inne jego postarał wydanie, gdyby się był publikacyi doczekał i Edward Raczyński byłby je inaczéj wypracował, gdyby nie był dla niego li tylko samym wydawcą. Co wydawca przypadkiem znalazł pod ręką gotowego do druku, co mu się tu i owdzie nadarzyło, to kazał ludziom widocznie rzeczy nieświadomym przepisywać i drukować, dla tego prócz indexu numerycznego i kilku trudniejszych nazwisk tłumaczenia, żadnego nie dodano krytycznego przyboru, a ile tego było potrzeba, to wykazał naocznie Lelewel w swym rozbiorze. Jak przypadkowo zupełnie kodex ten pod ręką drukarzy rósł, tego dowodzi Supplement dodany wynalezionych wśród druku a chronologicznym porządkiem nie objętych dyplomatów. Jest 162 dyplomatów według następstwa chronologicznego ułożonych, a że podczas druku jeszcze się znalazło 8 numerów, dopełniono niemi w supplemencie liczbę 170. — Wszakże już Lelewel wskazał, że liczba ta jest nieprawdziwa. Do tego dodano prócz óśmiu bardzo dobrze odciśnionych z kamienia dyplomatów dziesięć tablic z pie-

częciami gliptycznie przerysowanemi. Te dyplomata zajmują lata od roku 1136. aż do roku 1597.; ale to tylko pozornie sięgają do roku 1597., albowiem są i z lat późniejszych akta, z których najpóźniejszy jest z roku 1666. Pochodzi to ztąd, że dyplomata niepewnéj autentyczności albo nadpsute podawano w późniejszych czasach do potwierdzenia i dołączano niekiedy dokumenta czasów późniejszych do tego potwierdzenia dotyczące tegoż samego przedmiotu. — Kodex Wielkopolski niejednostajnie takie dyplomata ogłasza: już to pod rokiem pierwiastkowego dokumentu, już w roku potwierdzenia. Zdarza się więc wydawcy, iż, przytaczając pod rokiem dawniejszego aktu taką konfirmacyą, dołączone do niéj późniejsze nadania mieści pod jednym numerem i pod jednym rokiem a opuszcza ich wzmiankę pod rokiem dodanego nadania i tak np. pod rokiem 1513. (Ner CXL) jest dyplom z roku 1636. obejmujący jako konfirmacya dwa nadania, z roku 1513 i z roku 1616. — Wynika ztąd wielka trudność wyszukania dokumentów wcale w spisie nie umieszczonych a wcielonych do roku zupełnie niewłaściwego. Krom téj niedogodności wynikającéj tylko z niestaranności wydania, są jeszcze oczywiste grube pomyłki, jeden i ten sam dokument powtarza się dosłownie po dwa razy i więcéj: raz pod fałszywie wyczytaną datą, drugi raz pod datą dobrze wyczytaną. Wszystkie te usterki wykazał Lelewel, ale pracy najważniejszéj niedotknął, a przy takiém wydaniu ani o niéj myśleć nie można; jest to ocenienie autentyczności każdego dyplomatu, zadanie trudne, któremu tylko erudycya Montfaucona i Mabillona sprostać zdoła przy należytym zasobie źródeł i posiadaniu w ręku autografów. Póki przecież téj pracy się nie dokona, trudno ustawiać tablice genealogiczne z dokumentów niepewnych, trudno według nich stanowić o prawach i zwyczajach, trudno rozdawać krzesła senatorskie i ustawiać szyki kasztelanów i wojewodów, boby nieraz zapewne tę napotkało się trudność, żeby dwie osoby do jednéj godności w tym samym czasie rościć sobie mogły prawo. Lelewel, aczkolwiek napotyka na ta-

kie trudności, nie ma dość odwagi stanowić pewnego zdania i rzecz nierozstrzygniętą zostawia; jeżeli się bowiem roku 1284. comes Bosco *senatorem* mianuje, a roku 1314. Władysław Łokietek Vladislaus dei gratia *rex* Polonie pisze, aczkolwiek dopiero roku 1319. został koronowany, nie trudno stąd wnosić o fałszywości dokumentu, mianowicie że treść tych dyplomatów równie słuszne jak ich forma do podejrzenia nam daje powody. — Bosco w on czas senatorem zwać się nie mógł, bo senatorowie wtedy zwali się Praelati i Barones, a stan senatorski dopiero w XV. wieku ustalać zaczął swą powagę, stanem osobnym się mianując, tak że dopiero od roku 1496. za czasów Kazimierza Jagiellończyka a więcéj jeszcze 1505. za Alexandra stał się radą nierozwiązalną, do uchwalenia prawa władzą konieczną i przybrał dygnitarską powagę 1). Nie będziem się zastanawiali dłużéj nad tym kodexem, z wielką erudycyą aczkolwiek i z pobłażaniem łatwowierném ocenionym przez Lelewela; trzecią próbę wydania dyplomatów mamy w dziele, któregośmy tytuł wzwyż wymienili.

Sposób jego wydania i plan cały dzieła najlepiéj się da poznać z własnych słów przedmowy: — „Dla podzielenia pracy obraliśmy jednę tylko epokę dziejów naszych, to jest okres idący od najdawniejszych czasów, aż wyłącznie do panowania króla Zygmunta I. obranego na tron Polski 1506. roku, nie wyłączając jednak tych przywilejów, które on nadał, będąc jeszcze Wielkim Xięciem Litewskim. Wyczerpnienie téj epoki, pięć wieków w sobie obejmującéj jest właśnie naszem zadaniem.

Co do praktycznego obrobienia jéj następujące przyjęliśmy zasady:

1. Tom każdy zawierać ma w sobie ciąg chronologiczny dyplomatow od najdawniejszych czasów aż do roku 1506. idących i tym sposobem stanowić całość niezależną od tomów następnych z właściwemi sobie inde-

1) Łaski Statut f. 9652 f. 115 §. 2. — Lengnich: Jus publicum Regni Poloni Lib. IV. Caput III. §. 1—4. Caput IV.

xami. Co rok ma wyjść tom jeden składający się przynajmniéj z 200 dyplomatów i tęż samą obejmujący epokę.

2. Te tylko mają być umieszczane dyplomata, które się z oryginałów przepiszą, bądź wyjęte będą ze źródeł, których autentyczność żadnéj nie podpada wątpliwości. Za ogólne przyjęliśmy prawidło nie powtarzać tych, które gdzieindziéj już były drukowane; odstąpimy jednak od tego w tym przypadku, gdy mając pod ręką oryginał drukowanego już dyplomatu przekonamy się, że albo błędnie był wyczytany albo z błędnéj wydany był kopii, wtedy zamieścimy go w naszym zbiorze jako na większą zasługujący wiarę.

3. Na czele każdego dyplomatu ma być wypisana jego treść, zamiana daty na dzisiejszą, opisanie zkąd pochodzi i jakie są przy nim pieczęcie, warianty, (jeżeliby były dublety), nareszcie objaśnienia, które się koniecznemi być okażą. Chociaż przeciwko rozległym zbyt uwagom powstano w nowszych czasach, sprostowanie jednak imion, miejsc i osób, często w texcie zupełnie przekształconych, ważną jest bardzo przysługą dla osób zajmujących się pisaniem dziejów krajowych. Zresztą, chociażby tam i błędy jakie się wkradły, dyplomatyczne uwagi nigdy bez wartości i korzyści nie pozostaną. Co się dotyczy zamiany dat zwykle w dyplomatach używanych, niewypowiedzianą wdzięczność winniśmy P. Hieronimowi Duchowskiemu, który przez wydanie swéj tablicy z nomenklaturą Świętych i Świąt tak ruchomych jako i stałych, pod tytułem: Calendarium Catholicum w Warszawie 1844. r. umyślnie na ten cel sporządzonéj i ułożonéj podług dzieł najstaranniéj o tem traktujących, nadzwyczaj nam tę pracę ułatwił.

4. W wyborze dyplomatów będzie się zważać tylko na ich autentyczność: Królewskie czy książęce, osób świeckich i duchownych: słowem wszelkie publiczne i prywatne znajdą miejsce w naszym zbiorze, gdyż równie są ważne i zajmujące, skoro wyświecają przeszłość narodu i nieznane odkrywają wypadki.

5. W Indexach téj nadewszystko postanowiliśmy trzymać się zasady, aby jak najbardziej przyjść w pomoc wszelkim poszukiwaniom; zbyt obszerne i rozwlekłe odstręczają, zbyt krótkie nie są dostateczne Ułożyliśmy zatém jeden Index szczególny imion własnych, familii, herbów i t d.; drugi miast, wsi, rzek, jezior i t. d., trzeci nakoniec będzie zbiorem wyrazów średniowiecznych polskich, lub jeżeli się jakie znajdą sławiańskich, tudzież wszelkich innych, które miejsca znaleść nie mogą pod dwoma pierwszemi: wszystkie zaś mają być porządkiem alfabetycznym ułożone. Oprócz tego znajduje się na początku summaryusz wszystkich dyplomatów jak po sobie następują."

Wydanie typograficzne jest piękne i dość poprawne; błędy, których się ustrzedz mianowicie w językach obcych naszym typografom nieomal niepodobna, starannie wyszukane i w erratach podane; pisownia średniowieczna łaciny wiernie zachowana. — Tom ten zawiera Numerów drukowanych 200. od roku 1145 do roku 1506. na stronach 367 i oprócz tego trzy indexa obiecane w przedmowie z regestrem dyplomatów na czele dzieła położonym. — Regestra te są bardzo pilnie wykonane, bo nie tylko same nazwiska podają, ale zarazem wskazują przy każdém miejscu urzędników jego w kolei lat wymienionych w Kodexie. Taka sumienna troskliwość ustrzegła oczywiście wydawców od usterek, jakie dla braku wszelkich indexów popełniono przy wydawaniu Kodexu Raczyńskiego; niepodobno bowiem było tutaj powtórzyć jeden i tenże sam dyplomat po dwa razy; wydawca, przygotowując indexa, byłby błąd w téj chwili spostrzegł. A oprócz tego wykaz taki urzędników, jeżeliby tylko dyplomata wszystkie były wiarogodne, służyćby mógł do wyjaśnienia i ustalenia wielu stosunków historycznych. Nieznane dotąd imiona działających w dziejach urzędników Rzeczypospolitéj teraz wychodzą na jaw: a dzieje mogą im oddać sprawiedliwość nagrody lub kary. Pracę taką Lelewel w kilku krzesłach dygnitarskich podjął, wyciągając godności niektórych miejsc z Ko-

dexu dyplomatycznego Wielkiéj Polski; tutaj praca ta już ukończona czeka użycia ku wyświeceniu dziejów niedostatecznie objaśnionych. Sposób wydawania rocznie tomami po sobie następującemi, które mają obejmować dzieje od najdawniejszych czasów aż do roku 1506, zdaje nam się wygodnym dla wydawców, ale mniéj przydatnym dla użytkujących; nie będzie bowiem można konfrontować tak łatwo dyplomatów jednoczesnych; ale zawisło to zapewne od trudności, z jakiemi przychodzi wydawcom walczyć w poszukiwaniu i zbieraniu dyplomatów.

Uwagi Helcla sięgające aż do Nru CVII., wyjaśniają nie jedną wątpliwość. Dotyczą się one po większéj części oznaczenia miejsc wzmiankowanych, których nazwiska w starożytnych często niezrozumiałych formach przytaczane trudne są nieraz do odgadnięcia, opisują formę dyplomatu, materyał piśmienny, podając źródło, zkąd sam autograf lub kopia jego pochodzi, wyjaśniają data historyczne, porównywają paleograficznie lub archeologicznie dokumenta z innemi już publikowanemi dyplomatami, a czasem zapuszczają się na pole krytyczne, broniąc akt przeciw zarzutom, któreby można ich autentyczności uczynić. — Największa liczba dyplomatów podaje dotacye klasztorów i duchownych posad; są przecież i ważne do politycznych dziejów ściągające się dokumenta. — Nie można w takim ogromie dyplomatów przechodzić ważności każdego z osobna numeru i oceniać krytycznie jego autentyczności, boby to większe jak sam Kodex wywołać mogło dzieło; zwrócimy tylko uwagę na kilka wątpliwości, które nam się wydarzyły przy przeglądzie pracy téj sumiennéj i wielce szacownéj.

Tak np. przy Numerze II. z roku 1153. Zbilut jakiś za namową Jana Arcybiskupa Gnieźnieńskiego w przytomności Mieczysława starego klasztór Cystersów funduje w Łeknie i nadaje mu prawem dziedzictwa Rgielsko, Straszewo, Panigrodz i Łekno. Dokument ten znajduje się w Bibliotece Raczyńskich w Poznaniu i przeciw jego autentyczności wiele wątpienia nasuwa się powodów. Ale mniéj więcéj szczęśliwie Kommentator wątpliwości te zbić

uczonemi prawdziwie uwagami; najmniéj wszakże udało mu się zbić najważniejszą wątpliwości przyczynę, to jest usunąć trudność wytłumaczenia tytułu: civis Poloniae, jaki sobie przywłaszcza w tym dokumencie ten Zbilut. Polska już wtedy w podziałach nie nazywała się ogólném nazwiskiem Polonia, a część jéj, w któréj się to działo, wszędzie Majoris Poloniae nosi miano, tém zaś trudniéj da się dowieść, aby gdziekolwiek w owych czasach jaki civis Poloniae dał się znaleść. Tytuł „*Civis*" nie służył ani mieszczaninowi wtedy, a tém mniéj szlachcicowi, jakim oczywiście był Zbilut, ów mniemany fundator; wyraz „*civis*" wtedy nie używał się nigdy inaczéj jak w tém znaczeniu, w jakiém go znajdujemy u Mateusza w miejscach przytoczonych niestósownie przez kommentatora na obronę. Cives zaczęła się nazywać dopiero szlachta po podróżach do Włoch i zwiedzeniu miast wolnych jako Wenecyi i Genuy, gdzie obywatelstwo miejskie na wzór Rzymskiego państwa stanowiło godność książęcą. Patrycyusz czuł się członkiem zgromadzenia zawiadującego całą Rzecząpospolitą, a tém samém miał udział w przeważnym wpływie, jaki też ciała polityczne wywierały na koleje dziejów Europejskich; to potężne uczucie *civitatis* czyli obywatelstwa obudziło i u nas chęć mianowania się civis; tém częściéj dała się słyszeć ta nazwa po wprowadzeniu prawa Magdeburskiego, a to dopiero w wieku trzynastym. Miejsca przytaczane z Mateusza również nie mogą dowieść, aby tytułu „*civis*" używano wtedy dla szlachty — bo we wszystkich tych miejscach jako też w cytacyi z Żywota Ś. Stanisława *civis* jest zawsze przeciwstawiony nazwie „hostis" i znaczy to samo, co mieszkaniec téj saméj ziemi, ziomek. Znaczenie takie współobywatelstwa jest wyrazowi civis właściwe i nie wypada ztąd, aby wyraz w tém znaczeniu w roku 1153 używany był znany téj saméj daty w znaczeniu podsuwaném mu przez kommentarz a nie znaném w Polsce jak w wieku późniejszym.

Również zdaje się nam niewiarogodnym dokument pod liczbą LVI. z roku 1275. Władysław Łokietek pię-

tnaście lat dopiero liczący, mianując się Księciem Łęczyckim i Kujawskim, Michałowi jakiemuś przedaje Sokołowo dnia 1 Maja i nadaje temuż miastu prawo niemieckie. Metryka Koronna ma potwierdzenie tego dokumentu przez Zygmunta I. w Piotrkowie roku 1583., 23. Stycznia wystawione; tymczasem trudno wierzyć, aby Władysław wtedy mógł się mianować Księciem Łęczyckim i Kujawskim. Mógł był wprawdzie w skutek szczególnéj ojca daniny Kujawsko-Brzeskim nazywać się wtedy Księciem, ale dzielnice Polski w następnéj kolei pod jego przechodziły panowanie:

1287 został po śmierci Ziemiomysła Księciem Brzesko-Inowrocławskim;

1289 wziął w spadku po Leszku Księstwo Sieradzkie;

1290 zaczął się po bitwie pod Siewierzem nad Henrykiem Szlązakiem, przywłaszczającym sobie Księstwo Krakowskie, Sandomirskie i Lubelskie, pisać Księciem Sandomirskim i Krakowskim;

1294 po bitwie pod Sochaczewem, w Żukowie lub Trojanowie, gdzie brat jego Kazimierz naprzeciw Tatarom poległ, odziedziczył Księstwo Łęczyckie;

1296 na zjeździe w Poznaniu z własnego Pomorzan wyboru przyjął tytuł Księcia Pomorskiego.

Pomijając więc nawet tę trudność, iż Władysław piętnaście lat dopiero liczący, za życia ojca nadaje w ziemi nie przypadającéj do jego działu przywiléj i sprzedaże zawiera, to nie pojmujemy, jakoby się mógł wtedy Księciem Łęczyckim mianować, gdy Łęczyca dopiero roku 1294., a zatém w 19 lat po wystawieniu tegoż dokumentu pod jego się dostała panowanie.

Nader ważne zawiera kodex dokumenta tyczące się Unii Litewskiéj z roku 1413. dnia 2. Octobra. Prałaci, Baronowie, Pany i Szlachta Królestwa Polskiego udzielają swych herbów, praw i przywilejów obecnym Panom i Bojarom Litewskim a przez to narody kojarzą w związek pokrewieństwa bliższego; i jeżeli dzisiaj Litwa z Polską jeden stanowi naród, winniśmy ten ścisły i braterski związek nie tak konfederacyi, ale szczeremu bratanio się szla-

chty przy rodzinném ognisku; odtąd wszystkie przesądy i względy na nieuprzywilejowane Litwy rodziny ustały, bo wszystko się udzielało tym aktem in vim vere caritatis et fraterne unionis, valeant utifrui, gaudere, et potiri: ac si ipsa a suis progenitoribus ordine geniture suscepissent. Dokumentu, w którym rodziny mające udział w téj unii łączyły się w jedność praw i przywilejów, nie mieliśmy dotąd ogłoszonego. Znane powszechnie dyploma unii w Horodle zawartéj wielokrotnie zostało wydanem; Volumina Legum Tomus I. fol. 282. mają także dyplom dotyczący się tego wspólnego udzielenia herbów, praw i przywilejów, a Tomus I. fol. 66. zawiera potwierdzenie tego przypuszczenia Panów Litewskich do godności familii szlacheckich polskich, ale nigdzie nie publikowano jeszcze ugody téj i aktu właściwéj zamiany. A to jest właśnie szczególném w Unii Litwy z Polską zjawiskiem, iż się tam narody nietylko konfederują prawnie, ale bratnio w jedność krwi niemal i narodowości jednoczą. W wędrówce ludów łatwo takie skojarzenie pojąć, łatwo wytłumaczyć zlanie się wielu i różnorodnych nawet żywiołów do jednego myśli i uczuć koryta, ale połączenie się wolą samowiedną dwu narodów w jedno ciało jest skutkiem wyższych uczuć nad przypadku ślepego lub gwałtu narzuconego siłę, jest to uczucie braterstwa chrześcijańskiego, w które dwa te narody wstąpiły przez unią. I dla tego dokument ten, jako wierny uczuć ówczesnych świadek tak wysoko cenimy, bo, gdzie mowa o jedności i złączeniu się, nie może dosyć wyrazów znaleść, mówi bowiem: domos, genealogias, stirpes nostras armaque et clenodia nostra — conjungimus, componimus, coadunamus et conformamus. Uniat eos nobis caritas, pares efficiat, quos religionis cultus, jurium et graciarum ydemptitas sociavit. — Dokument ten w obec i za zezwoleniem Władysława Jagiełły i Alexandra czyli Witowda Xięcia Litewskiego wystawiony, należy do najważniejszych w całym tym zbiorze. Jest i kilka innych dyplomatów tyczących się stósunków Litwy do Polski w czasie Jagiellońskim; wszystkie są wyjęte z Archiwum Książąt Ra-

dziwiłłów. Takiemi dokumentami są (Ner CLXXV. pag 307—311) Konfederacya pomiędzy Władysławem Jagiełłą a Zygmuntem bratem, Księciem Litewskim, w któréj, zachowując dla siebie i dla potomków swoich tytuł Wielkiego Księcia Litewskiego i Ruskiego, temuż Zygmuntowi ceduje wszystkie prawa, godności, przywileje i dobra swe w Litwie na dożywocie tak, jako je odebrał i posiadał Witowd dawniéj od niego. Dokument ten w obec wielu Biskupów i Urzędników Państwa jest datowany z dnia 3. Stycznia z Krakowa. Daléj téjże treści dokument zgody pomiędzy Władysławem Jagiełłą a Zygmuntem Wielkim Księciem Litewskim w Korczynie roku 1434. dnia 27. Lutego (Ner CLXXXI. pag 312). Powtarzanie to ustawiczne i częste, a zarazem bliższe oznaczenie granic władzy, zobopólnych praw i obowiązków, pochodzi z nieporozumień i niesnasek, jakie powstały tak za życia Witolda jako też za Zygmunta, bo dokument ten wyraża się na początku: *quia tunc multis errorum et dubiorum prudenter occurrimus incommodis* i dalej mówi: Et si inter subditos super huiusmodi granicijs vel aliis causis Regni Poloniae et Magni Ducatus Lituaniae, aliqua questio seu dubietas oriretur: quemadmodum in vita prefati Ducis fuerant exorte etc. Pod Nrem CLXXVII. pag. 318. obiecuje Władysław Warneńczyk Zygmuntowi Księciu Litewskiemu, że poddani i obywatele Królestwa Polskiego nie będą nieśli pomocy żadnéj ani porady Świdrygielle Księciu na Łucku. Ale trudnoby było wykazać wszystko, czego się doczytać można z kodexu tego; szczegóły zajmujące bardzo, o których nie można zkąd inąd powziąć wiadomości. Facsimilia są miernéj wartości, a cena przydrogą, dla tego kodex ten nie bardzo wiele znajdzie pokupu. Bodaj to nie odstręczyło wydawców, a następne tomy, jeżeli z tą samą będą ogłaszane troskliwością, będą dla historyków obfitém źródłem, mianowicie, jeżeli się znajdzie krytyk o wielkich siłach, coby pracę trudną trzebienia prawdy i fałszu przedsięwziąść się ośmielił.

Co się tyczy krytyki, któréj brak zarzucają także Dogielowi (Codex Diplomaticus Poloniae pag. IV.), nadmienić

należy, że, jak ostrożność w tym względzie zawsze bardzo konieczna i potrzebna, tak staje się tém potrzebniejszą przy publikacyi dyplomatów wszelkich. Instrument drukowany nabiera znaczenia autentycznego, bo na wydawcy ciąży obowiązek ścisłéj krytyki i wszechstronnéj ogłędności, ma autograf przed sobą, który do ocenienia autentyczności jest nieodzownie potrzebny — rysy paleograficzne, monogrammata używane, ornamenta, wreszcie i pergamen jako też materiał piśmienny podają nieskończenie wiele sposobów do odkrycia fałszu, który się w kopii niezawodnie ukryć zdoła, jeżeli nie zachodzą w treści dokumentu lub w formie jego szczegóły sprzeciwiające się historycznym podaniom. Nieświadomość fałszerzy zdradza często ich nierzetelność; mamy dokumenta, których dzień daty przypada w czasie, w którym osoba podpisana albo wcale nie żyła, albo w inném znajdowała się miejscu jak dyplom wskazuje. Podają nieraz takie dokumenta imiona zmyślone z dodatkiem urzędów ich, a poszukiwania dowodzą późniéj, iż na urzędach wzmiankowanych znajdował się kto inny zupełnie. Zdarza się i to, że wychodzą na jaw dokumenta podpisane w jeden i ten sam dzień przez jednę i tę samę osobę w miejscach tak odległych, iż niepodobna przypuścić, aby z obu miejsc dokumenta mogły być rzetelnie prawdziwe. — Fałszowanie dokumentów sięga bardzo starożytnych czasów — a w niedawnym czasie filologom fałszowanie dokumentów w mowie Demosthenesa De Corona niemało narobiło zachodów. Pomiędzy tylu bowiem dokumentami, ile ich mamy w téj mowie, ani jeden nie odpowiada istotnym ówczesnym nazwiskom i wypadkom. Corsini w swém dziele (Fasti Attici) chciał poprawki zaprowadzić, Boeckh, Spengel, Voemel półśrodków się chwycili, Droysen uznał wszystko za fałszerstwo. I u nas fałszowanie to było nader upowszechnione, co pochodziło z nieładu administracyjnego z jednéj a niepohamowanéj dążności do swobód, przywilejów i praw z drugiéj strony. Na pierwszy rzut oka po tych niepoliczonych przywilejach podejrzenie budzi się niewątpliwe, a potwierdzone bardzo prędko bliższém

w nich badaniem. Zdaje się niepodobném, aby królowie tak się mieli dobrowolnie wyzuwać z praw najświętszych, nie należących tak dalece do ich osób jak raczéj do kraju całego, do rzeczypospolitéj, i przypuścić należy albo słabość osobistą uległą tłoczącym się o przywileje supplikantom a nie pomną na porządek ogólny, sprzeciwiający się wyjątkom i exemcyom, albo też nikczemną nierzetelność, co wystawiła kraj na szwank przez zarzucenie go fałszowanemi dokumentami, schlebiającemi chciwości lub dumie. Po wojnach szwedzkich zjawił się u nas fałszerz sławny w Prussach, który twierdził, iż mu się udało Książętom Pomorskim wykraść skrzynię dokumentów pozabieranych po grodach, miastach i kościołach, i wzywał wszystkich, którzyby jakiekolwiek stracili dyplomata, by się do niego po nie zgłaszali. I w istocie nie brakło na chciwych lub dumnych a bezsumiennych ludziach, którzy takim sposobem kazali sobie wygotowywać dokumenta przez niego na przywileje i swobody, których nigdy nie posiadali. Jak daleko nikczemna ta zręczność sięgała, ztąd łatwo wnieść można, iż Zygmunt August Filipowi II. w liście pisanym 1555 na to się uskarża, iż testament Bony, w którym taż Księstwo Barskie zapisuje Filipowi, jest fałszywy a podsunięty umierającéj królowéj do podpisu przez fałszerza Papagodę (falsum ac suppo-situm, confectum a quodam falsario Papagoda). Toć już Gryffina córka Rościsława a żona Leszka Czarnego bądź z obawy, aby jéj Łokietek, prawy po Leszku następca, z dóbr niewypędził oprawnych, bądź dla uchronienia kraju od powstających między książętami małopolskimi wojen dziedzicznych, pozmyślała i pofałszowała od zmarłego męża zapisy na księstwa; a lubo nikt nie wierzył, aby Leszek sam na księstwo wyborem wyniesiony, lubo bezdzietny ale braci dziedzicami zostawiając, żonie nienawidzonéj i obcego rodu dzielnice polskie zapisywał; przecież Wacław Czeski jéj siostrzeniec po Kunegundzie Ruskiéj, a zięć Rudolfa Cesarza, w moc darowanych sobie przez ciotkę legatów wojnę długoletnią toczył. (Długosz, Naruszewicz V. 228). Pisze nadto Długosz sub anno

1356. IX p. 1110, że uproszone przez Hesterę od Kazimierza Wielkiego dla niektórych żydów przywileje i wolności późniéj tak dalece rozmnożono fałszywemi przepisywaniami, że przez te nadużycia bezczelne a w skutek ich przez niezmierne przywileje żydów, gwałt cierpią boskie prawa i porządek publiczny.

Niepoliczone, jak z pierwszego rzutu oka na tyloliczne dokumenta wnosić łatwo można, korzyści, dałyby się odnieść z tak wiarogodnych świadectw ówczesnych wypadków; bo prawa i zwyczaje wieków ówczesnych, godności i magistratury, ludzie działający i przy sterze postawieni, nawet głębsze i wewnętrzne działań ich pobudki najżywiéj się odbijają w ustawach i zapisach w tych pismach zawartych. Inne życie, inne wyobrażenia nas napełniają przy bliższém szperaniu w zbutwiałych tych zwojach, bo tutaj wystąpi szorstka rubaszność żelaznego rycerza, tam pokorą pobożną tchnąca piecza o kościół i jego sługi, indziéj wspaniałość monarchy średniowieczna nie papieru kartą, ale sercem wylaném przywiązanego do ludu, a ów dziéświątobliwa pamięć pasterza czuwającego o dobro materyalne i duchowe swych poddanych owieczek — jedném słowem dokumenta te dostarczyłyby nietylko do ustalenia zdarzeń i upewnienia praw nie mało materyału, ale byłyby zarazem najwierniejszém świadectwem ducha czasu, najdobitniejszym jego obrazem — gdyby tylko na nich tak polegać można, jak się zdaje. Brudna chciwość, duma wyniosła, partyzantka drobnostkowa, korporacyjna zawiść i zazdrość nikczemna prywaty użyła przecież wszelkich sposobów do pochlebiania swéj miłości własnéj i przeszłym już wiekom kłamać kazała, fałszując dokumenta i fabrykując dość często zręcznie świadectwa praw dowolnie roszczonych. Że wielu było fałszerzy, tego historya niezaprzeczone podaje nam dowody i świadectwa. Za Władysława IV. *Krzysztof Stanisław Janikowski* odznaczył się w tém haniebném rzemiośle i przyczynił się nie mało do tego, że dzisiaj nawet i archiwum koronnemu mało można wierzyć. Rozgłosił on, iż Książęta Pomorscy na szkodę ko-

ścioła i duchowieństwa katolickiego zawieźli z zamku Bytowskiego do Szczecina całą skrzynię dokumentów, którą ku ocaleniu praw kościelnych przodkowie jego gwałtem z pomocą dziesięciu szlachty ze Szczecina wydobyli i roku 1569. do Mitterscheinu, wsi swéj dziedzicznéj, przywieźli. Tam skrzynia ta została zamurowaną, a dla pewności tém większéj mularza zamordować miano. Dokumentem tego czynu on naprowadzony skrzynię wynalazł i wzywa wszystkich, którzyby dokumenta swe zagubili, by się po nie doń zgłosili. Xiężna Pomorska Croy chciała go pociągnąć za tę potwarz do odpowiedzialności, ale proboszcz z Bytowa przedstawił go Wojewodzie Pomorskiemu Weiherowi, który tak dalece się dał uwieść nieświadom rzeczy pozornéj oszusta zręczności, że sam kilka drogo nabył od niego dokumentów. U dworu przedstawiony mile mianowicie od Kanclerza, którego ta rzecz bardzo obchodziła, przyjęty został, aczkolwiek Referendarz koronny Zaleski ostrzeżony przez Kasztelana Gdańskiego błąd postrzegł i wątpliwości swe Kanclerzowi objawił. Kanclerz nietylko obdarzonego przez dwór fałszerza posłał do domu z gleitem po repertorium dokumentów niby to znalezionych, ale kazał nadto w swéj łatwowierności dokumenta już przez Janikowskiego przedstawione do metryki koronnéj zaciągnąć. Tymczasem dokumenta rozchodziły się po kraju, a Janikowski za nie prócz zakupionych dóbr i zebranych licznie znacznych darów zbił już 15,000 złotych. W miarę jednakowoż coraz dalszego ich rozszerzania się zaczęło zaufanie do nich się zmniejszać, bo błędy się mnożyły, a obracane na korzyść kupujących wywoływały mnóstwo skarg i spraw w trybunałach. Ztąd krytyka ich się obudziła i wnet jawnie fałszerstwo okazano. — Najprzód korzystał z nich ku wytoczeniu sprawy sądowéj proboszcz w Grudziądzu, Konwent Dominikanów w Chojnicach i Kollegium Jezuitów w Malborgu. — Dokumentów tych sprawa wytoczyła się aż przed posłów zgromadzonych na pokój Westfalski 1648, gdzie Salwiusz poseł Szwedzki wykazał, że pisma te podają roku 1506 fałszywego biskupa w Kaminie i

fałszywe noszą pieczęcie. — Ale i z innych dat fałszywość tych dokumentów jasno wykazać można i tak: Kazimierz Jagiellończyk mianuje się roku 1453. panem Prus, Elbląga i Gdańska i wzmiankuje Starostwo Bytowskie, gdy tymczasem tytuł ten mógł mu dopiero służyć od r. 1454., gdzie Stany Pruskie, poddawszy się, wykonały królowi przysięgę. Zygmunt Stary w jednym dokumeńcie zowie się Zygmuntem *Pierwszym*, co jak najoczywiściéj nietylko fałsz ale i niezręczność fałszerza okazuje. Doręcznymi pomocnikami w téj pracy byli Krzysztof Unger z Bytowa, bakałarz Jan Kapnik ze Schslochau i mieczownik z Gdańska, szwagier Janikowskiego, Anglik Korneli Wright. Kiedy po śmierci Władysława IV. r. 1648. Maciéj Łubieński zwołał sejm konwokacyjny na 16. Lipca, Stany Pruskie zjechały się ku oborom i radzie wstępnéj dnia 25. Czerwca w Malborgu i uchwalono tamże, aby wnieść do sejmu ogólnego o śledztwo tych dokumentów pilne i annihilowanie tych nawet, którym jakimkolwiek aktem publicznym pozorną nadano sankcyą, a nareszcie o zawieszenie i umorzenie processów z nich wynikłych. Tam Opat Oliwski oświadczył, iż umyślnie zakupił za drogie pieniądze dokumenta, których ogólną treść musiał wprzódy Janikowskiemu wyłuszczyć, aby je porównać z exemplarzami autentycznemi i tak fałszerstwo jak najdokładniéj odkrył i dodał zarazem, że Janikowski znany mu od młodości długi czas pracował nad nauką fałszerstwa. Wojewoda Malborski doniósł o fałszerzu schwytanym przezeń przy pomocy około Janikowskiego dokumentów. Kasztelan Gdański powiedział, iż z Zaleskim Referendarzem Stanu wspólnie odkryli fałsz i wynurzył swe podziwienie nad łatwowiernością Kanclerza, który nakazał dokumenta przez Janikowskiego wciągnąć do Metryki Koronnéj. — Tenże sam wspomniał o dokumeńcie, który Działyńscy od Janikowskiego nabyli; był to przywiléj na Soldau z czasów Kazimierza Wielkiego, a wszakże familia ta zaczęła się pisać z Działynia dopiero na początku wieku XV. Po raz pierwszy roku 1438. Piotr z Kozielca pisze się na dokumeńcie Jagiełły dla Krakowa Piotrem z Dzia-

łynia i długo jeszcze nazwa ta u jednych i tych samych osób się zmienia, tak iż nazywają się już Kościeleckimi już Działyńskimi (resp. z Kościelca lub z Działynia). Tamże dodał Wojewoda Pomorski, iż Janikowski dawniéj u niego był przy służbie dworskiéj i zawsze wiele dowodził dowcipu 1). Za czasów Augustów również wiele, ale już daleko zręczniéj nafałszował Dyamentowski, a jego dokumenta, o ile były podobniejsze do prawdy, o tyle łatwiéj się przed krytyką ukryć zdołały i bez wątpienia największe w historyi porobią bałamuctwa.

Przybysław Mutina Dyamentowski (ur. 1694†1774), Stolnik urzędowski miał skład fałszowanych nietylko Dyplomatów, ale nawet historyi, kronik i rodowodów sławiańskich z czasów przedchrześciańskich jeszcze, bo w ogóle w jego wieku zarzucono historią najdziwaczniejszemi przywidzeniami, schlebiającemi dumnéj na autenatów próżności. Bo prawie w tym tylko celu pisano historią, by wywodzić przodków już nie tylko od Anchizesa i Wenery jak Ursynowie, którzy doszli téj godności przez Bertobaldów Saskich, Alberta Ursusa Brandenburskiego z domu Askańskiego, ale od Noego i jego przodków aż do Adama. Jak śmieszną się zdaje ta dążność, tak wywarła najszkodliwszy wpływ na całą historiografią. Wywody fałszywe Brüla z Ocieszyna, Sapiehów od Punigajła i Sumigajła, tablice stemmograficzne Mniszchów, Ożarowskich i Jabłonowskich taki mają przez Dyamentowskiego początek, a wprawny w nierzetelną fabrykę mistrz pisał dzieła ludzi na tysiąc lat rychléj żyjących, albo nie exystujących nigdy. Opuścimy wszystkie jego rozliczne ramoty i przypomnimy tylko Prokosza kronikę Sławiańsko-Sarmacką z roku 936., ponieważ ta jest drukiem upowszechniona. Generał Franciszek Morawski znalazł w Lublinie w kramie żydowskim rękopism tegoż Prokosza, oddał go Niemcewiczowi, ten złożył w bibliotece Towarzystwa Przyjaciół nauk, a ztamtąd ogłosił go drukiem Hip-

---

1) Lengnichs Geschichte der Preuß. Lande Tom VI. pag. 236 sqq. Tom VII. pag. 10 sq. ibid. Docum. pag. 16 Nro 7.

polit Kownacki. Na najdziwniejsze domysły powpadał wydawca, śledząc w tym rękopiśmie textu oryginalnego Prokosza i Kommentarza z wieku XVIII. Lelewel odkrył drugi rękopism w Wilnie należący do Felixa Towańskiego braciszka komentu franciszkańskiego W tym Wileńskim rękopiśmie było zanotowane doniesienie, iż rzecz cała od Dyamentowskiego pochodzi przepisana 21. Czerwca roku 1764. Człowiek ten bardzo wiele popisał takich kronik fałszywych i zostawił synowi swemu Sobiesławowi cały kufer takich papierów fałszowanych; były tam podobno kroniki już gotowe, inne pozaczynane, do innych tylko zadania i schematy. Opiekun niedoletniego po śmierci Dyamentowskiego Sobiesława Bartosiewicz dał cały ten magazyn fałszywych papierów Felixowi Łubieńskiemu ministrowi i te podobno w Guzowie dotąd spoczywają 1). Umyślnie nad nierzetelną i brudną fałszerstwa sprawą zastanawiamy się dla tego, aby wskazać, jak w takich okolicznościach trudno jest dzisiaj korzystać dla historyi, nasze dyplomata do większéj połowy nie mogą za prawe uchodzić i nietylko nie wyświecają prawdy w dziejach, ale, mając jéj pozór, stają się błędów i fałszywych wniosków przyczyną. — Jeżelibyśmy naprzykład z Lelewelem chcieli urzędników Rzeczypospolitéj szeregi stanowić według dokumentów bez krytyki wydanych i mających przez publikacyą niejakieś do wiary naszéj prawo, łatwobyśmy się przekonać mogli, że wyniknęłyby ztąd tysiączne kollizye, bo w tych samych latach, na tych samych urzędach znaleśćby można kilka osób różnych, a odkryć, który z tych dokumentów byłby prawdziwy, które zaś podsunięte, byłoby trudném, z druku nieomal niepodobném do wykonania. Taka sama zachodzi niedogodność, gdy dokumenta wspominają o urzędach, których w czasie daty w kraju nieznano albo przytacza prawa niewłaściwe. Powiadają prawda historycy mniéj dbali o oględność krytyczną i filologiczną akuratność, że co do zdarzeń historycznych nie można korzy-

1) Lelewel Rozbiory Dziel p. 179. sq.

stać z fałszywych dyplomatów, ale mogą się wszakże przydać do poznania praw, ustaw i zwyczajów, bo te fałszywe dokumenta musiały być robione podług prawdziwych i autentycznych. — Przeczymy i temu nawet, twierdząc, że ani do wyłuszczenia praw takie dokumenta się przydać nie mogą, bo dyplomata te były robione często nie w kraju, ale za granicą u obcych fałszerzy, którzy je fabrykowali według wzorów zagranicznych a często i bez wzoru jak np. Janikowskiego pisma.

## Szwecya po wojnach Polskich.

*(Dokończenie.)*

Bernadot pewny, że prędzéj czy późniéj interesa Norwegii zleją się ze szwedzkiemi, mało zważał na formy i podpisał na nie, lecz czas pokazał, że się pomylił. Narodowość norwegska, wzniesiona na żywiole czysto duńskim, oddzielona od Szwecyi górami, kiedy z Danią łączy ją morze, pokazuje się dotąd żywą nieprzyjaciółką panowania Szwedów. Jedność początku skandynawskiego, jedność ziemi, wreszcie jedność interesu nie mogła dotąd sprowadzić na półwyspie jedności politycznéj, bo jéj opiera się różnica moralna. Bernadot przywykły do ważenia interessów ze strony materialnéj, nie zważał na przeszkodę i nie uwierzył jéj nawet; ufny w swą biegłość i środki rządowe, za pomocą których łączą się małe odcienia narodowości, wypuścił z ręki bogatą Finlandyą dla biednéj Norwegii; tym sposobem zyskał silną pozycyą obronną, ale ciągła i niezwalczona odraza Norwegii do Szwecyi musiała mu w końcu otworzyć oczy. Kto wie, czy w razie danym, posiadanie Norwegii nie sparaliżuje sił Szwecyi? Nie przesądzamy wypadków, lecz jeżeli zlanie się dwóch krajów jest w rzeczy saméj niepodobne, to wypadnie, że zręczność, za pomocą któréj Bernadot

uwiódł sejm szwedzki, Napoleona, Danią i Koalicyą, rozbiła się ostatecznie o proste umysły ludu biegunowego.

Karól trzynasty umarł r. 1812. Bernadot, wstępując na tron pod imieniem Karóla XIV Jana, podpisał *akt zapewnienia* konstytucyi z roku 1809. Tryb, w jakim nastąpiło połączenie Norwegii ze Szwecyą, nakazywał mu koronować się dwa razy: w Sztokholmie i Drontheim. Uczynił to Karól XIV. Przemawiając po raz pierwszy z tronu, oświadczył, iż postępowanie jego będzie zawsze oparte na ścisłéj neutralności. Królowie duńscy, kiedy panowali nad Norwegią, zarzucili zwyczaj przywdziewania korony w Drontheim, zdawało się więc, że koronacya Bernadota, jako króla norwegskiego, ujmie nieco umysły wcielonego narodu, ale nadzieja Szwecyi została zawiedzioną. Wkrótce nastąpiło powstanie chłopstwa norwegskiego przeciw konstytucyi z roku 1814. Powstanie to, wymierzone na władzę sejmową, gdyby miało miejsce około Sztokholmu pojmowałoby się, bo w Szwecyi wpływ możnowładztwa jest znaczny, ale w Norwegii obdarzonéj konstytucyą republikańską, i pozbawionéj szlachty, było zręczną łapką na Karóla czternastego zastawioną przez stronników duńskich. Jakoż chłopi, błagając króla o rząd samowładny w narodzie przywiązanym do swoich swobód, byliby go jeszcze bardziéj pokłócili z sejmem, zaszczepiliby rewolucyą, z któréj Dania starałaby się korzystać. Bernadot odgadł podstęp i przytłumił ruch chłopstwa. Podobnie uczynił roku 1826., kiedy Bell, chłop norwegski, zrobił powstanie w Gudbrandstadt, mianując się gubernatorem Drontheimu. Powstanie Karóla czternastego jest nauką dla tych wszystkich, co w narodach gminowładnych, wystawionych na wpływ zewnętrzny, marzą o władzy absolutnéj.

Kiedy Oskar, następca tronu, ożenił się z córką xięcia Eugeniusza, Karól czternasty mianował go wicekrólem Norwegii. Zdawało się królowi, że obecność dworu w Chrystyanii stworzy stronników dla rządu, ale sejm następny przekonał go znowu, że się pomylił. Posłowie norwegscy, niepomni na koronacyą Karóla czternastego

w Drontheim, obchodzili ciągle dzień 1. Maja 1814. r., w którym sejm Eidsvaldski obrał na tron Chrystyana, a tém samém ogłosił niepodległość narodu. Król w liście napisanym do prezesa izby wyrzucał duch buntowniczy. Podług niego traktat w Kiel uczynił sejm Eidsvaldski nielegalnym. Uważając rzecz ze strony traktatowéj, mógł Bernadot mieć słuszność, ale kiedy takie było jego przekonanie, dla czego zawierał roku 1814. ugodę z sejmem Eidsvaldskim? dla czego poszedł krętą drogą i zezwolił na elekcyą swoją na tron norwegski?

Sejm zebrany w Chrystyanii roku 1835. postępował ciągle w duchu oppozycyjnym, a nawet nieprzyjacielskim. Obrady odbywały się w języku duńskim, który był i jest dotąd w Norwegii literackim, dziennikarskim i konwersacyjnym. Bernadot w zamiarze zaszczepienia rozdziału w narodzie wniósł projekt uznania szlachty czysto-urzędniczéj i dożywotnéj za dziedziczną, ale sejm oparł się temu. Tego samego losu doznał projekt wybudowania fortecy w Chrystyanii. Zniecierpliwiony król rozwiązał sejm, a on niezważając na rozkaz monarszy ciągle obradował i nawet zamierzał oddać pod sąd Radę stanu, która tamowała zebrania. Trzeba było użyć zręcznéj łagodności, aby uspokoić urazę sejmową. Wkrótce jeden dziennik szwedzki wyjaśnił dążenie sejmu. Donosił on, że w Chrystyanii ma wychodzić pismo pod tytułem: *Unia północna* (Nordisk Ugerskrift), w zamiarze sposobienia umysłów do połączenia całéj Skandynawii. Dziennik szwedzki podzielał myśl pisma norwegskiego i zachęcał do jego czytania. Rząd lękając się skutku téj propagandy na zewnątrz, przesłał notę do wszystkich rządów europejskich z zapewnieniem, że myśl unii kolmarskiéj nie wchodzi bynajmniéj w jego politykę, opartą na neutralności i traktatach.

Nota Karóla czternastego była próżną, bo dążenie do Unii północnéj, gdyby je popierała Norwegia, miałoby zapewnie na celu połączenie Skandynawii pod koroną Duńską, a gdyby je popierała Szwecya z chęcią zachowania rassy Bernadota, byłoby mało popularne i za śmiałe

na nową dynastyą. W obudwóch razach sprzeciwiłyby się temu najmocniéj Prusy i Rossya. Jakiekolwiek mogły być zamiary albo instynkta dziennikarzy, pokazują one niezadowolenie z położenia, w jakiém znajduje się półwysep północny. Król opuszczając Finlandyą zadał bolesny cios tradycyi Szwecyi i jéj narodowości. To go zmusiło do szukania rękojmi bezpieczeństwa w Rossyi, a wewnątrz do używania intrygi, pieniędzy i wynoszenia na godności ludzi zepsutych. Tylko zręczność i głębokie zrozumienie geniuszu narodu, nad którym panował, uchroniły go od niebezpieczeństwa. Około roku 1819., Tarrach, rezydent rossyjski w Sztokholmie, przedstawił mu notę, w któréj nadmieniał o potrzebie ścieśnięcia konstytucyi szwedzkiéj. Dążenie Rossyi mogło być toż same w Danii, kiedy podnosiła chłopstwo norwegskie w imie absolutyzmu; ale król nie przyjął niebezpiecznéj rady 1).

Jak widzimy, legalność i konstytucya z roku 1809., oto były główne posady władzy i dynastyi Karóla czternastego. Nie zachował on ich wprawdzie w rzeczy lecz tylko w formie; pod jego panowaniem rozdział sejmu na stany nie obracał się już na korzyść oligarchii, ale władzy królewskiéj; wiele nowych praw sprzeciwiało się duchowi konstytucyi, jednakże forma legalności i osłabienie możnowładztwa osłaniały wiele nadużyć w oczach narodu, wiele intryg i wiele przekupstw. Za pomocą takiego postępowania połączonego z zabiegłością i czynnością prawdziwie francuzką a rzadką w Szwecyi, król mógł zaprowadzić kilka korzystnych reform w administracyi, sądownictwie, skarbie, gospodarstwie, wojsku 2) i przebyć bez rewolucyi wypadki roku 1831.

Wojna zaszła wówczas w Polsce poruszyła ogromnie umysły Szwedów. Życzenia ich, przy wolności druku, były rozbierane i ważone po dziennikach. Wielka liczba

---

1) de Beaumont-Vassy. Tom II. p. 211.

2) Można się o tém przekonać z dzieła: *Recueil des exposés de l'Administration de Suède présentés aux Etats Généraux depuis 1809 jusqu'a 1840, traduit du Suédois par I. F. de Lundblad. 1840.*

Finlandczyków zostająca na urzędowaniu w Szwecyi olśnioną została nadzieją wrócenia do wolnéj ojczyzny. W Finlandyi wielu było skompromitowanych, bo klassa miejska i chłopska była patryotyczną i gotową. Szlachta zepsuta urzędami rossyjskiemi nie była wprawdzie chętną powrócenia pod rząd szwedzki, ale szczupłość jéj liczby i niepopularność odbierała jéj znaczenie. Rząd rossyjski wydał kilku mieszczan z Abo na Sybir i rozbroił część batalionów strzelców finlandzkich zwanych *Scharfschützen*. W Sztokholmie jeden oficer z gwardyi królewskiéj został aresztowany, dla tego, że pił publicznie za pomyślność Polski. Aby zatrzyć ten wypadek, który obraził wojsko, Bodzisko, rezydent rossyjski, dał obiad dla oficerów gwardyi. Przy końcu uczty prosił ich, aby napełnili kielichy, i gdy to uczynili, wniósł *zdrowie armii rossyjskiéj*. Na te słowa wszyscy spuścili kieliszki, niektórzy nawet potłukli je o stoły. Wieczorem lud Sztokholmu powybijał okna rezydentowi. Mieszkańcy Gotenburga, aby okazać swe życzenia dla Polski, dali ucztę, na któréj jeden urzędnik został wybity, dla tego, że był posądzony o szpiegostwo. Rząd nie potrafił zataić tego wypadku przed publicznością 1). Szwedzi najgodniejsi wiary, w pośród których znajdowali się jenerałowie, zapewniali w Karlsbadzie i Konstantynopolu, że jeżeli utrzyma się powstanie, pomoc Szwecyi jest niechybna.

Karól czternasty znajdował się w trudném położeniu. Stawiony między względnością dla Rossyi a dążeniem narodowém, musiał swe postępowanie wahaniem osłabić. Kiedy pełnomocnik polski przybył do Gotenburga, namyślał się trzy tygodnie, czy mu pozwolić wjechać do Sztokholmu. Finlandczycy służący w armii i flocie, skoro się dowiedzieli o zwycięztwach wielkanocnych, domagali się na gwałt wojny. Król, aby pozyskać popularność straconą, puszczał pogłoski, że czeka sposobnéj pory, i że rozpocznie kroki, skoro powstanie Żmudzkie i Litewskie posunie się w stronę Inflant i Estonii. Aby dać niejaką

1) Depesza z d. 17. Kwietnia 1831.

podstawę pogłosce, kazał uzbroić flotę. Finlandczycy i Szwedzi, życzliwi sprawie polskiéj, uznali, że należało zmusić króla do wojny, i że do tego powstanie w Finlandyi było konieczne. Myśl tę podzielił pełnomocnik polski. Wysłał już na rozpatrzenie rzeczy swego ajenta do Finlandyi i obmyślał środki przesłania broni, kiedy nagle odebrał rozkaz wyjechania z kraju 1).

List hrabiego Wetterstedt, ministra spraw zagranicznych, wyłuszczający przyczyny rozkazu, doszedł pełnomocnika dopiero w Kopenhadze. Rząd duński, nie dając czasu do odpisania, kazał mu natychmiast opuszczać miasto. Taki wpływ wywierała Rossya na morzu baltyckiem. Pełnomocnik polski, wyjeżdżając z Gotenberga nie zaniedbał zachować stosunków ze Szwedami biorącymi na siebie wzniecenie powstania w Finlandyi. Rzeczy zdawały się iść pomyślnie, broń została już ugodzoną, a okręta najęte, kiedy wzięcie Warszawy wszystko przecięło.

W roku 1831. względność Karola XIV. dla Rossyi, jak się wyraża depesza z dnia 17. Kwietnia 1831., przybrała barwę dziecinności. Król obciążony wiekiem, bawił się samemi spekulacyami handlowemi, dając coraz większy wpływ na rządy następcy tronu. O ile można dać wiarę podaniom naszego pełnomocnika, Oskar, od czasu odbycia podróży do Petersburga, naśladował we wszystkiem Rossyą, nawet w ubiorze i zwyczajach, co miało zmniejszyć jego popularność. Dzieła PP. Daumont i de Beaumont-Vassy pokazują z innéj strony, że lud szwedzki żywi ciągłą nienawiść do Rossyi i kiedy roku 1837. przybył do Sztokholmu cesarz Mikołaj, wzniecone zostały rozruchy, które jeszcze następnego roku znalazły silne echo. Oskar panuje od roku 1844. Zdania o nim są dziś bardzo różne. Ma to być człowiek zdolny i ambitny, ale ostrożny i tajemniczy.

Jaka może być przyszłość Szwecyi? Odpowiedź na to pytanie jest trudna, bo interesa półwyspu są zawikłane, a położenie Szwecyi śliskie. Pisarze francuscy, angielscy

---

1) Depesza z d. 15. Maja.

i niemieccy nakręcają zwykle wypadki do siebie; nasza młodzież, zostawiona bez dyrekcyi, grzebiąca ciągle w kwestiach socyalnych, podróżuje tam, gdzie obecność jéj najmniéj jest potrzebną: ztąd widoczny brak pewnych podań i materiałów. Pisarze francuzcy, stojąc w obronie nowéj dynastyi, głoszą, że polityka Szwecyi zasadzać się powinna na neutralności i zatarciu narodowości norwegskiéj. Jest to jak widzimy polityka Bernadota, ale czy ona jest podobną? Oto zawsze główne pytanie. Biorąc rzeczy jak są, zdaje się, iż połączenie Norwegii ze Szwecyą na drodze parlamentarskiéj jest istotnie niepodobne. Wszelkie namowy czynione w tym celu pokazały się próżne, bo Norwegia nad zamożność i znaczenie polityczne, może nawet nad interes, przekłada niezależność i obyczaje patriarchalne. Działanie zbrojne wywołałoby wmięszanie się Danii, a kto wie czy nie Rossyi 1). Dania bez Norwegii przedstawia obraz zupełnéj dyssalucyi, ale Szwecya jéj lęka się 2), bo może być popieraną przez Francyą, albo Rossyą Unia kolmarska, chociaż z natury swojéj niewykonalna, jest ciągłym przestrachem dla Oskara. W tém dążeniu wydał Cesarz Mikołaj swą córkę za Xięcia Heskiego, następcę tronu duńskiego. Wznowienie Unii północnéj na drodze czysto dyplomatycznéj i pod istniejącemi dynastiami byłoby najprostsze, bo nienawiść między ludami skandynawskiemi znika codziennie, ale czy tak się ma rzecz z panującemi dworami?

Odepchnięta od Norwegii, Szwecya nie może pozostać sama w sobie 3) Niedozwala jéj tego niebezpieczeństwo zastawienia wysp alandskich, nieurodzajność ziemi, brak pożywienia i drzewa, a nawet żądza przelania się na ląd stały, żądza normandzka, która zawsze cechowała Szwedów. Jądro sił Szwecyi stanowi chłopstwo, ono się zaś

---

1) Rossya po klęskach Napoleona r. 1812. wchodziła już tajemnie w stosunki z Danią, obiecując jéj zachowanie Norwegii.

2) Bernadot w testamencie kazał następcy tronu uważać Danią za wieczną nieprzyjaciółkę Szwecyi.

3) Wyznał to sam Bernadot. Domagając się Norwegii napisał dnia 7. Kwietnia 1813. do Alexandra: *J'ai besoin de l'air que je respire.*

tak rozrodziło, że grunta niewystarczają na jego wyżywienie. Chłopstwo Dalekarlii wszczyna co parę lat bunty dla braku chleba. Aby mu dać sposobność i utrzymać spokojność, Bernadot otworzył kopalnią porfirową, w któréj chłopi, z dziwną zręcznością, szlufują różne wyroby, ale te wyroby rozsyłane po całéj Europie, nie znajdują dotąd pokupu 1). Bernadot wspierał także rólnictwo i przyszedł do tego, że w niektórych latach plony krajowe wystarczały na potrzeby Szwecyi, ale brak rezerw wystawia ją na głód przy każdym nieurodzaju. Żeglarstwo mogłoby stać za zarobek dla Szwedów. W tym celu zapewne Bernadot zawarł traktaty handlowe z Rossyą i Grecyą; lecz aby podniosła się żegluga, potrzeba artykułów zamiany i materyałów do budowania okrętów, czego Szwecya nie posiada w ilości dostatecznéj.

Powyższe powody muszą prędzéj czy późniéj wyrzucić Szwedów ze strefy biegunowéj. W Szwecyi wszystkie klassy są biedne stosunkowo do Europy, ale klassy wyższe przyzwyczaiły sie do potrzeb wytwornych. Zaspokoiły je dawniéj subsydia francuzkie, angielskie i rossyjskie Powiadają wszyscy, że te ostatnie jeszcze rulują i krępują Oskara do polityki dzisiejszéj, którą, używając historycznego wyrazu, możnaby nazwać polityką *szlafmyc*. Z drugiéj strony wiadomo jest, że Anglia, dając oficerom szwedzkim prawo służenia w swéj marynarce, posiada w wielu stronników; wpływ także cywilizacyjny Francyi jest nie mały. Życie konstytucyine i wolne, oświata rozpostarta we wszystkich klassach, daje sposobność mieszczaństwu i chłopstwu do głoszenia swych dążeń przeciwnych polityce rządowéj, którą Oskar, przypuściwszy że ją podziela, w braku zasług i uroku ojca, utrzymać zapewnie nie zdoła. Myśli Szwedów są zwyczajnie powolne, ale kiedy ocuca ich iskra narodowości, sławy i zdobyczy, oblekają się w energią i zapał.

Nieukładając żadnych marzeń, wnosić można, że Finlandya jest właściwie tą iskrą, która prędzéj czy późniéj

1) Daumont.

wyrzuci najniezawodniéj Szwecyą z półwyspu. Z tą tylko prowincyą łączy się narodowość i sława Szwedów; tu tylko znaleść może chłopstwo szwedzkie, ziemię, zboże i drzewo, a dynastya popularność i przyszłość. Pragnąc widzieć Szwecyą silną i niezagrożoną nieładem, który paraliżował tyle razy jéj zamiary; przekonani, że rewolucye osłabiają potęgę państw ze szkodą tych, którzy na nie rachują, nie życzymy jéj wcale nowéj dynastyi. Dzisiejszy tron ma początek francuzki, a sankcyą angielską; konspiracya odkryta roku 1832. pokazała, że Wazowie nie są pretendentami narodowymi, ale postrachem utrzymywanym przez Rossyą, Austryą i możnowładztwo europejskie, niechętne rassie ukoronowanego jakobina 1). To wszystko daje rękojmią dzisiejszéj dynastyi od zachodu i pewność, że Norwegia nieodbierze zachęty ze strony Francyi i Anglii. Wnosić można, że Francya kierowana ważniejszym interesem obchodzącym równowagę i bezpieczeństwo Europy, oparta na polityce XVIII. wieku, która jest tylko obróceniem w inną stronę polityki Franciszka I. i Ludwika XIV., nie podejmie już potwornéj myśli odbudowania Unii kolmarskiéj pod koroną duńską. Z upadkiem Napoleona znikła jéj nienawiść ku Szwecyi 2), przyjaźń zaś z Danią, którą dotąd przechowuje, oparta na wspomnieniach z lat ostatnich, a nie na interesie, nie będzie dosyć silną, aby ją odwróciła od celu głównego. Przelanie się Szwecyi ma pewną rękojmię od zachodu, ale aby mogło nastąpić, potrzebuje silnéj i wytrwałéj dywersyi ze strony narodów. Kombinacye okoliczności i wypadków mogą być rozliczne; wiele z nich możnaby

---

1) Gustaw IV. był synem nieprawego łoża. Roku 1814. popierała jego prawa nie do korony, ale do uposażenia Anglia i Austrya, w r. 1815. Cesarz Alexander jako opiekun.

2) Bernadot związany z Rossyą, nie dawał dowodów przyjaźni Ludwikowi Filipowi, którego jednak uznał jeden z najpierwszych. Roku 1833. P. S. Simon, rezydent francuzki, był odwołany, bo Bernadot robił przycinki królowi. Roku 1841. Szwecya trzymała za Turcyą przeciw Francyi i Baszy Egiptu. Dziś stosunki między dwoma dworami są prawie żadne, bo ziemia szwedzka jest za bardzo drażliwą dla ostrożnego Ludwika Filipa.

przewidzieć, jednakże rozsądniéj będzie, jeżeli je zostawimy czasowi i ograniczymy się na przejrzeniu zasobów, jakiemi Szwecya może rozrządzić w razie danym.

Ludność Szwecyi dochodzi prawie trzech milionów, a Norwegii więcéj miliona; razem wzięta wynosi cztery miliony. Armia szwedzka liczy sto ośmdziesiąt tysięcy głów, a Norwegii piętnaście tysięcy: razem sto dziewięćdziesiąt pięć tysięcy. Szwecya ma dwadzieścia pięć tysięcy majtków, a Norwegia dwadzieścia cztery tysiące. Przychód Szwecyi wynosi około sześciudziesiąt milionów złotych, a Norwegii dziewięć milionów. Biorąc w przecięciu podatek, jaki ponoszą mieszkańcy półwyspu, nie przechodzi czternastu złotych na głowę, kiedy we Francyi podatek ten dochodzi pięćdziesięciu jeden złotych, a w Anglii ośmdziesięciu dziewięciu. Jest to mało na ubogi nawet półwysep północny. Norwegia usuwa się widocznie od podatkowania, Szwecya zaś nie wyciąga tego, coby mogła opłacać, bo sejmy tamują wydatki publiczne. Przy takiem usposobieniu ekonomia krajowa nie może czynić spiesznych postępów. Jednakże Bernadot podniósł ją znacznie przez oszczędność, porządek i administracyą centralną.

Siła wojenna szwedzka składa się: 1) z żołnierzy ziemskich zwanych *indella*; 2) z pułków zaciągowych, *vaerfvade,* i 3) z rodzaju pospolitego ruszenia albo landwera, *bevaering.* W Sztokholmie znajduje się jeszcze milicya, *borgerskap,* złożona z mieszczan zdatnych do broni, ale rzadko bywa zwoływaną. Najciekawszą organizacyą przedstawia wojsko zwane *indella.* Jestto ostatni zabytek organizacyi średniowiecznéj, znanéj u nas za Piastów pod nazwiskiem *piechoty łanowéj.* Podobnie jak w Polsce tak i tutaj, cały kraj obowiązany był posyłać wojsko w potrzebie. Każda wioska miała wyznaczone łany albo *siedliska,* nasze *praedia militaria,* które żołnierze uprawiali w czasie pokoju. U nas podobna organizacya zginęła w podziałach; odnowił ją potem Stefan Batory, ale tylko na chwilę i w samych dobrach koronnych, przeciwnie w Szwecyi utrzymywała się ciągle we wszystkich wioskach.

Za pomocą żołnierzy łanowych, Szwecya prowadziła wszystkie swoje wojny. Karól XI. posunął ich organizacyą do wysokiego stopnia doskonałości. On to na dobrach koronnych zaprowadził łany albo siedliska, *bostele*, dla oficerów armii łanowéj. Tym sposobem żołnierze, rozsiani po kraju, poddani zostali pod dozór i opiekę starszyzny.

Obecnie, *bostele* nie są trzymani przez oficerów, ale wydzierzawiane przez skarb. Wyjąwszy tę przemianę, dawna organizacya została zachowaną. Podróżny spotyka często w Szwecyi domki porządne, na których wisi tablica oznaczająca pułk i kompanią: są to mieszkania żołnierzy łanowych. Łan albo siedlisko nosi w Szwecyi nazwę *torp*. Składa się on z domu opatrzonego w narzędzia rólnicze, z ogrodu i kilku mórg gruntu ornego albo lasu. U nas żołnierza łanowego dawano zwykle z dwudziestu chałup; dziewiętnastu gospodarzy musiało go utrzymywać i ubierać. Toż samo ma dotąd miejsce w Szwecyi. Wyraz *rol* oznacza dział obowiązany do dawania żołnierza. Mieszkańcy *roly* muszą go ubierać, pomagać mu w uprawie gruntu, w zbiorach, a w razie niedostatku dodawać zboża. W czasie wojny i ćwiczeń żołnierskich, oni uprawiają jego grunt, *torp*. Pewna liczba *torpów* położonych koło siebie, w pośród których znajdują się *bostele* dla kapitana, oficerów i podoficerów, tworzy kompanie, bataliony, pułki i t. d.

Prawo urządzające w Szwecyi wojsko łanowe nosiło nazwiska *indelings werket* (rozkładowa praca). Ztąd poszedł wyraz *indelta* oznaczający służbę wojenną rozłożoną na gruntach krajowych. Tym samym sposobem urządzono jazdę łanową. Gustaw Adolf, Karól X. i Karól XII., przy ubóstwie skarbu, bili się z samém niemal wojskiem łanowém. Po śmierci tego ostatniego wielu możnych uwolniło się od obowiązku posyłania żołnierzy, ale, kiedy roku 1812. trzeba było wystąpić z koalicyą przeciw Napoleonowi, Bernadot wymógł na nich, iż zezwolili na ponoszenie wspólnych ciężarów. Odtąd żołnierze posyłani z powyższych gruntów noszą nazwisko *ca-*

*tra-rotkering* (pobór nadzwyczajny), który król powołuje tylko w nagłéj potrzebie.

Każden rozumie, że podobna organizacya, jak to słusznie uważał pełnomocnik, wysłany roku 1831. przez rząd warszawski, 1) musi dawać wojsku szwedzkiemu barwę wysoko narodową. Tak jest w rzeczy saméj. Stany szwedzkie, pomne na jego zasługi, uchwaliły w ostatnich czasach głosem jednomyślnym, zachowanie dawnego składu wojska indeltowego, włożyły *Indelnings werket* w liczbę praw konstytucyjnych i wspólnie z królem poprzysięgły na jego zachowanie. Co rok, w miesiącu Czerwcu, przed rozpoczęciem żniwa, pułki łanowe zbierają się na manewra, które trwają dni dwadzieścia jeden. Przez ten czas *tol* obowiązany jest dawać swemu żołnierzowi żywność w naturze, która jednak bywa zamienianą na podatek płatny rządowi. Musztry kompaniczne odbywają się co niedzielę, po skończonéj mszy. Ludność, przypatrując się z upodobaniem ćwiczeniom żołnierskim, utrzymuje w sobie dawne skłonności wojenne. Zdawałoby się, że podobna organizacya nie powinna sposobić żołnierzy do służby frontowéj, regularnéj i karnéj, ale przykład Szwecyi uczy przeciwnie. P. Daumont zapewnia, że pułki *indelta* nie ustępują w niczém najlepszemu wojsku europejskiemu 2). Tak więc rząd szwedzki ma pod ręką trzydzieści sześć tysięcy dzielnego wojska, które go nie kosztuje ani grosza. Jakąż zbrodnią popełniły sejmy polskie, że zatraciły naszą piechotę łanową!

Pułki indeltowe używane są w czasie pokoju do prac publicznych; ich ręką zbudowaną została twierdza Karlsburg; oni wykopali kanał Gotyjski i wiele innych pomniejszych. Każden pułk wyznacza na ten cel oddział, który na pierwszy rozkaz z bronią i pakunkiem wyrusza pod dowództwem oficerów. Liczba pracujących żołnierzy wy-

---

1) Nasz pełnomocnik zadziwił się, kiedy poznał organizacyą wojska szwedzkiego. Należałoby więc uczyć się wcześniéj rzeczy, które nas obchodzić powinny. Opis szczegółowy armii Szwedzkiéj znajduje się w *Voyage en Suède par Daumont*.

2) Tom II. str. 84.

nosi rocznie około czterech tysięcy, czyli ósmą część całéj piechoty łanowéj. Żołnierze, przybywszy na miejsce wskazane, oddani są pod rozkazy saperów. Każden z nich ma wyznaczoną robotę, *beting*, za którą odbiera nagrodę podług taryfy komissyi wojny. Zwyczajnie żołnierze robią więcéj niż jeden *beting;* tym sposobem płaca ich staje się dość znaczną. Przez cały czas robót zachowują karność wojskową, podlegają apelom, pobudce, czapstrzykom itd. W niedzielę czyszczą broń i mondury, idą na nabożeństwo, a potém występują na musztrę. Prace publiczne dają im sposobność robienia małych oszczędności, które pomnażają dobry byt ich rodzin.

Jak widzimy Szwecya, zachowując instytucyą starożytną, umiała przyjść do tego, co dotąd dla zachodu jest zagadką; posiadać wojsko stałe małym kosztem i używać go korzystnie w czasie pokoju. Pisarze francuzcy, zajmując się rozwiązaniem téj zagadki, sięgnęli dziejów żołnierzy rzymskich, a zapomnieli szwedzkich. Zadziwiający hart, jaki okazywało zawsze wojsko szwedzkie, nie czemu innemu przypisać należy, tylko pracy, w pośród któréj się kształcili. Na wyprawie moskiewskiéj tysiąc dwustu żołnierzy padło jednego dnia ze znoju i głodu u boku Karóla XII., a żaden szmer nie powstał w szeregach. Nie mniejszy hart pokazywała nasza piechota łanowa. Krzywdzona, poniewierana i głodzona, nie uczyniła ani jednego buntu, kiedy rycerstwo konne tyle razy do niego się rzucało o byle zaległość.

Pułki zaciągowe *vaerfvade* złożone z ochotników, tworzą gwardyą i artyleryą. One czynią służbę przy boku królewskim i po twierdzach. Oficerowie téj broni tworzą *jedną całość* z oficerami pułków łanowych. Awans odbywa się bez żadnéj różnicy i podług starszeństwa. *Bevaering* albo konskrypcya, jest to rodzaj pospolitego ruszenia, do którego należy każdy mieszkaniec od dwudziestego pierwszego do dwudziestego piątego roku życia. Rząd ich uzbraja i ubiera, ale nie płaci żołdu tylko kiedy są pod bronią. W miesiącu Czerwcu występują wszyscy na musztrę i manewra trwające dni czter-

naście. Oficerowie do tego rodzaju wojska brani są z pułków łanowych i zaciągowych, dla tego to widzimy tak wielką ich liczbę w kadrach szwedzkich. *Bevaering* przechodził przez różne organizacye; ostatnią zaprowadził Bernadot roku 1812. Należący do *Bevaering* przychodzą na miejsce zboru w zwykłym ubiorze, tutaj dopiero dostają mundury i broń. Po skończonych manewrach składają je napowrót w magazynach, nad któremi są przełożeni stali dozorcy.

Jak widzimy skład siły zbrojnéj w Szwecyi jest dotąd średniowieczny, taki sam mniéj więcéj jaki u nas za lepszych czasów. *Indelta* odpowiada naszéj piechocie łanowéj; *vaerfrade* rycerstwu żołdownemu i rotom królewskim, do których należeli także puszkarze; *bevaering* pospolitemu ruszeniu, przy którem szła często piechota dymowa. Szwecya ma mało wojska zaciągowego, a nie ma wcale tak zwanego liniowego, które rujnuje dzisiaj skarb państw europejskich. Nie utrzymujemy przeto, aby organizacya szwedzka była do naśladowania, wszelako nie możemy się wstrzymać, aby nie wyznać, że w narodach prawdziwie rycerskich powinność obywatelska i patryotyzm umieją uzupełniać to, czego niedostaje instytucyom publicznym. Zachowanie do dziś dnia organizacyi średniowiecznéj w armii, która oparła się Oudinatowi i Neyowi będzie zawsze wielkim zaszczytem, z którego mają prawo chlubić się Szwedzi.

Posiadanie wysp Alandzkich przez Rossyą wystawia Szwecyą na ciągłe niebezpieczeństwo. Wprawdzie kanał zwany Alands-Haf oddzielający główną wyspę od brzegów szwedzkich zamarza rzadko, ale co począć przy szczupłéj liczbie stałego wojska, kiedy się to przytrafi? Bernadot, aby uniknąć napaści z téj strony, wzmocnił Waholm i Sztokholm, a potém urządził tak armią indeltową, aby mogła zebrać się na pierwsze zawołanie. Każda kompania, każden batalion, pułk itd. ma oznaczone miejsce zboru. Sztokholm, Chrystianstadt i Vennersborg przeznaczone zostały na zbór korpusów. Cała armia może być zgromadzona w trzydzieści pięć dni pod Sztokhol-

mem, w trzydzieści dziewięć pod Chrystianstadem, a w czterdziestym pierwszym pod Vennersborgiem. To, co zrobił Bernadot, jest tylko udoskonaleniem zwyczaju średniowiecznego, zastósowanego do wojsk gruntowych. Za dawnéj Polski zbory nie były stałe; oznaczano je zwykle dopiero przez uniwersały. Ztąd pochodziły wszystkie mitręgi, z jakich czujny nieprzyjaciel korzystał.

Stosunek jednéj broni do drugiéj jest w Szwecyi następujący: piechota liczy 163,070 głów, jazda 5,100, artylerya 3,000, a inżyniernia 370. Jak widzimy Szwecya ma zbyt mało jazdy; pochodzi to z braku koni. Artylerya także nie jest dostateczną. Arsenały znajdują się w Sztokholmie, Gothenburgu i w Chrystianstadt. Bernadot, aby ułatwić schron dla wojska, w razie gdyby było pobite na granicy, zbudował w środku twierdzę Karlsburg. Waholm, Hungsholm, Kalskrona, Erfsborg i Chrystianstadt bronią kraju od brzegów. Na wyspie Gothemburg, która nie posiada żołnierzy łanowych, wszyscy mieszkańcy od dwudziestu do pięćdziesięciu lat należą do *Bevaering*. W całéj armii szwedzkiéj, oficerowie do stopnia pułkownika, kiedy awansują, płacą swoim poprzednikom za rangę podług taryfy ułożonéj przez rząd. Podobnie się dzieje w Anglii z różnicą, że w Szwecyi zapłata jest następstwem a nie środkiem awansu. Ze składek miesięcznych oficerowie tworzą kassę emerytur ową; tym sposobem rząd jest wolnym od znacznych ciężarów. Roku 1832. uchwalono, że kassa emerytalna może zaliczać awansującemu oficerowi summę potrzebną na zapłacenie rangi z warunkiem dawania sześć od sta rocznie, z czego pięć od sta idzie na procent a jedno na umorzenie. Za pomocą téj kombinacyi stopnie oficerskie są dziś przystępne dla wszystkich. Wojsko zaciągowe tworzy oprócz artyleryi dwa pułki piesze i jeden jazdy. Wyrobienie jego jest dostateczne. W wolnych godzinach żołnierze mogą najmować się do pracy.

We flocie szwedzkiéj szalupy kanonierskie odegrywają ważną rolę. Budowa ich została zastósowaną do służby, jaką czynić mogą na morzu bałtyckiém pełném skał,

wysp i mielizn. Porta wojenne znajdują się w Sztokholmie i Gothenburgu. Aby ułatwić połączenie flot, wykopano od dwóch portów kanał zwany Gotüskim, na którym okręta z łatwością mogą być holowane W Karlskronie stoją wielkie okręta. Szwecya mogłaby trzymać znaczną flotę, bo usposobienie mieszkańców jest żeglarskie. Nalegają o to Anglicy, ale brak materiałów budowlanych rzecz utrudnia. Szwecya musi kupować na stałym lądzie drzewo dębowe i konopie.

W Szwecyi klassa szlachecka wynosi 2500 rodzin, czyli 13,500 głów, z których 5,000 zamieszkuje miasta a reszta wsie. W Hiszpanii Szlachta na tysiąc mieszkańców liczy 410 głów, w Austryi 160, w Rossyi 110, we Francyi 90, w Anglii 60, a w Szwecyi 40. W ogóle szlachta szwedzka jest obdłużona: najbogatsze familije są Geer, Adlerswaerd i Bond. W Anglii klassa mieszczańska tworzy połowę całéj ludności, we Francyi trzecią część, a w Szwecyi tylko dziesiątą. Widzimy z tego, że siła półwyspu północnego zasadza się na klassie włościańskiéj. Długie uczestnictwo w wojnach i sprawach publicznych uczyniło ją światłą, dostatnią, rzędną i pracowitą. Wszyscy chłopi umieją czytać i pisać, wielu posyła dzieci do Uniwersytetów; W Upsalskim na 900 uczniów jest ich przeszło sto, a w Lundskim jeszcze więcéj.

Chłopi trzymają grunta różnym sposobem: jedni płacą czynsz, drudzy dzielą się plonem, trzeci dają robociznę, a reszta są właścicielami. Ci ostatni tylko mają prawo posyłania deputowanych na sejm. Liczba ich wzrosła, bo Karól XI. dał chłopom królewskim prawo okupowania się za summę równą sześcioletniemu przychodowi. Od roku 1772. chłop może nabywać wszystkie grunta bez różnicy, czy to królewskie, czy duchowne, czy szlacheckie. Właściciele wiejscy posiadają dziś połowę ziemi. Wielu z nich posiada majątki dochodzące wartości stu sześćdziesiąt tysięcy złotych. Jest to klassa najmniéj obdłużona: obrachowano, że jéj długi hipoteczne nie przechodzą czwartéj części wartości, kiedy szlacheckie dochodzą po-

łowy. Stosunek właścicieli chłopskich do ludności jest ten sam prawie w Szwecyi co we Francyi. Pierwsza przyszła do tego drogą sprawiedliwości i rozumu, a druga drogą rewolucyjną, ale błogość skutków jest w obydwóch taż sama.

Szwecya, nie posiadając majoratów ni w klassie szlacheckiéj ni w chłopskiéj, musiała upowszechnić zwyczaj równego podziału ziemi między dzieci. Przekroczenie miary w drobieniu własności byłoby szkodliwe, dla tego rząd zakazał dzielenia gruntów nieprzechodzących dziesięciu morgów. Chłopi byli niechętni temu. Aby ująć sobie tych, którzy mieszkali w Dalekarlii, Karól jedynasty uwolnił ich od zakazu. Powyższy przywiléj stał się z czasem klęską dla rolnictwa: są grunta w Dalekarlii tak małe, że ich wartość równa się opłacie stęplowéj 1). Rząd dzisiejszy obmyśla kroki jak temu przeszkodzić, ale postępuje ostrożnie bo namiętność chłopa do ziemi jest wysoka. Zresztą złe, o którém mówimy przynosi z innéj strony wielkie korzyści, ponieważ chroni Szwecyą od proletariatu angielskiego. Chłopi Dalekarlii, w skutek zbytniego rozdziału ziemi, zamienili się na ludzi przemysłowych, dla których grunt jest tylko schronieniem, a rolnictwo rozrywką. Podobnie się dzieje we Francyi. Zyskuje na tém moralność ludu; chłopi, stając się rzemieślnikami albo wyrobnikami, zachowują związki rodzinne; mała własność jest dla nich oznaką obywatelstwa, a przychód z niéj rezerwą, z któréj mogą korzystać w czasach trudnych.

Po wsiach Dalekarlii chłopstwo wyrabia pługi, wozy, brony i inne sprzęta rólnicze. W Mora i Orneas robi zegary ścienne, w innych stronach szafy, beczki, kołowroty, koszyki i t. d. W Hedemora kuje kosy i leje piece żelazne; w Elfdal robi grzęple znajdujące pokup nawet za granicą. Chłopi są rolnikami a przytém szewcami, kowalami, cieślami, stolarzami, krawcami, mularzami i t. d. Wielu z nich pracuje w kopalniach i fabryce wy-

1) Daumont Tom I. str. 336.

robów porfirowych. Rólnictwo jest dla nich wytchnieniem. Nieszczęściem nieurodzajność ziemi często ich pozbawia możności wyżywienia się. Zdarzają się lata, że muszą spożywać chleb robiony z kory drzewnéj. Zarobek ich także, przy niskości przemysłu i braku fabryk, jest mały. To wszystko wystawia Szwecyą na częste wstrząśnienia, których rząd usunąć nie jest w stanie.

Włościanie szwedzcy posyłają na sejm stu pięćdziesięciu deputowanych. Wieczorem, po skończonych obradach, zbierają się do klubu na fajkę, piwo i rozmowę. „Jest to rzecz ciekawa, mówi P. Daumont 1), spoglądać na chłopów ubranych w długie i grube sukmany, jak rozprawiają o interesach publicznych. Cechuje ich zawsze zdrowy sąd, jakiegoby pozazdrościł im niejeden człowiek stanu. Wielu z nich odebrało wyższe wykształcenie; niektórzy władają niepospolitym talentem. Ich wymowa zwykle spokojna i przekonywająca, oznacza się prostotą i męzkością, ale kiedy potrzeba poruszyć słuchaczy w imie ojczyzny, wzbija się do myśli szczytnych i szlachetnych. Anders Danielson, deputowany z Westrogocyi, liczony był do najznakomitszych mówców włościańskich.“

Chłopstwo szwedzkie, stawione między szlachtą, duchowieństwem i władzą królewską, znajduje się nieraz w trudném położeniu. Konstytucya z roku 1809., spisana na prędce, jest nieporządną i częstokroć sprzeczną z sobą. Każden ojciec familii szlacheckiéj ma prawo zasiadania na sejmie, zdarza się więc nieraz, iż ludzie znani za sprzedajnych i zbrodniarzy obradują nad najważniejszemi sprawami dla tego tylko, że należą do klassy uprzywilejowanéj. Duchowieństwo, mówi P. Daumont, żywi ciągle dążenie możnowładcze, trudni się sprawami świeckiemi i intrygą 2). Jednakże mimo to duchowieństwo stanowi najświatlejszy organ sejmowy i czoło umysłowości całego narodu. Wysyłanie deputowanych osobne stosownie do stanów ma niedogodności, albowiem znajduje

---

1) Tom II. str. 218.
2) Tom II. str. 223.

się wielu mieszkańców nienależących legalnie do żadnego stanu. Mieszczanin naprzykład kupujący majętność wiejską niema prawa głosowania, bo nie należy do stanu chłopskiego i nie należy już do stanu mieszczańskiego. W takiém położeniu znajduje się wielu najgodniejszych obywateli, a między innymi właściciele kopalni i hamerni. Dopiero od roku 1821. ci ostatni otrzymali prawo posyłania trzech deputowanych do izby mieszczańskiéj.

Obradowanie stanów osobno ma także swe niedogodności, bo ułatwia pole do intrygi, z któréj klassy wyższe i rząd niezaniedbują korzystać. Dzieje się to tém łatwiéj, że przez poniżający przywiléj stan szlachecki odbywa swe obrady przy drzwiach zamkniętych. Roku 1840. wniesiono projekt połączenia stanów w jedną izbę na sposób angielski i francuzki. Było za tém mieszczaństwo i duchowieństwo, ale szlachta, chłopi i rząd oparli się. Szlachta lękała się naruszenia swych przywilejów, a król zmniejszenia swego wpływu. Stan chłopski sądził, że połączenie izby wystawi go na inne niebezpieczeństwo: na nadużycie wymowy, talentu i błędy, które z tego wychodzą. W jego przekonaniu złączenie izby zmniejszyłoby wagę deputowanych włościańskich. Wszystko pokazuje, że chłopi szwedzcy nie ufają jeszcze swojéj zdolności i lękają się przewagi majątków. „Obradując osobno, mówią, wystawieni jesteśmy na intrygi, ale to nie jest jeszcze złe największe. W odosobnieniu możemy przynajmniéj bronić naszych praw i znaczyć coś w obradach publicznych.“ Sejm zawiesił do roku 1845. rozprawy nad projektem reformy konstytucyi, ale uchwalił jawność obrad stanu szlacheckiego. Sejm z roku 1845. nie dokonał połączenia izb i ograniczył się na zniesieniu cechów rzemieślniczych.

Oświata w Szwecyi ma tło niemieckie, a w Norwegii duńskie. Niemcy są tu najwięcéj lubieni, potém idą Anglicy i Francuzi. Nienawiść do Duńczyków całkiem ustała a zastąpiła ją nienawiść do Rossyi 1). Towarzy-

1) Daumont. Tom I. str. 238.

stwa jak stany żyją odosobnione. Szlachta odznacza się polorem, a duchowni, których jest ośmnaście tysięcy, nauką i poważaniem. Przychody pastorów są bogate; oni czytają zwykle z kazalnic prawa sejmowe i rozporządzenia rządu, oni także przypominają o opłatach podatków do skarbu. Wszyscy Szwedzi są religii protestanckiéj. Wyznanie katolickie tolerowane jest dopiero od r. 1781.; liczba jego wyznawców, złożona z samych cudzoziemców, nie dochodzi dwóch tysięcy. W Sztokholmie jest dla nich kaplica, przy któréj założono dom dla sierót utrzymywany ze składek zbieranych w Austryi, Portugalii, Bawaryi i Francyi. Od lat sześciudziesiąt wolno zamieszkiwać Szwecyą żydom; jest ich obecnie około tysiąca.

Uniwersyteta są urządzone trybem niemieckim. Prace Lineusza i Berzeliusza wytknęły piękną tradycyą dla umiejętności ścisłych, ale nauki historyczne i czysto literackie są słabe. Poeci opiewają dzieła Gustawa Adolfa i Karóla dwunastego, jednakże śpiew ich jest smętny. Wolność druku istnieje właściwie od panowania Karóla trzynastego; lecz rząd ma prawo zakazać publikacyi dziennika, którego redakcyą uważa za szkodliwą. Wydawane w małym formacie, pisane niedbale, cena ich jest bardzo niska. Najlepszy ma być *Argus*, *kuryer Sztokholmski*; wychodzi codzień, wyjąwszy w Niedzielę. Jest to najdawniejszy dziennik. Co rok mnożą się nowe pisma, bo wolność od stempla i składania kaucyi ułatwia im możność do tego; ale trwanie ich jest niedługie, a wpływ jest szczupły. Z przeglądów najlepszy ma być *Swea*. Wychodzące książki są pospolicie tłumaczeniem z niemieckiego, francuzkiego i angielskiego. Naśladownictwo cudzoziemczyzny zabija literaturę i kazi smak publiczny.

Natura szwedzka przedstawia obraz wspaniały, pełen pięknych widoków i dziwnych zjawisk północnego światła. W lecie okolice nadmorskie przypominają podróżnemu krajobrazy Włoch i Hiszpanii. Jednakże mało tu dzieł architektonicznych: nawet po większych miastach budowle są mierne. To dało powód jednemu Włocho-

wi do powiedzenia, że Szwecya jest ojczyzną trawy. Charakter Szwedów ma być zaciętym, kłótliwym i pieniaczym 1). Przy ubóstwie krajowém i trudności dorobienia się majątku mieszkańcy bronią każdéj piędzi ziemi z zaciekłością. W ogóle umysł ich jest powolny lecz energiczny, nacechowany żądzą akcyi. Chłopi noszą zawsze noże u pasa. Zdarzają się między nimi krwawe pojedynki, ale odznacza ich dobra wiara.

W Norwegii lud wiejski żyje po największéj części w spólności rodowéj. *Gor* są to budynki obejmujące jedną rodzinę. Zwyczajnie kilkanaście albo kilkadziesiąt *gorów*, rozpostartych na kilkomilowéj przestrzeni, tworzy jedną wioskę, w środku któréj znajduje się kościół, szkoła i zbrojownia kompaniczna. W Norwegii szlachectwo jest rzadkie i tylko osobiste. Patryarchalne obyczaje mieszkańców oparły się zaprowadzeniu szlachty dziedzicznéj przez Bernadota. W Norwegii miasta mówią i piszą językiem duńskim, po wsiach zaś używają dawego narzecza skandynawskiego, który zbliża się do szwedzkiego.

Życie rodowe jest także zwyczajne w Szwecyi, ale wioski ścieśnione są częstsze. Lud jest rosły i silny; kobiety są piękne. Sąsiedztwo Rossyi szerzy coraz bardziéj zepsucie. Wszystkie niemal kobiety publiczne w Petersburgu pochodzą ze Szwecyi i Finlandyi 2). Chłop Dalekarlii jest zręczny, wytrzymały i wstrzemięźliwy; żywi się kaszą i chlebem, który piecze dwa albo trzy razy na rok. Kartofle i ryby są zbytkiem dla niego, a masło i wódka oznaką zamożności. W innych prowincyach dostatek jest ogólny, ale za to mniejsza wstrzemięźliwość. Mieszkania chłopskie są chędogie i wygodne; gospodynie posypują podłogi liśćmi jodłowemi, a kiedy nadchodzi wiosna, stroją całe domy w gałęzie zielone. P. Ampère podaje, że we Francyi nazywają Szwedów albo ***Espagnols***

---

1) Daumont Tom I. str. 230.
2) Daumont Tom I. str. 246.

*du Nord* albo *Gascons du Nord* 1). Wiemy, że ostatnia nazwa dostaje się często Polakom 2), ale nie możemy sobie wytłumaczyć dla czego dostała się tym, którzy obrali na tron Bernadota, współziomka Henryka IV.

1) Litterature et Voyage. Allemande et Scandinavie r. 1833. p. 128.

2) W mowie potocznéj p. d' Hauterive napisał w jednym liście do Tayllerauda : Le prince Murat a l' air assez polonais: il et brave, brillant, depensier et gascon.

# Kilka ostatnich polskich powieści.

*Listopad, romans historyczny z drugiéj połowy ośmnastego wieku przez autora Pamiątek starego szlachcica, 3 Tomy, w Petersburgu 1845 i 1846.*

*Pamiętniki nieznajomego, przez J. J. Kraszewskiego. Wilno 1846.*

*Rachel, powieść przez Zegotę Kostrowca (X. J. Hołowińskiego.) Wilno 1847.*

*Kataleptyk, powieść Nieboszczyka Pantofla, ogłoszona przez Eleonorę Sztyrmer, 2 Tomy. Wilno 1846.*

*Kollokacya, przez Józefa Korzeniowskiego. Wilno 1847.*

*W kraju i za granicą, powieść przez Wacława Mańkowskiego. 2 Tomy. Lipsk 1847.*

Wyleśmy miejsca poświęcili powieści *Listopad*, że z innemi krótko nam się rozprawić wypada. Nie popełniamy niesprawiedliwości, bo *Listopad* ze wszystkiemi swemi niedostatkami, dla tego, co w nim dobrego i dla tego, co złego nawet, zupełnie ma inne znaczenie od utworów, do których teraz przystępujemy.

Dla P. Kraszewskiego raz przecie możemy pochwałę wypisać; *Pamiętniki Nieznajomego* są dobrą, na prawdziwéj myśli osnowaną, zdrowo pojętą, dosyć poprawnie i z życiem napisaną książką. W porównaniu z innemi powieściami autora, spostrzegamy tu jakąś dojrzałość, która już nas i w artykułach umieszczanych w Athenaeum jak

np. w artykule o Żydzie Wiecznym uderzyła. Przesada, zły smak, które nas dawniéj w tym zapłodnym pisarzu raziły, w *Pamiętnikach Nieznajomego* rzadziéj się przebijają. Postęp jest widoczny i zadaje fałsze twierdzeniu *Listopada*, że talent powieściopisarza litewskiego w słup poszedł.

Myśl główną sam P. Kraszewski tak w ciągu powieści wyraża:

Powiedzmy to sobie, powtórzmy sto razy, zapiszmy, aby nam było przytomnem co chwila. Człowieka celem nie jest szczęście, człowieka celem jest cnota. Cnota, która obejmuje sobą spełnienie obowiązków, moralne wzniesienie się, udoskonalenie, ofiary, wszystko. Człowieka celem nie jest szczęście, a kto życie pojął fałszywie, zapatrzywszy się na to, że jedne rzeczy go głaszczą, drugie kolą, ten tylko stękać potrafi.

Cała powieść przez odczarowanie do rezygnacyi prowadzi. Odczarowanie nie jest spokojne, i żale i ból czuć w każdém słowie, cnota ukazuje się raczéj jak gorzkie lekarstwo niżli jako siła i swoboda; ale trudno żądać więcéj od człowieka, a takim jest w końcu bohater, u którego się jeszcze wczorajsze rany nie pogoiły.

Nieznajomy czyli Juliusz, który nam bardzo przypomina bohatera z powieści *Swiat i Poeta*, za przyjazdem do Wilna na uniwersytet, zaczyna pisać swój dziennik. Pierwsze stronnice są pełne uniesień dla Boga, iskrzą się życiem i nadzieją. Dla niego

Życie to cudowne słodki sen między zapomnianą przeszłością, a przyszłością, do któréj serce bije i wzdyma się.

Zaledwie z daleka nasuwa się Juliuszowi wątpliwość, że może ochłodnąć, zesmutnieć, zawieść się i odmienić. On mówi:

Nie powinienbym i nie mogę ostygnąć; marzę ja piękny, piękny wiek siły i dojrzałości i pogodną prześliczną starość. Po niéj, jak pogodnego dnia jesień, suną się jedwabne nicie pajęcze, świecą pozłocone drzew liście, wieje wiatr ciepły i zdrowy.....

Młodość widzi jedną najcudniejszą stronę *prawdy*, widzi *piękno*. Dla niéj wszystko harmonią i pięknością: pojmujecież wyższe szczęście? We śnie skarby, przedemną

świat cudny, jasny, szeroki, rozmaity, kraina złota i drogich kamieni: nie schylaj się nawet: nie potrzeba! Masz je w sobie, około siebie, stąpasz po nich, gną ci się z gałęźmi do ręki i ust owoce.....

Pamiętam wiosny, pomnę lata i jesienie i długie pasmo różnobarwne wite z zielonych, złocistych, purpurowych i białych nici; moje zabawki dziecinne, moją ciekawość chciwą, co się tak właśnie ku światu rzucała umysłem, jak inne dzieci na księżyc rękoma. Wieleż to rzeczy wówczas mi pobożnie tłómaczonych, do dziś dnia jeszcze pozostało dla serca pragnieniem, dla głowy zagadką.

Drudzy się nudzą młodością swoją: ja się w nią stroję, jak w świąteczną suknię chłopek, ja się cieszę, czuję ją, jako skrzydła bark moich; jam nią nienasycony. Tyle mi potrzeba uczyć się jeszcze, tyle zrozumieć, tyle widzieć uczuć i wielbić.

Juliusz przyzywa wszelkiemi siłami miłości, zaklęcie łatwe do znalezienia bez ksiąg kabalistycznych, kiedy kto ma lat dwadzieścia. Serce jego a bardziéj jeszcze fantazyę obudza kobieta nie zupełnie młoda ale piękna i smutna, którą szczęśliwém zdarzeniem po dwakroć spotyka na przechadzce. Za drugą razą z marzenia cuci go sprzeciwieństwem naga rzeczywistość.

Z Tivoli i Chin kilku przypóźnionych graczów billardowych i przyjaciół kieliszka, głośno rozprawiając siadali na oczekujące drążki. Mój Boże godziż się tak trawić życie? tegom jeszcze nigdy pojąć nie umiał, jak w jednym gwarze ogłupiającym, w jadle i napoju można przeżyć całe życie i nietesknić za czemś lepszem.

Tu staje przed nami w powieści P. Tadeusz Wrzosek, człowiek szczególniejszy, za szczególny na nasze nieexcentryczne obyczaje. Bardzo uczony chce uchodzić za nieuka, wierzący za skeptyka, kochający i wylany za suchego i niedowierzającego. Wrzosek opiekuje się Juliuszem, a opiekuje z drobiazgową troskliwością, co chwila daje mu dowody żywego przywiązania, a mimo to na jego poetyczne uniesienia ciągle mrozem wieje. Przytoczymy jedną ich rozmowę.

Waćpanu się kobiety świecą, gdyby próchno w nocy, co na dyamenty wygląda, a po dniu zgnilizna! Zobaczysz, doświadczysz! — Mój drogi kochany panie, przerwałem, za cóż tak gorzkie zdanie o ludziach, o droższéj i piękniejszéj,

o szlachetniejszéj połowie ludzkości. — Droższéj, piękniejszéj, szlachetniejszéj połowie! Ha! ha! wyśmienity! Cała ta połowa szeląga nie warta..... — A druga? — Mniéj jeszcze. — Przestraszasz mnie! zmiłuj się, toż to nie odwołane twe zdanie o ludzkości? — Nie odwołam. — Więc nie kochasz nikogo? — Niech mnie Bóg broni! I ramionami ruszył. A mnie to na co! — Dla czegóż zajmujesz się naprzykład mną, matką moją. — Tak sobie... co Waści do tego. A że i was nie kocham to nie. — Kto wierzy w ludzi i kocha ich, zginiony. — Dla tego z góry widzę, żeś przepadł mój drogi. Połowę życia będziesz się marnie spodziewał, drugą połowę na zawiedzione nadzieje karwęczał.

Juliusz raz mądrą uwagę nad P. Wrzoskim i nad sobą robi:

Zgadzamy się na jedno. — Na cnotę, na obowiązki, jedném słowem na moralność chrześciańską, czemuż się wreszcie tak szeroko rozchodzim? Mielibyśmy przesadzać oba? Miałażby prawda być w pośrodku nas?

Nasz mizantrop, żeby uratować Juliusza od Jenerałowéj owéj smutnéj piękności, opowiada mu, że jego własny syn do rozpaczy jéj lekkomyślnością przywiedziony, życie sobie odebrał. Mówi o niéj:

Zawsze zalotna w różny sposób w początku, dająca nadzieje, zakochana nawet; po pewnym przeciągu czasu odwraca się zimna, znużona i nie raczy spojrzeć nawet na swoją ofiarę.

Kiedy to nie pomaga, prowadzi młodzieńca do rejentostwa, których córkę Maryą bardzo był on sobie z pierwszego widzenia upodobał. Zawiązuje się miłość między Juliuszem i Maryą. Chwilę waha się bohater powieści między dwoma kobietami, w końcu Maryi wierność niezmienną obiecuje. Marya póki nie kochała była pusta i wesoła, pokochawszy całą siłą duszy smutnieje i wątpić zaczyna; rzecz dziwna a jednak podobna do prawdy, nie chce uwierzyć w szczęście, które się do niéj uśmiecha.

Czy też nigdy nie uważałeś, spytała — w obcem miejscu, w podróży, jak się czasem spotykamy z ludźmi zda się znanymi, których gdzieś niby widzieliśmy i kochali; z którymi zamienim tylko jedno wejrzenie, i idziem każdy w swoją stronę, na wieki. Takie są wszystkie ludzkie związki, jedno wejrzenie, jedno słowo, jeden rok, a nawet całe jedno życie, cała jedna młodość, nierównez są, gdy minęły? I czy

nie lepiéj czasem rzucić się i rozstać, nim naprzykrzym się sobie, nim się odczarujém, unosząc skrzydlatą anielską pamiątkę? A potem życia resztę, żyć marzeniem pięknem, piękniejszem od rzeczywistości.

Juliusz wyjeżdża na wieś do matki na wakacye. W sąsiedztwie téj wsi mieszka krewny ich Podkomorzy z córką Cesią pełną przymiotów, pełną serca i prostoty dziewczyną, która kocha skrycie Juliusza, ale do jego fantazyi niczem przemówić nie umie.

Podczas wakacyi wielki cios na naszego młodzieńca spada: Marya idzie za mąż dla zapewnienia losu rodzicom, idzie za mąż, nie wykorzeniwszy z serca dawnéj miłości. Juliusz zrazu rozpacza, długo się pasuje z boleścią, w końcu dopiero przezwycięża ją i za namową Wrzoska, który go ozdrowić przyjechał, do Wilna wraca. W Wilnie spotyka Jenerałową na pół pocieszoną przy mężu materyaliście i pasibrzuchu, spotyka Maryą upadającą pod ciężarem smutku. Marya niedługo potem umiera i tu dziennik urywa się na lat kilka.

Juliusz znowu rozpoczyna pisać na wsi, gdzie sam po śmierci matki mieszka. Zbliżony do Cesi ocenia jéj przymioty i spokojnie przywiązawszy się, bierze za żonę.

Tu się właściwie powieść skończyć była powinna; inaczéj P. Kraszewski osądził i jeszcze raz Juliusza na ciężką próbę wystawił. Pani Iza wdowa z Petersburga, coś nakształt lwicy przybywa do Cesi kuzynki swojéj i siłą rozumu a dziwném bogactwem usposobienia podbija Juliusza, który zawsze więcéj fantazyą jak sercem daje się powodować. Walka kończy się ze strony Juliusza na pokonaniu siebie samego, ale trwa lat kilka. W końcu Juliusz bierze niezłomne postanowienie zamknięcia się w kole obowiązków rodzinnych.

W Epilogu znajdujemy dobre myśli choć trochę pospolicie wyrażone.

Juliusz uczuł potrzebę silnego zajęcia, pracy, coby się sercu samolubnemu z piersi wyrywać nie dała. Gdybyśmy pracować chcieli! ileż do tego pomocy, ileż więcéj niż gdzieindziéj mamy zręczności..... Mieszkamy na ziemi, któréj materyalna uprawa zaniedbana, — stoim obok ludzi, względ-

dem których najświętsze mamy obowiązki nauczycielstwa, opieki; żyjem w społeczeństwie, na które skutecznie wpływać możemy; ostatecznie mamy przed sobą pole nie obejrzane okiem, umiejętności, sztukę rozmyślania.

Biada temu kto u nas pracować nie chce, mówiąc, że praca niepodobieństwem. Nigdzie ona szerszego pola nie ma, większych nie obiecuje korzyści. Juliusz pojął jak wielostronnie użytecznym być mógł i wziął się do roboty. Jedno zajęcie było mu wytchnieniem po drugiem; życie biegło jak strzała do celu i czas co drugim tak cięży, że go zabijać muszą, wydał mu się niepochwyconym. Nie jeden raz jeszcze ozwała się w sercu tęsknota, nie jeden raz łza potoczyła się po twarzy niewidziana, sen mu odnowił wrażenia młodości i nadzieje tamtego wieku; nie jeden ranek pochmurny zszedł na rozmyślaniu i wspomnieniach. Ale życie tymczasem upływało.....

Takie słowa przeczytawszy każdy wzmocniony zostanie.

Nie wspomnieliśmy pobocznych ustępów; jest ich kilka, a wszystkie z życia studenckiego w Wilnie. Raz wprowadza nas autor na zebranie studentów i mówi między innemi:

Rozmowa z rozerwanéj przelała się w jedną i stała dla wszystkich zajmującą; zeszliśmy z drobnych osobistości naszych, na plac szeroki zagadnień obchodzących wszystkich. Młodzież to tylko rozprawiać umie i przedmiot tych rozpraw lubi. W późniejszym wieku jedni idą oparci na wierze, drudzy na obojętności, inni na wyrobionem jako tako przekonaniu. W pierwszych tych latach tylko człowiek się bije głową o zapory zakrywające mu niedocieczone tajemnice. Mówiliśmy o życiu, o przyszłości, o duszy, o nieśmiertelności, nie tak uczono jak z serdecznem i namiętnem zajęciem.

Ustęp o biednym Adamie, który nie może zdać examinu i z miłości dla zimnéj kobiety dostaje pomięszania zmysłów, mimo przesady w szczegółach jest zajmujący. Ładniejsza jeszcze, bardziéj rozrzewniająca wydała się nam historya Rafaela, który piękny jak jego rzymski imiennik, czysty myślą i sercem jak jego patron prawie napotyka na swojéj drodze garbatego Marcellego, przezwanego Ezopem wzór złości i zepsucia: Marcelli obudza litość Rafaela, bierze nad nim przewagę i w końcu w najbrudniejszą rozpustę go wpycha.

W świecie moralnym szatańską jakąś siłą jadu pociąga ku sobie wielkie zepsucie. Rodzi ono w niewinnéj duszy naprzód wstręt, potem niespokojną jakąś ciekawość, nareszcie magnetyczny pociąg. — Niepróżno we wszystkich naukach moralnych, występek nazywa się zarazą, a przestroga jest zachętą do szybkiéj ucieczki. — Nie walczyć tu należy lecz uciekać. Pewniejsza daleko ucieczka niż zwycięztwo.

Rafael jak kwiat podcięty więdnieje i umiera.

Wszystkie ustępy to tylko oddzielne noty téj ciągle powtarzającéj się zwrotki, że nie ma szczęścia na świecie.

Najgłówniejszy zarzut, jaki P. Kraszewskiemu zrobić mamy jest, że mu brak miary w każdéj rzeczy. Charaktery powieści z wyjątkiem Maryi, któréj tęsknota wdzięcznie wabi i Cesi zdobnéj w prawdziwą prostotę, wszystkie są przesadzone. Juliusz fanfaronuje z sobą samym, we własnym dzienniku co chwila wspomina Platona, Ossiana, Rafaela, Murylla, Beethovena i nawet pozwala sobie filozofować chwilami; Generałowa gra na fortepianie jak Liszt, a dom ma urządzony jak heroina Balzaka; Iza zna wszystko i śmiało Guizota z piedestalu naukowego zwala; nawet ten Wrzosek poczciwy, którego tak łatwo było odrysować, bo mizantropy, choć w życiu nie zawsze pociągają, na teatrze i w powieściach udają się za każdą razą, nawet Wrzosek za wiele wątpi i za wiele umie. Autor nauką szczególniéj tak dla swoich bohaterów szafuje, jak Scribe milionami w wodwilach. Żeby też raz chciał uwierzyć, że każdy jego pomysł, a zwykle jako dziecko szczęścia miewa pomysły szczęśliwe, zyskałby nieskończenie na wykonaniu prostszém, na uchwyceniu siebie w warunkach zwyczajniejszych.

Przesada nietylko w charakterach, ale i w stylu razi; pospolite a za mocne wykrzykniki napotykamy często, w jedném miejscu P. Kraszewski mówi o *lodzie wyciśniętym na kształt płomienia;* takie wszystkie usterki dowodzą pospiechu i braku powagi, skupienia, przejęcia się w autorze. Zkądinąd język choć wiotki i nieogrzany prawdziwym zapałem, jest poprawny i giętki. Na karb zaniedbania położyć musimy tę okoliczność, że Juliusz, który w Wilnie postawiony jest wśród ludzi i stósunków dzi-

siejszych, potém jeszcze długie lata na świecie gości. P. Kraszewski powinien pamiętać, że staranność w piszącym jest to samo, co grzeczność w człowieku żyjącym na świecie.

---

Nie jesteśmy w ogóle stronnikami powieści tak nazwanych religijnych. Mają one w sobie coś fałszywego, przymuszonego; najdelikatniejsze nawet usposobienie w piszącym nie zawsze dzieło w granicach dobrego smaku zatrzymać zdoła; jednostajność i nuda, a co warta nudna powieść, są prawie nieuchronne. Rodzaj ten dosyć znany we Francyi, gdzie *Anna Marya*, pani *Tarbé de Sablons* i *Veuillot* pewną mu wziętość za naszych czasów zapewnili; w Polsce dotąd leżał odłogiem. Pierwszy ks. Hołowiński otwiera szranki, w którychbyśmy nie życzyli, żeby miał wielu naśladowców. Religią zostawmy w sferze poważnéj, niech przenika ona każdą myśl naszą, każde natchnienie uświęca; ale niech w swoim charakterze nie występuje tylko tam, gdzie ją czcią i uszanowaniem otoczyć możemy. Pragniemy, żeby książek religijnéj treści jak najwięcéj wychodziło, żeby książki belletrystyczne i naukowe były u nas zgodne z religią i przychylne religii, ale mięszaninie rodzajów nie sprzyjamy. Szczerze powiemy: nas razi także fakt, że ksiądz romans napisał. Uznajemy, że myśl tego utworu jest czysta i budująca; wszakże powołaniem księdza jest nauczać, nie bawić; niemniéj trudno nam pojąć, jak dzisiaj przy tylu niedostatkach i tylu potrzebach kościoła polskiego, Dyrektor akademii duchownéj ma czas na podobne zabawki literackie. Przykład idący z góry jest zawsze najniebezpieczniejszy. Kiedy osoba kierująca wychowaniam Lewitów w belletrystyce ma upodobanie i upodobanie wyłączne; nie podobna, żeby młodzi kapłani także nie brali belletrystycznego kierunku; znajomość wszelkiéj literatury jest oświeconemu kapłanowi koniecznie potrzebna, ale wyraźniejszy belletrystyczny kierunek ani powołaniu w ogóle, ani wielkim potrzebom dzisiajszym kraju naszego nieodpowiada.

Na tytule znajdujemy wypisany pseudonim i nazwisko istotne autora. Ks. Hołowiński snać w pierwszéj chwili wybierania się na tę wyprawę świecką pomyślał i słusznie, że lepiéj ubiór kapłański płaszczem zakryć, namyślił się potem i zrobił tak, jak się to często na maszkaradach wydarza: ktoś przychodzi na salą w domino i w masce, potem maskę odkrywa, a domina dla tego nie zdejmuje. Czasem to zabawnie wygląda, w literaturze nie przypominamy sobie podobnie na samym wstępie zdradzanego incognito.

Mamy niejaki kłopot z napisaniem recenzyi na Rachelę. Wszystko w téj powieści znajdujemy uczciwe, nawet niepospolite, a jednak razem wziąwszy trudno ją do końca przeczytać; osoby działające są szlachetne, ze znajomością serca ludzkiego odmalowane, a jednak nie pociągają. Zkądże to pochodzi? Oto autorowi brak natchnienia żywego, brak talentu do zadramatyzowania, obudzenia interesu, brak uczucia proporcyi i brak swobody w sposobie. Przedmiot także został źle wybrany. Interes opiera się na przejściu żydówki do chrześciaństwa. Takie wydarzenie nie jest, nie może być przedmiotem do powieści. Wprawdzie autor miłością sprawę zagmatwał; ale, że, jak doskonale zrozumiał, żydówka kochać nie może, boby pobudki jéj nawrócenia przy miłości do chrześcianina mniéj czysto jaśniały, Karól tylko sam się przywiązuje. To przywiązanie szlachetne, troche blade, prędzéj męczy, jak zajmuje czytelnika.

Wszystkie charaktery są dobrze pojęte, a kobiece jeszcze oprócz tego bardzo delikatnie narysowane. Tak rzadko u naszych pisarzy piękne kobiece postaci napotykamy; Rachela, Klara i Marszałkowa dziwnie miłe zrobiły na nas wrażenie.

Historya Racheli, gdybyśmy ją w właściwych ramach, w jakiéj budującéj książce chrześcijańskiéj znaleźli, bardzoby się nam podobała i rozstrzyga ona żywym przykładem, przykładem prawdopodobnym, jedno z najtrudniejszych zadań o łasce. Wypisujemy najważniejszy ustęp, który nas najwięcéj uderzył i prawdziwie zajął:

Rachel była córką Abramka. W piątym roku uderzyła ją różnica imion chrześciańskich od żydowskich i pierwsze niewiedzieć dla czego były jéj przyjemniejsze. Szczególniéj lubiła imie Marya: biegając po karczmie, zwykła była je śpiewać w dziecinnéj nucie, na co matka nie zwracała uwagi. Podrosłszy w lata bawiła się ciągle z dziewczątkami wiejskiemi, które razem z nią pasły trzody niedaleko od karczmy, tak po całych dniach najswobodniéj obcowała z chrześciańskiemi dziećmi. Wpośród innych zabaw, zwykły były dziewczynki splatać wianek i wieńczyć posąg Maryi w pobliskiéj kapliczce. Rachel z największą jakąś roskoszą brała udział w tym niewinnym sposobie oddawania czci Niepokalanéj Dziewicy. Tak mimowolnie rosło w jéj sercu coraz większe przywiązanie i ufność do Maryi. Zdarzyło się, że jednéj wiejskiéj dziewczynce zginęła była owieczka, w strachu i obawie kary od rodziców, udała się z modlitwą do kapliczki i w przytomności Racheli z innemi dziewczętami dało się zaraz słyszeć beczenie owcy, którą niedaleko ztamtąd w krzakach znaleźli. Od téj pory, Rachel obrała ten posąg Maryi za jedyną ucieczkę we wszystkich swoich potrzebach: czy to była chora jéj matka, czy słyszała ojca skarzącego się na jakie ciężkie straty w przemyśle swoim, czy z jéj trzody zabłąkało się bydle jakie, czy wreszcie jakie domowe strapienie nastąpiło, natychmiast Rachel biegła do kapliczki i tam klęknąwszy, odmawiała Pozdrowienie Anielskie, którego ją wyuczyły dziewczęta, a wkrótce nieszczęście jak cień mijało.

. . . . . . Od samego dzieciństwa przy rozwijającéj się skłonności do chrześciaństwa umiała instynktową bojaźnią tak się ukrywać z tém przed rodzicami, że ci ani się domyślali, jakie uczucie krzewiło się w sercu droższéj nad życie jedynaczki. Tymczasem senne widzenia utwierdzały ją ciągle w tém świętém uczuciu. Nieraz widziała Panią niebieskiego dworu zupełnie w tym samym stroju, jaki miała na posągu w kapliczce i zdawała się słyszeć we śnie, jak ją wzywała do siebie, mianując swą córką. . . . .

Tym sposobem zdejmowała się najczystszą miłością ku Maryi, i ta miłość tem gwałtowniejszą była, im więcéj musiała ją ukrywać. To rajskie uczucie rozwinęło w niéj miłosierdzie dla biednych, lecz szczególniéj starała się ukradkiem ubogich chrześcian, albo też karmić biedne pastuszki, swe miłe towarzyszki i była najszczęśliwszą, jeżeli przyjmujący jałmużnę, wymówił przy podziękowaniu imie Maryi, bo samo brzmienie tego słodkiego imienia stanowi dotychczas jéj najwyższą roskosz.

Wpośród niebieskich uczuć i myśli, upływało jéj życie błogo i spokojnie, ale wkrótce przed oczami tkliwéj Racheli nie mała odsłoniła się przeszkoda. Raz bowiem do karczmy najechało mnóstwo żydów płaczących i smutnych z téj przyczyny, że młody żydek, syn bogatego kupca, chodząc do szkół chrześciańskich, porzucił swoją wiarę. Serce się jéj krajało, patrząc na rospacz i jęki rodziców tego młodziana, osobliwie nieszczęśliwa matka prawie ciągle omdlewała, albo w porywach żalu rwała sobie włosy. Po ich wyjeździe do miasteczka, w którem spodziewali się gwałtem odebrać syna z rąk chrześciańskich, Rachel, co nadzwyczaj przywiązana jest do rodziców, przedstawiła sobie całą rospacz i serdeczną boleść, jakiemi napełni swoich rodziców, a ta myśl tak była ciężką, że biedne dziecko upadało prawie pod jéj brzemieniem.

Odtąd miłość Maryi walczyła w niéj z miłością rodziców; tylko znachodziła ulgę chwilową u podnóża posągu Matki Boskiéj w téj kapliczce, którą zwykła utrzymywać w czystości i ozdabiać kwieciem. W trzynastym roku swego życia pojęła, że niepodobna będzie wlec dłużéj walki między jéj niebieską Matką, a ziemskiemi rodzicami, chwila bowiem grożącego zamęścia, zdawała się być stanowczą dla poświęcenia jednéj dla drugiéj miłości. Sama przy tak ciężkich myślach, bo przed nikim nie śmiała się otworzyć, nie wiedziała, jak sobie dać radę nawet i wtedy, kiedyby poświęciła rodziców dla Maryi. W dziwnéj, a dla niéj zwykłéj ufności ku Matce Boskiéj, uspokoiła się tém, że N. Panna przyszle sama jakiego człowieka, któryby ją nauczył, jak ma postąpić.

Wszystko to zdaje się być wyjęte z *Złotéj legendy.* Najwłaściwiéj było historyję Racheli w ten sam prosty sposób od początku do końca opowiedzieć i w zbiorze Legend, jakim się już raz ks. Hołowiński literaturze przysłużył, pomieścić.

Treść powieści opowiemy w kilku wyrazach: Dwa domy obywatelskie znajdują się koło siebie w któréjś z oddalonych prowincyi polskich. W jednym mieszka Marszałkowa, wdowa od lat wielu, osoba łagodna, dobra, ale nie energiczna; ta ma duży majątek i dwoje dzieci: Karola bogobojnego i pełnego uczucia młodzieńca, skłonnego do marzeń i samotności, nieco zamkniętego w sobie, i Ewelinkę trzpiotowatą dziewczynę z dobrém ser-

cem, ale pustą głową. Słaba matka nie umie ani jednę́m ani drugiém dzieckiem kierować. Z Marszałkową sąsiadują Podkomorstwo. U tych także są dzieci: Jadwiga nie zła, ale rozbałamucona przez matkę panienka, Klara biedna dziewczyna, usunięta daleko do garderoby z przed oczu matki, która jéj nie lubi i opuszczona, coś nakształt *kopciuszka*, i Ludwik zepsuty młodzieniec, goniący za rozpustą i myślący o żonie z posagiem. Sama Pokomorzyna jest grymaśna i chorowita, Podkomorzy zawojowany przez żonę biedzi się z długami i z gospodarstwem. — Ludwik chce się ożenić z Eweliną, któréj nie kocha, Karól jest zakochany w Racheli i myśli tylko o tém, jak ją wykraść rodzicom i ochrzcić. W bliskości znajduje się klasztor Białokoński, gdzie Ks. Tomasz, prawdziwy zakonnik, praktykujący wszystkie cnoty Chrześciańskie przy wielkiéj miłości dla bliźnich i rozumnéj prostoduszności, amator zwierząt w rodzaju Sgo Franciszka, jest przeorem. Osobę Ks. Tomasza bardzo dobrze nakreślił Ks. Hołowiński:

Xiądz Przeor Tomasz miał powszechne poważanie i miłość, chociaż na pierwszy rzut oka można się było zdziwić nad jego wziętością. Twarz jego bowiem była posępna, ponura i nieco czerwonawa, chociaż nigdy nie używał mocnych napojów. Spojrzenie jego nie było proste, ale się nieznacznie wykradało z pod siwych brwi nastrzępionych: habit z grubego sukna wytarty i połatany, a w całéj postaci dość grubéj i niekształtnéj zdawała się przebijać jakaś twardość i surowość. W mówieniu prosty i otwarty, lubiący każdemu wręcz powiedzieć prawdę. Jednak pod tym uprzedzającym do tylu pozorem ukrywała się najczulsza i najszlachetniejsza dusza. We wszystkich wypadkach, gdzie potrzebna była rada lub pomoc, zawsze się wtedy zjawił w każdym domu, kiedy się go najmniéj spodziewano i zawsze umiał rękę podać bliźniemu. Dziwny był i w tém świadczeniu pomocy; znakomitszych bowiem z taką delikatnością zwykł ratować, że najmniejszego nie było tam upokorzenia: a przeciwnie biednych i prostaczków zawsze z początku zburczał, a późniéj wsunął w rękę pospolicie więcéj niż był proszony. W ogóle miał ten zwyczaj, że każdą swoję najszlachetniejszą sprawę umiał powlec dla jéj ukrycia, jakąś niby grubością i brakiem uczucia. Wszystkie posługi duchowne darmo dla biednych odprawiał, i najszczerzéj się gniewał,

kiedy mu nawet chciano dziękować za pogrzeb, lub inny jaki obrzęd. Człowiek niezmiernie wszystko postrzegający, tak że go prześladowali żartém przyjaciele, jakoby na sześć sążni w ziemię widział, a przytém głęboko w sobie zamknięty, znał tak doskonale wszystkich, że nigdy prawie nie dał się oszukać ludziom niezasługującym na wsparcie. Nauka niebyła obszerna, bo oprócz brewiarza, kilku Teologów i xiąg o cudach i podaniach nic więcéj nie czytał. Pomimo tego w swéj rozmowie uderzał głębokiém myśleniem, trafnością w stósowaniu różnych przypowieści, a nawet symbolicznych znaków, że często mógł w kąt zapędzić i bardzo uczonego. Znać było we wszystkiém, że nie cudze powtarza rzeczy, ale własne wysnuwa postrzeżenia.

Widząc go w klasztornym ogrodzie, możnaby pomyśleć, że to jaki cudowny pustelnik, albo czarnoxiężnik; zaledwie się bowiem tam pokaże, a już ze wszystkich kątów lecą do niego gołębie, pawie, żorawie, sarny, lisy, króliki i zające. Lubił nadzwyczajnie zwierzęta i przyniesione wychowywał najtroskliwiéj, oswoiwszy je do tego stopnia, że wszędzie za nim, jeśli pozwolił, chodziły.

Cela jego składała się z dwóch szczupłych pokoików. W pierwszym.... mnóstwo kanarków i słowików latało najswobodniéj wijąc sobie gniazdeczka na ściętych i zeschłych sośninkach, a drugi za to był wolny od ptasząt... jeśli był chory słowik, albo kanarek, mieścił się czasowie w tym pokoju dla większéj baczności i opieki. Ta opieka rozciągała się do wszystkich ptaków gnieżdżących się przy klasztorze. Rano i po obiedzie chodził wolnym krokiem po smętarzu, albo z modlitwą, albo dla rozrywki, i wtedy miał grubą laskę, któréj główką w swoich postrzeżeniach stukał się lekko po zębach, uważając pilnie, czy chłopcy nie wykręcili jakiego gniazda, lub czy jaki wypadek niepomięszał spokojnego bytu mnóstwa wróblów. Raz długo się niespokoił, bo na dzwonnicy dość wysoko były gniazda ptasząt pustoszone, a nie mógł dociec przyczyny: lecz wreszcie świtem dostrzegł, że krogulec przylatywał i zaczepiwszy się jedną łapką za gniazdo, wybierał drugą małe pisklęta, za co go wkrótce kazał zgładzić ze świata.

Czasami nie wtrącał się do walki ptasząt, jeśli były równe sobie strony wojujące. Przy froncie kościoła pod samym białym koniem jaskółka ulepiła gniazdo, lecz wróbel nie wiele myśląc zajął pomięszkanie, i ukrzywdzona jaskółka udała się do swoich o pomoc. Wkrótce z wielkiem podziwieniem naszego badacza pojawiło się mnóstwo jaskółek, i jedne otoczyły gniazdo, aby wróbla nie puścić, a drugie tak rączo nosiły ziemię w dzióbkach, że w jednéj prawie chwili

zamurowały wtręta. Ojciec Tomasz pospieszył na ratunek, ale nim przyniesiono drabinę, udusił się wróbel. Pomimo tego okropnego przykładu drugi wróbel znowu wtargnął w to samo gniazdo, lecz mszcząc się wywiesił słomę z małego otworu; jaskółki i tego chciały zamurować; praca ich była daremna, bo wróbel poruszeniem słomki odwalał natychmiast ziemię przynoszoną i tak się zwycięzko na miejscu utrzymał. Te i tym podobne postrzeżenia zwykł opowiadać staruszek, jeśli z kim był poufale i dobrze.

Dawniéj myśląc o swojéj starości i słabem zdrowiu oszczędził był ze swoich własnych wydatków sto dukatów i schował w puszkę blaszaną, czyli, jak nazywał blaszankę: lecz po niejakim czasie złodziéj potrafił unieść ten skarb Księdza Tomasza. Postrzegłszy kradzież, zwołał wszystkich braci na śniadanie, jakby w jakim szczęśliwym wypadku i ciągle powtarzał: — A toż dobrze! A toż rad jestem, że ukradli blaszankę! — Mnich, a chciał się ubezpieczyć na starość w pieniądzach, a nié w Opatrzności! Oj, dobrze, dobrze.

Ks. Tomasz jest poradnikiem wszystkich, jest Opatrznością całéj okolicy. Jego słucha Marszałkowa, jemu Karól kierunek całéj sprawy z Rachelą powierza, do niego Podkomorzy udaje się po radę, o pożyczenie pieniędzy, nawet o pomoc do wyswatania Ludwika z Eweliną.

Na początku powieści Ks. Tomasz ugaszcza u siebie obywateli z okolicy i opowiada ładną legendę o rycerzu Gawrzycu i o klasztorze Białokońskim; nie szczędzi on zwykle nauk bardzo zbawiennych, zamkniętych w ładnych przypowieściach, ale nauki te na romans są za długie i za często wracają. Ks. Tomasz w rozmowie z Karólem układa, że trzeba wykraść Rachelę. Za pomocnika nawija im się żebrak nazwiskiem Pleśniak od dziadów i pradziadów nieprzyjaciel żydów, wielkie ladaco za młodu, włóczęga na starość, ale w gruncie nie zły człowiek. Pleśniak ma wstęp do karczmy Abramka, Ojca Racheli, i porozumienie się ułatwia. Osoba Pleśniaka jest bardzo szczęśliwie pomyślana, a miernie narysowana; zrazu wiele obiecuje, drobnieje potém.

Podkomorstwo dają bal z przyczyny powrotu syna, z biedą dostawszy pieniędzy. Na tym balu zawiązuje się romans między Eweliną i Ludwikiem. Klara nie po-

kazuje się gościom, ona siedzi w oficynie i smutnie rozmyśla. Samotność Klary przerywa przyjście Gabriela sieroty, oficialisty Podkomorstwa. Klara i Gabriel kochają się, a kochają najczystszą miłością. Przypominają oni sobie wszystkie drobne szczegóły z młodości razem przepędzonéj, szczegóły, które stanowią cały ich skarb pamiątek, bo się mają rozstać na zawsze; Klarę postanowili rodzice mimo jéj woli odwieść do klasztoru, Gabriela chcą oddać do wojska. Cały ustęp o miłości Gabriela i Klary, choć niewprawną nakreślony ręką, jest bardzo ładny.

Rachelę jéj rodzice mają wydać za mąż. Już narzeczonego ojciec jéj przywiózł. — Nie ma chwili do stracenia. Biedna dziewczyna postanawia uciekać. Z boleścią przychodzi jéj opuścić dobrą matkę, któréj z największém rozczuleniem posługi przez ostatnich kilka godzin oddaje, w końcu pozwala się porwać Karólowi. Karól zawozi ją do klasztoru Panien; sam wkrótce potém wpada w chorobę, w ciągu któréj przyznaje się matce do swojéj miłości. Po niejakich trudnościach matka chorobą syna zaniepokojona przystaje na to, żeby myślał o Racheli Tymczasem Rachel spotyka się w klasztorze z Klarą i przywiązują się mocno do siebie: Rachela ciągle płacze na wspomnienie rodziców, Klara jest smutna po rozstaniu się z Gabrielem. Rodzice Racheli koniecznie chcą się z nią widzieć; wpuszczają ich do *parlatorium* i następuje rozdzierająca scena, którą opowiadając Ks Tomasz wymownie rozpacz żydów maluje. Matka Racheli z żałości umiera; i na Klarę spada wielka boleść, bo przychodzi wiadomość, że Gabriel zginął na wojnie. Nie tu koniec nieszczęść: Rachelę przełożona z bojaźni żydów do innego klasztoru wyprawia, w drodze porywa ją Abramko.

W domu Marszałkowéj romans Eweliny i Ludwika postępuje, służący im pomagają, a matka nic nie widzi. Rozmowy między lokajem Ludwika a pokojówką Eweliny przypominające podobne sceny z *powrotu Posła* Niemcewicza, nie bardzo na duchownego autora przy

zwoile i nawet nie koniecznie potrzebne. Marszałkowa dowiaduje się wreszcie o przywiązaniu Eweliny i chce całą rzecz przerwać, rozdrażniona tem Ewelina daje się wykraść Ludwikowi. Szlub się odbywa na smętarzu wśród huku grzmotów i przy blasku błyskawicy; tu Ks. Hołowiński pozwolił sobie niepotrzebnéj fantasmagorii i wielkiéj przesady w opisie.

Same tylko klęski w dalszym ciągu powieści widzimy. Podkomorstwo, którzy stracili córkę Jadwigę i na jéj miejsce z klasztoru odebrali Klarę, którą codzień lepiéj oceniać się uczą, tracą także synową — Ewelina umiera z zaziębienia, pojednawszy się z matką, za życia jeszcze ukarana bliższém poznaniem charakteru męża. Ludwik opuszcza dom rodzicielski i wyjeżdża za granicę.

Żydzi nie przestają dręczyć Racheli. Podżega ich Rabin *Ec—Chajim* (drzewo życia, albo mądrości), dobrze nakreślona postać, niepotrzebnie tylko jakąś nieszczerością i chciwością napiętnowana. Rabin ciągle mówi przypowieściami, które wszystkie mają dużo kolorytu. Rachela jest niewzruszona, ani błagania, ani przekleństwa zachwiać jéj nie mogą. Długo katują żydzi męczennicę, w końcu już ją mają udusić, kiedy Pleśniak z rudnikami wpada do lochu i ratuje ją od pewnéj śmierci. Pleśniak nożem w piersi ugodzony ginie w téj wyprawie.

Autor przedłuża powieść już bliską rozwiązania opisem podróży dwóch strapionych rodzin do Białokonia, w czasie któréj rudnicy opowiadają podania miejscowe o sprawkach diabelskich i opisem odpustu w Białokoniu. W Białokoniu Karól spotyka się z Rachelą; następuje odprzysiężenie się Racheli, którą Marszałkowa trzyma do chrztu, dają jéj imie Maryi. Karól oświadcza się wtedy, ale dziewczyna ze słodyczą, smutnie przewidując rychłą śmierć, odmawia mu stanowczo.

W ostatnim rozdziale rzecz dzieje się w kilka lat później. Umarła Rachela, jak święta, umarła Podkomorzyna, zginął w pojedynku Ludwik, umarł także Ks. Tomasz

żałowany nawet od swoich zwierząt i ptaków, które za nim z tęsknoty pozdychały. Karól ożenił się z Klarą i wraz z matką, Podkomorzym i małemi swemi dziećmi przyjeżdża groby odwiedzić. Powieść się kończy na modlitwie za umarłych.

Styl Ks. Hołowińskiego jest ciężki, wypracowany, wszakże dosyć gładki. Uderza nas w Autorze jakaś niewprawa pisarska, która może z braku fantazyi pochodzi i jest tém wydatniejsza w powieści. Powiedział jeszcze Boileau.

*Ne forçons pas notre talent*
*Nous ne ferions rien avec grace.*

Talent niezaprzeczony, jaki posiada Ks. Hołowiński, niezawodnie nie jest talentem powieściopisarskim.

---

Eleonora Sztyrmer szczczególną sobie drogę obiera. *W powieściach Nieboszczyka Pantofla* ważyła się jeszcze szala między rozumem a fantazyą, dojrzałém doświadczeniem a kaprysem; w *Kataleptyku* fantazya i kaprys zwycięzko panują. Fantazya Eleonory Sztyrmer nie tryska ze źródła, jest to raczéj naśladownictwo i igraszka wysokiego talentu. Więcéj powiemy, upatrujemy gwałt zadany sztuce w próbach, żeby na naszém polu zaszczepić rodzaj obcy, przemijającą tylko wziętość w swoich dotychczasowych warunkach mieć mogący; nas także uderza niebezpieczeństwo, na jakie lekkomyślne poruszenie zadań tyczących się świata nadzmysłowego czerstwość myśli narodowéj naraża.

W rozbiorze powieści *Nieboszczyka Pantofla* rozróżniliśmy już cudowność polską od fantastyczności niemieckiéj. Cudowność polską, która do nas żywo przemawia, znajdujemy w pieśniach i gadkach ludu, także u niektórych poetów; romansopisarze jak Kraszewski i Grabowski źle jéj używają. Fantastyczność do piśmiennictwa polskiego wprowadzają dwaj mianowicie autorowie John of Dycalp i Eleonora Sztyrmer. Oba niepospolicie zdolni nie za własném jednakże idą natchnieniem; wyraźnie oczytali się powieści obcych i rozmyślnie albo nierozmy-

ślnie odtwarzają cudze wzory. Wpływ Hofmana uderzył nas już w powieściach *Nieboszczyka Pantofla;* w *Katalepłyku* widzimy mięszaninę przypomnień. Hofman raczéj aniżeli Jan Paweł, Fryderyka Soulié *Pamiętniki Djabla,* Balzac, Quineta *Ahasverus,* pono także niektóre książki z działu *Jasnowidzącéj z Prevorst,* wszystko to wpłynęło na pomysł i na układ powieści. Znać także w *Katalepłyku* wrażenie z czytania *Irydiona,* chwilami nawet liryczny sposób przemagający w tym poemacie niewolniczo jest naśladowany.

Złą chwilę obrał pisarz do mówienia nam o chorobach umysłowych. Wielkie i długie nieszczęścia narodowe nadwątliły siły fizyczne u wielu, rozdrażniły nerwowe usposobienie u samych tylko kobiet. Ciągle powtarzające się klęski publiczne i klęski domowe, które, jeżeli porównamy czasy jedne z drugiemi, uderzają w rodziny częściéj jak przedtém, z jednéj strony przyprowadziły pewną liczbę umysłów silnych do odrętwiałości, z drugiéj chorobliwsze natury wprawiły w gorączkowy stan oczekiwania coraz nowych ciosów. Jak mało jest ludzi, którzy u nas zdrowy sąd z całą żywością uczucia w stronę nieszczęść publicznych skierowanego łączą! Choroby, o jakich nie słyszeli nasi ojcowie, upowszechniły się w Polsce; katalepsya, a jeszcze bardziéj epilepsya, cierpienia nerwów i cierpienia mózgu stały się rzeczą zwyczajną. Czy taki stan rzeczy nie wkłada pewnego obowiązku na piszących? Czy wolno autorom, choćby najzdolniejszym, bawić się niemi, albo im żywiołu dostarczać? Czy wolno, nawet symptomata do pewnego stopnia zbadawszy, dla niewtajemniczonych do nauki wypadek poszukiwań ogłaszać? Niezawodnie nie. Kiedy za Napoleona w obozie pod Boulogne zabił się jeden żołnierz na warcie i kilku innych na tém miejscu po nim postawionych także sobie życie odebrało, Napoleon kazał spalić budkę, jako przedmiot, pamięć samobójstwa z dnia na dzień przekazujący. My naprzeciw chorobom umysłowym stawiajmy prawdę i rzeczywistość; nie rzeczywistość materyalną jak w powieści Eleonory Sztyr-

mer, nie drwiącą i płaską, ale silną i szlachetną, żyjącą poświęceniem, opartą na wyobrażeniu o powinności, powtarzajmy i ciągle powtarzajmy, że choroby umysłu, a często i choroby ciała leczą się wiarą w przyszłość, zaufaniem do teraźniejszości i jędrną a ciągłą pracą.

W Eleonorze Sztyrmer jest w ogóle brak obejrzenia się w koło, brak zmysłu do odgadnienia, co zajmuje wszystkie serca i wszystkie głowy. Zadziwia to i razi. Niejeden nie podzieli może naszego uczucia, wszakże, ilekroć w książce jakiéj polskiéj czy poważnéj, czy lekkiéj treści nie znajdujemy przejęcia się karą bożą, ciążącą nad nami, razem żywéj nadziei i jakiéjś chęci odmłodnienia i uszlachetnienia się, doświadczamy zawodu; rzecz choćby z talentem opowiedziana wydaje nam się czczą gadaniną i takie samo obudza się w nas wrażenie, jak kiedy w świecie widzimy lekkomyślność przy żałobnym ubiorze. Nie wymagamy psalmów pokutnych i poważnych traktatów, przystajemy na wszelki rodzaj piśmiennictwa, chodzi nam tylko o to, żeby w naszych czasach wyższe talenta szczególniej pokazywały współczucie w kolejach wypadków, na jakie nikt nie ma prawa być obojętnym.

W Kataleptyku występują naprzeciw siebie dwa światy: rzeczywisty a raczéj materyalny i idealny. Świat idealny zajmuje tło obrazu; cały interes znajdujemy połączony z nadzmysłowością. Pierwiastek grubszy dość jest jednak silnie przedstawiony, żeby nietylko sprzeciwieństwo artystyczne wprowadzić, ale nadto od czasu do czasu ostudzać wyobraźnie za łatwe do przyjmowania fantastycznych natchnień. Pisarz mógłby, gdyby chciał obudziwszy strach i przeświadczenie o cudowności, wszystko tak jak Anna Radclife w swoich powieściach, najprostszemi przyczynami wytłumaczyć; że ma lepszy instynkt, lepsze pojęcie sztuki, nie zniża się do takiego wykładu i tylko nas zostawia w wątpliwości: czy sam wierzy w rzeczy nadzwyczajne, o których rozpowiada, czy nie. Zamykając książkę mamy prawo co najwięcéj wziąść go za stronnika zdania Hamleta, że *są rzeczy na ziemi i na niebie, o jakich się nie śniło filozofom,* a nie za wizyonera.

My choć nie odpychamy cudowności, choć jesteśmy przekonani, że Pan Bóg może wedle woli swojéj warunki względne istnienia ludzkiego podnosić do potęgi warunków absolutnych swojego własnego istnienia, choć przyjmujemy wszystko to, co nasza święta religia o cudach nam ogłasza, wyznajemy, że nie skorzy jesteśmy do słuchania opowiadań i do opowiadania o szczegółach nadprzyrodzonych, w czém co chwila ludzi sumiennych utrzymuje i powinna wstrzymywać obawa, żeby nie popaść w obłęd, albo w przesadę. W każdym razie cudowność pojmujemy w stanie zdrowia i czerstwości, robić ją zależną od choroby, jest to narażać wyobrażenie o niéj na szwank niepewnych i niedostatecznych spostrzeżeń nad magnetyzmem, lunatyzmem i katalepsyą.

Powieść *Kataleptyk* rozwija się wśród opowiadań dwóch przyjaciół, którzy stanowią wyobrazicieli dwóch światów i których w następujący sposób przedstawia Eleonora Sztyrmer:

Maurycy należał do rzędu tych ludzi, co patrzą na życie jak na rolę, którą każdy odegrywa. Systemat sam przez się nie zły, gdyby tylko dodać do niego, że jest oko, co z góry patrzy na aktorów, i oprócz gry widzi najskrytsze jéj pobudki; że sama spółeczność wymaga od artysty szlachetnego użycia talentu, który posiada. Maurycy jednak nie suszył sobie głowy takiemi myślami. Dla niego najwyższym wyrokiem była opinia salonu; jedynem staraniem być uważanym za człowieka porządnego.

Natura i wychowanie dały mu wszystkiego tyle właśnie, wiele potrzeba, żeby ten cel osiągnąć: udatną postawę, regularne rysy twarzy, czerstwe zdrowie, przyzwoitą fortunę, oświecenie wystarczające na drobne codzienne wydatki, ograniczone żądze i wesoły charakter. Widząc, że to nie mało, umiał cenić swe środki. Miał pieczę o swojém zdrowiu i powierzchowności, bo jakokolwiek ponętnemi mogą być w poezyi: blada twarz, rozczochrane włosy, wychudła postać, wytarte odzienie lub krzywe bóty abnegata, w praktyce jednak podobne zalety nie wiele popłacają, szczególniéj u młodych kobiet. Chociaż w szczerą przyjaźń i prawdziwy szacunek nie więcéj wierzył, jak w niezbędność bronzowych guzików u fraka, który się nigdy nie zapina, wszakże nie nosił odzienia bez guzików i starał się o przyjaciół i szacunek. Życie ludzkie, mówił sobie, przybiera czę-

sto nieprzewidziane zwroty: zapięcie fraka w pewnych przypadkach zdoła człowieka ocalić od zaziębienia, coby się śmiercią skończyło; przyjaciele, choć nieszczerzy, szacunek, choć powierzchowny, w nieodgadnionych wypadkach mogą się przydać. Z tego porównania wypadało także w jego zdaniu, że jak guzików, tak przyjaciół i szacunku nie można mieć bez pieniędzy; a ponieważ te i z innych względów miały swoję ważność, używał więc fortuny przyzwoicie, bez skąpstwa, ale oszczędnie, ostrożnie i starał się ją powiększyć, a nie trwonić.

Żeby mieć opinią oświeconego człowieka, śledził krok w krok za postępami cywilizacyi, nie w rzędzie tych, co ją na karkach swoich ciągną naprzód, lecz z boku po manowcach gazet, dzienników i powieści, jako spektator, w tym jedynie celu, ażeby, będąc zapytanym, mógł w każdym czasie odpowiedzieć, co się dzieje na moralnym gościńcu. Wielką mu też pomocą była tak nazwana przez niego *kategoryczna* rozmowa. Z natury i przyzwyczajenia lubił lekką, ucinkową, wesołą konwersacyą salonową; i téj najwięcéj szukał; ale jeżeli przypadkiem zetknął się z człowiekiem uczonym, z poetą lub jaką bądź godną uwagi osobą, to rozmawiał z nimi tak, żeby łatwym sposobem jak najwięcéj się dowiedzieć, nauczyć. Pod pretextem kategoryczności starał się wyssać ze swego *subjectum*, ile się tylko dało. Nieustannie przerywał opowiadanie, żądając rozwinięcia téj lub owéj myśli; wdawał się w spory dla wyświecenia przedmiotu, i najczęściej drwił z dowodów, żeby zmusić przeciwnika do wydobycia najsilniejszych argumentów. Wiedząc, wiele czasu ma do stracenia, stósownie do tego trzymał dyskussyą w granicach. Niepodobna zaprzeczyć, że tym sposobem jeżeli się człowiek niczego gruntownie nie nauczy, to przynajmniéj może nabyć wielkiego doświadczenia, co nie jest fraszką.

Nareszcie Maurycy, częścią z naturalnego pociągu, częścą zaś z przekonania, że w dzisiejszém znudzoném własną mądrością towarzystwie, dowcip, sarkazm, i wesołość, choćby udana, pospolicie dobry byt znajdują, starał się być zawsze w wyśmienitym humorze. Pomagało mu to do zdrowia; osłaniało błyskotną barwą mnóstwo niedołężności, którym, jako człowiek, był podległy; i czyniło w każdém kole pożądanym gościem.

Oto pobieżny szkic Maurycego. Prawdzwie, nie było czego opisywać. Człowiek *porządny* podług dzisiejszych pojęć, tak dobrze jest każdemu znajomy jak holenderski dukat. Bierze go chętnie i żyd i magnat i nie rzuciwszy nawet na

szalki, powiada, wiele wart. Ma pewne znaczenie, ma przyjaciół, ma szacunek.

Przeciwnie kuzyn i przyjaciel Maurycego, Floryan, nie był porządnym człowiekiem.

Potomek dawnéj szlacheckiéj familii, w dzieciństwie stracił rodziców. Opiekunowie, widząc wątłe zdrowie sieroty, i nie wątpiąc, że śmierć jego zbyt prędko skończy ich opiekę, spieszyli się wszelkiemi siłami okrawać ojcowską sukcessyą, a pachole puścili samopas na wolą Bożą. Długi czas sierota wałęsał się samotny w ich domu, lub tułał się po polach, po lasach z dziecęcemi dumami; potem dodano mu do towarzystwa guwernera najętego za 100 złp. i dwie pary bótów co rok, exprofessora szkółki powiatowéj. Był to człowiek lat 40, suchy jakby wywędzony w kominie, wysoki, ręce długie, nogi cienkie, fizionomia dziwnie fantastyczna. Kiedy się gwałtownie poruszył, to wszystkie kości chrzęściły, jakby u skieletu obciągniątego skórą ludzką. W całéj okolicy nikt nie wiedział skąd się wziął ten człowiek, nikt nie znał ani rodziców jego, ani krewnych; wiedziano tylko, że się nazywa Kwinta; lecz z tego zabawnego miana, które może sam sobie przybrał, niepodobna było się domyślić nawet, czy był Polakiem, czy Niemcem, czy Szwedem? Na domiar, cierpiał w silnym stopniu chorobę Ś. Walentego. . .

. . . . Przy takiém wychowaniu chłopiec z natury chorowity nie mógł krzepnąć ani na ciele, ani na duszy. W ciele rozprzęgły się pierwiastki żywotne; postać jego wątlała, stawała się chwiejącą, ociężałą; nie miał żadnéj rzutkości w ruchach, téj tak właściwéj młodego wieku cechy. . . .

. . . . O! stan ten był godzien litości, dusza była chorowitsza od ciała. Codzienne stósunki z guwernerem, zupełny brak towarzyszów, ciągły chłód koło serca, które od nikogo nie doświadczało współuczucia, zabiłby człowieka dorosłego. Dziecię, pijąc tę truciznę od wielu lat kroplami, nie umarło moralnie; cherlało tylko, traciło najdroższe, najpiękniejsze zarostki uczucia i pomysłów. Młodocianne serce z boleścią miotało się wśród otaczających go lodowatych straszydeł. Wyrywało się do słońca, do kwiatów, do pól szerokich i głuszy leśnéj, żeby tam swobodnie we własnych łzach wziąść kąpiel oczyszczenia. . . .

. . . . Serce ocalało, wzmocniło się samą walką, odświeżyło się pierwszą spowiedzią i poznawszy balsam modlitwy, w niéj i we łzach znalazło wybawienie; ale umysł z dzieciństwa utrzymywany w ciągłém natężeniu i wyobraźnia spowinowacona z widmami duchowego świata, nie wyszły już ze stanu chorowitego, owszem choroba ta stała się chroniczną. Floryan, całą istotą spoił się z tajemniczym światem

duchów i sił niezbadanych, nie znalazł w sobie mocy wyplątać się z tych sideł, w których niewidzialna dłoń go zatrzymywała i nareszcie przywiązał się do nich, jak więzień do swego lochu.

Nie tak to snadnie żyć w tym nierozgadnionym świecie, jak się czytelnikom fantastycznych powieści zdawać może. Natura ludzka ma pewne granice, za które przestąpić nie wolno. Kto krok zrobi naprzód spotyka ciemność i czuje mimowolną trwogę, która go ostrzega, że się dopuszcza czegoś zuchwałego....

..... Floryan opłacił to wkroczenie w szranki nadzmysłowości *lunatyzmem*..... Lunatyzm w każdym przypadku jest chorobą, którój towarzyszą większe lub mniejsze cierpienia fizyczne, a szczególniéj moralne.....

.... Od dziecka do dorosłego człowieka lunatycy w czasie pełni doświadczają cierpień nerwowych. Są tacy, których noce bywają okropne, którzy w skutek chorobliwéj gry nerwów, przy najzdrowszym rozumie czują nieopisaną trwogę, patrząc na księżyc; i ta trwoga staje się dla nich źródłem cierpień moralnych, tém silniejszych, im więcéj rzutkości ma ich wyobraźnia, im więcéj rozwinęło się w nich fantastyczności i mistycyzmu.....

.... Świat powszedni stał się dla niego obszernym teatrem, na którym niewidzialne siły ustawicznie przyjmują udział w losach ludzi i życiu narodów. Umysł jego dopatrywał we wszystkiém tajemniczych wpływów duchowéj natury, tłómaczył je i układał w systemata. W jego zdaniu nic się nie działo bez jakiegoś mistycznego powodu, na który drudzy tylko nie zwracali uwagi. Jeżeli dom się spalił w mieście, to zastanawiało go: dla czego pożar zdarzył się na tém, a nie na drugiém miejscu? dla czego ofiary ognia były te, a nie drugie?...

.... Ten stan wizii i natężenia umysłowego nie mógł się obejść bez zgubnych następstw. Florian z lunatyzmu wpadł w katalepsją i z tą już chorobą powrócił do kraju. Odebrawszy od opiekunów ostatki ojcowskiéj fortuny, doświadczywszy w dzieciństwie nędzy, za granicą niedostatku, zyskał nareszcie środki do niezawisłego życia; ale przy charakterze słabym, pragnącym nadewszystko spokojności, nie umiał ich użyć.....

..... Kilka razy w salonie, wśród licznego towarzystwa, czasami w połowie peryodu jakiéj grzeczności ogarniała go nieszczęśliwa choroba. Florian nagle zatrzymywał się w rozmowie, bladł, padał na podłogę, albo bez przytomności zostawał na krześle; niekiedy w tym stanie dziwne rzeczy objawiał: myśli téj osoby, co się do niego dotknie,

albo to, co się jéj przed kilkoma dniami zdarzyło, albo jéj stosunki z drugiemi osobami. . . .

Jak widzimy główną różnicę między dwoma przyjaciołmi stanowi zdrowie. U jednego ciało, u drugiego duch przeważa. Maurycy występuje właściwie jako kontradyktor, powieść obraca się koło Floriana. Florian wierzy w swoje wizye, Maurycy uważa je za urojenia chorego umysłu.

Florian najwyższą potęgę ducha osięga od spotkania się z Anielą Krzyżowiecką. Jak w Swedemborgizmie dwie te istoty uzupełniają się i uzupełniając współwidzą. Aniela, która swojém urodzeniem pogodziła ojca z Bogiem i z obowiązkami, ma piętno nadziemskiéj doskonałości; żyje poświęceniem, wyrzeczenie się siebie do exaltacyi posuwa. Do Floriana przywięzuje się z powodu jego cierpień. Florian ze swojéj strony rozmyślnie zdrowie do ostatka niszczy, przyspiesza paroxyzmy katalepsyi, byleby tylko sobie zapewnić jedną i drugą chwilę swobodną przy Anieli. Miewają widzenia razem i oddzielnie, a przedmiotem tych widzeń jest głównie zagadka rodu Anieli oparta na dwóch wyobrażeniach: wpływu djabelskiego na sprawy ludzkie i solidarności win z pokolenia w pokolenie u pojedyńczych rodzin. Chodzi o to ostatecznie: czy Florian i Aniela połączą się dla szczęścia własnego, czy też Aniela poświęci swoją osobę na odkupienie grzechów przodków.

Pierwszą uwagę Anieli na związek ze światem nadzmysłowym obudza widzenie, jakie ma w dzień zaduszny w kościele krzyżowieckim o północy syn tamecznego posesora, niedowiarek, który z wielkiego wrażenia téj sceny dostaje pomięszania zmysłów. To widzenie jest w bardzo zajmujący sposób opowiedziane.

Dzieje przodków Anieli rozwijają się w wizyach, jéj własnych i Floriana, w wizyach, w jakich główną rolę gra Żyd wieczny, od którego pochodzą Krzyżowieccy. Żyd wieczny w Polsce zawoła niejeden z czytelników! Niestety po długich wędrówkach zaszedł on i do naszéj literatury.

Podanie o Żydzie wiecznym, które wszyscy dobrze znają, jest śliczne, ale zobaczmy, czy może ono stać się przedmiotem utworu literackiego. My jesteśmy zdania, że wszelkie piśmiennictwo zależy od zasadniczych warunków, których przekraczać nie wolno. Siła twórcza musi się skupić i ograniczyć, musi sobie naznaczyć punkt wyjścia i cel, inaczéj rozdrabnia się natchnienie. Rozmiary są rzeczą konieczną. Sztuka grecka przywiązała twórczość do teoryi trzech jedności i niezawodnie bez téj teoryi nie może być doskonałości budowy, prawdziwéj harmonii,ześrodkowania interesu. Sztuka nowsza rozszerzyła granice, ale co się tyczy czasu, rzadko pozwala sobie przekraczać granice epoki, to jest pewnéj liczby lat jakąś tożsamością obyczajów i języka, jakąś solidarnością uczuć naznaczonéj. Bez otoczenia bohatera dramatycznego, epicznego lub romansowego, ludźmi rzeczywistymi i rzeczami dotykalnemi, bez dania mu uczuć wyraźnych i myśli wyraźnych, z tém, co go otacza, ściśle połączonych, nie można zająć i przywiązać czytelnika i słuchacza. Z Żydem wiecznym rozmiary są niepodobne. Jak przykuć do czasu i do przestrzeni istotę, za którą goni anioł z mieczem ognistym, wołając: *naprzód, naprzód!* Próżno mu dawać krewnych, jak to robią wszyscy pisarze, co się chwycili tego przedmiotu; los rodziny Żyda, która staje się z konieczności głównie działającą w powieści lub dramacie, musi się w końcu rozstrzygnąć, a cóż po rozwiązaniu Żyd ma robić z sobą? Krasicki mógł, nieobrażając dobrego smaku w żartobliwy sposób wystawić w swojéj *historyi* człowieka, który żył przez wiele wieków; satyra może się udać w téj formie, nie jest jednak do próbowania z Żydem wiecznym. Żyd wieczny swojéj ponuréj twarzy do śmiechu skrzywiać nie powinien. Powiedzmy raz na zawsze: Żyd wieczny, osoba podania gminnego, podania, które w nim nie upatruje symbolu ludu żydowskiego, ale wprost człowieka, co odepchnął upadającego Chrystusa, najpoetyczniéj wygląda w tradycyjnéj powieści, w któréj jest smutny niepocieszonym smutkiem i cichy jak człowiek bez nadziei. Ile

razy jaki pisarz chce go na scenę wyprowadzić, zawsze zepsuje tę postać, zawsze jéj wiekowe rysy swemi czasowemi odcieniami zeszpeci. Pamiętajmy na Edgara Quinet i na Eugeniusza Sue.

U Eleonory Sztyrmer Żyd wieczny, który przez niesłychaną *licentiam poeticam* w wizyi kataleptyka ukazuje nam się naprzód na posiedzeniu redaktorów *Biblioteki Warszawskiej*, wypowiada szereg aforyzmów, wyglądających na zbieraninę dosyć starannie z rozmaitych dzieł mniéj lub więcéj filozoficznéj treści zrobioną.

Aforyzmy Żyda a jeszcze przed tém uwagi Anieli z działu fenomenologii ducha stanowią niejako miazgę książki tak jak w Spirydyonie pani Sand karteczka w trumnie złożona. Musimy wyznać, że i w Spirydyonie i w Kataleptyku te zdania często bez związku z sobą są najsłabszą stroną powieści. Zachcenia filozoficzne, przywidzenia mistyczne, spostrzeżenia, choć wielekroć zajmujące i prawdziwe, że nie na właściwém położone miejscu i nie ukazujące się szczérze, ale z oprawą tracą na sile i na wartości. Wszystko razem, ile że Żydzi taką rolę w powieści grają, ma dalekie pokrewieństwo z Towiańszczyzną, pokrewieństwo więcéj powierzchowne jak istotne, bo u Towiańszczyków jest gorące uczucie, a tu każda rzecz z głowy idzie. Szereg gorzkich uwag *duszy w Suchotach* był nieskończenie wyższy od aforyzmów w *kataleptyku*.

Aniela zapuszcza się w pospolitości, żeby wytłumaczyć kataleptyczne widzenia.

Związek duszy z ciałem i wzajemna ich zależność zostaną na wieki dla nas zagadką. Człowiek w tym względzie rozumem swoim niczego nie dostrzeże, niczego niezbada, nie skonkluduje. Na tym punkcie zaczyna się ciemność.

Skutki tego niepojętego sprzężenia objawiają się jednak nieustannie, i niepodobna na nie nie zwrócić uwagi. Każda zmiana w ciele lub zewnętrznych stósunkach człowieka sprawia natychmiast odpowiadającą zmianę w stanie duszy i odwrotnie. Szlachetniejsza połowa naszéj istoty jest w zawisłości od machiny, jest jakby uwięziona w ciele, z władzą wszakże walczenia z niém, hamowania jego żądz, pokrywania namiętności. Trudna missya! Nieraz wtedy właśnie, kie-

dy dusza potrzebuje całéj dzielności władz swoich, zależność od ciała osłabia jéj wolę, albo nadaje jéj fałszywy kierunek. Cierpienia fizyczne, żądze cielesne, pokarm nawet i napój, krępują działalność duszy i stawiają jéj tysiączne przeszkody, nad któremi nie zawsze bierze górę. Każdy z nas pojmuje ten nieprzyjazny wpływ materyalnéj połowy na duchowną, nieśmiertelną. Kiedy nam wypada gruntownie o czém pomyśleć, szukamy samotności; staramy się zupełnie zapomnieć o ciele; usilujemy w téj chwili żyć, że tak powiem jedną duszą. To samo kiedy wielka radość, albo wielki smutek ogarną serce. To samo kiedy poeta uczuje w sobie wieszczy zapał, co go zmusza wylewać słowa, wysokie dumania tych chwil zachwytu. . . . .

. . . . Taki tryb istnienia można nazwać *życiem wewnętrzném* dla rozróżnienia od zwyczajnego *zewnętrznego,* czyli *zmysłowego.* . . . .

. . . . *Życie wewnętrzne* objawia się w pewnych periodach, które nie mogą być ani zbyt częste, ani długie, albowiem na to potrzebaby ogromnéj siły ducha, całkowitego zwycięztwa nad ciałem, jego żądzami i namiętnościami. Doświadczenie wieków przekonywa, że jedni tylko święci mężowie, widoczną łaską Boga wsparci, potrafili podołać takiéj exystencyi; i to oderwawszy się zupełnie od świata w pustyniach i eremach. . . . .

. . . . Z tém wszystkiem, nie masz życia do tego stopnia zewnętrznego, zmysłowego, żeby go nie przerywały niekiedy chwile istnienia duchowego, chwile przychodzące niespodzianie, niezależnie od woli i rozumu; jak tego dowodzą: owe nagłe przeczucia dobrego lub złego, zamyślenie się, zatopienie się w sobie samym, mimowolna smętność, trwoga, myśli dziwaczne, czasami wielkie pomysły przychodzące niewiedzieć zkąd i t. d. . . . .

. . . . Niektóre choroby, a mianowicie te, których własnością jest zmniejszanie w pewnym czasie i stopniu zwyczajnéj zawisłości ducha od ciała (naprzykład lunatyzm, katalepsja, sen magnetyczny i letarg), zasługują na szczególną uwagę badacza. . . . .

. . . . Tak więc życie ludzkie w ogólności ma dwa tryby: jest zewnętrzne, albo wewnętrzne. Ostatnie oddziela się niekiedy od pierwszego: i ztąd biorą początek pory w istnieniu człowieka, przechody z jednego trybu w drugi, dziwny *flux i reflux.*

Słusznie starożytni nazywali sen *bratem śmierci.* Śmierć otwiera nam wrota wieczności, sen odchyla zasłonę tajemniczego duchowego świata; i w miarę jasnowidzenia śpiącego daje mu możność rozpatrywania niektórych jego zjawisk

Cóż kiedy z powrotem do zwyczajnego zmysłowego życia nie zostaje jasnowidzącym lub obudzonym z letargu żadnego wspomnienia, a po zwyczajnym śnie zostaje w pamięci tylko mglisty obraz téj krainy, którą duch oglądał.

Jednak czasami sen tak żywo utkwi w pamięci, jak gdyby rzecz działa się na jawie; wtedy rodzi się pytanie: czy taki sen wart uwagi?

Możemy na to odpowiedzieć, że wiara w sny potępiona przez Kościół niebezwarunkowo: Albowiem w Piśmie i w Żywotach Świętych spotykamy przykłady nadzwyczajnych objawień w czasie snu.....

Wywód kończy się dopiskiem o sile magnetycznéj wyjętym z Ennemosera

W tém wszystkiém wiele jest prawdy, ale rzecz ani rozwinięta, ani naukowo rozłożona.

Żyd przemawia w kaznodziejski sposób do redaktorów ***Biblioteki:***

Zdaje wam się, żeście z bajecznéj księgi mądrości wszystkie siedm pieczęci już zdarli? Dzieci! nie tam jéj szukać potrzeba! Oto odwieczny głos mówi wam: początek mądrości — bojaźń Pańska, umiejętność świętych — roztropność. Wszelka mądrość od Boga jest; pocóż po bezdrożach scigacie to, co tylko przez łaskę można odebrać z góry? Marne są usiłowania głów waszych. Umiejętność wasza — złudzenie, geniusz — pojęcie dziecinne. Nic nie masz nowego pod słońcem; nie może nikt mówić: oto jest nowe, już bowiem uprzedziło w wiekach, które były przed nami. Powiedziano też: nie bądź mądrym więcéj niż potrzeba, abyś nie zgłupiał. Najmędrszy z was ten, kto pojął, że niczego nie pojmuje.

Nie oburzajcie się na surowość słów moich. Szczerą prawdę wam mówię. Jedna jest tylko prawdziwa i niewyczerpana mądrość w świecie duchowym, tak jak jedna stała i niegasnąca dla was światłość w świecie materyalnym. Obie oświecają ludzkość i promieniami swojemi sięgają niewidomych nam krańców. To są słońca i ducha i materyi.

Daléj wykłada o pierwotném objawieniu, o upadku, o karze, o przyjściu Chrystusa, o postępie opartym na żądzy powrotu do dawnego, lepszego stanu.

Wszystkie marzenia o pośpiesznem udoskonaleniu społecznego bytu, wszystkie tak nazwane *utopje* są daremném wysilaniem się rozumu. Ludzkość jest widocznie na drodze postępu, ale ręka, co ją prowadzi, ma swój odwieczny cel, którego żaden mędrzec świata nie potrafi ani zgadnąć, ani

zastąpić swoim wymysłem. Idźcie więc posłusznie, gdzie was wiedzie Opatrzność. Słup ognisty oświecał noce Izraela w pustyni, wy macie przed sobą światło mądrości Bożéj i godło zbawienia. Z dziejów powinniście się byli dawno już przekonać, że losy ludów w każdym czasie są tajemnicą, a z codziennego doświadczenia widzicie, że wszystkie wielkie przewroty w naturze dzieją się stopniowo. Tajemnica, prostota środków i nieprzerwana stopniowość ich działań, oto są cechy mądrości rządzącéj kolejami świata.

Rozpowiada jeszcze o nicości cywilizacyi dzisiejszéj; zwraca się potém do pierwszych przyczyn.

Siła twórcza jest wyłącznym przymiotem jednego tylko Boga..... macie wszakże dwa ogromne przymioty ducha *rozumowanie* i *natchnienie*.... Pożytek rozumowania najwięcéj zależy od podstawy, na któréj się opiera. Moc jego zadziwiająca w przedmiotach świata zmysłowego, w świecie ducha nadzwyczajnie się uszczupla.... jakby w pomoc rozumowi w stanie upadku tudzież dla odświeżenia pamiątki raju. Opatrzność dla wiadomych jéj celów zsyła w pewnych czasach na pewne indywidua chwilową siłę jasnowidzenia i jasnoczucia. To jest natchnienie geniuszu.....

.... Są dwa upokorzenia, dwie porażki, na które bywa narażony najpotężniejszy rozum, jedna od przenikliwości prostego serca, druga od dojrzałego doświadczenia....

.... Różnorodna massa wiedzy ludzkiéj może być sprowadzona do czterech kategorii, których kluczami są: *rozumowanie, doświadczenie, serce i inspiracya.*

Tu znajdujemy nieco zamętu, skutki są pobrane za przyczyny. Nam się zdaje, że *serce i inspiracya* dadzą się sprowadzić do jednego wyrazu, i że *doświadczenie* stanowi tylko moment w syntezie rozumowania i uczucia.

Zbiorowiska wiedzy ludzkiéj dziś już połączone z sobą tysiącznemi kanałami pomnożą się z sobą jeszcze mnóstwem nowych kanałów i kiedyś zapewne zleją się wszystkie w jedną całość...... W naturze jest jedna tylko ogólna siła, co daje materyi ruch i życie..... najniewłaściwiéj dotąd dzielicie materyą na żyjącą (organiczną i martwą). W całém uniwersum nie masz nic martwego..... Przekonacie się kiedyś, że w universum nie ma sił innych oprócz duchownych. Wtedy porzuciwszy niedorzeczne nazwania sił fizycznych, znajdziecie dziwną zgodę między nazwami dwóch światów — materyi i ducha.

To co poprzedza, brzmi panteistycznie, ale w gruncie można myśli podobne usprawiedliwić.

Jak zbrodnie we względzie moralnym, tak w fizycznym choroby dolegliwości i śmierci, są najoczywistszym wypadkiem grzechu pierwszego człowieka. Zostaje wam jeszcze przekonać się, że każda boleść cielesna jest także skutkiem pewnéj przyczyny moralnéj.

Zdanie powyższe jak i wiele innych wyjętych jest z Józefa de Maistre, którego wpływ tak na autorze Listopada, jak i na Eleonorze Sztyrmer rozpoznać łatwo. Z wielkim tym myślicielem będziemy się musieli kiedyś rozprawić, tu oświadczamy, że uchylamy głowę przed siłą i przed całością jego wyobrażeń, ale się nie zgadzamy na nieubłaganą logikę, z jaką z krzywdą miłości chrześcijańskiéj religijne prawo formułuje.

W wywodzie Eleonory Sztyrmer idą daléj uwagi o historii, o sztukach, muzyce. Jeszcze daléj znajdujemy:

Nauki tajemnicze i symbolistyczne, które porzuciliście ze wzgardą, nie były niedorzeczne, tylko nie znalazłszy klucza, zwichnęliście ich naturę i wylęgły się brednie. Nie pojąwszy wielkiej prawdy, że świat jest systemem rzeczy niewidzialnych, widzialnie przedstawionych; nie pomyślawszy nad tém, że, jak zwierzęta domowe w ciągłéj będąc styczności z rozumem ludzkim, cząstkę jego nakoniec zajmują, tak i człowiek, dotykając nieustannie wyższéj, duchownéj strefy, tyle może w niéj dostrzedz, ile mu dozwolono; nic z tego nie wziąwszy na uwagę, obaliliście od razu wiedzę tylu wieków, zbiorowisko pomysłów, któremi się karmiło tyle pokoleń? Zastanówcie się nad tém ze smutkiem i lękajcie się podobnego upadku dzisiejszéj zwanéj mądrości. Wróćcie tamtym wiekom należny szacunek, a skromność ich naśladujcie. Albertus Magnus, R. Lulle, Revchlin, Paracelse, Van Helmont i wielu innych, byli ludzie niepospolitego objęcia; lecz nie chełpiąc się, mówili każdemu; „umiejętność nasza prosta jest i łatwa. Niewiasta nie wstając od kądzieli, może się wszystkiego nauczyć. Trzeba tylko mieć wolą i umieć pojmować.“

W inném miejscu i w innym ciągu mówi Żyd:

Nie myślcie, żeby w żyjącéj rodzinie związek między pierwszym i ostatnim jéj członkiem mógł być zupełnie zerwanym. Jest to żywy łańcuch, w którym prąd sympatyi wzrusza i zbliża ku sobie dwa końcowe ogniwa. Jeżeli je-

no z nich zostaje niewzruszone na miejscu, drugie, w jakimkolwiek byłoby biegu, musi do tamtego się zwrócić, chociażby na jedną chwilę.

Tu ima się rozpowiadania swoich dziejów, zaczynając od wędrówek do Chin i do Indii, których krajów starożytność wynosi tak, jak gdyby czytał antichrześciańskich pisarzów z przeszłego wieku i ślepo im zaufał. Kiedy przechodzi do Grecyi, a szczególniéj do Rzymu, mówi w sposób co chwila *Irydiona* przypominający.

Cały szkic historyczny znajdujemy bardzo słaby; takie ogólniki z podręczników wyjęte choć w liryczną szatę przybrane żadnéj wagi nie mają.

Opowiadanie Żyda zaczyna wtedy dopiero zajmować, kiedy przystępuje do szczegółów tyczących się własnéj rodziny. Powiada on:

— Po zburzeniu Jerozolimy wnuk mói został w Palestynie. Za cesarza Adriana, wnuk mego wnuka przeniósł się do Babilonu, gdzie po kilku wiekach potomstwo jego stało się możném między żydami, piastowało pierwsze urzęda w Sanhedrinie i słynąc z nauki miało wielki udział w wydaniu Talmudu. Nie szydzilibyście tyle z téj księgi, gdybyście zastanowili się nad celem jéj ułożenia. Starzy pisali ją ze łzami w smutku i tęsknocie na brzegach rzek Babilońskich i noce przepędzali nad obmyślaniem słów jéj: bo wiadomo im było, że przedsięwzięli dzieło wielkie, prawie nadludzkie. Chcieli oni nałożyć na przyszłe pokolenia takie prawa duchowne, coby je ochraniały od pomięszania z innemi narodami, coby zachowały od zatarcia dawnéj wiary, obyczajów i charakteru ludzi, i żeby się na wieki oddzielić od Goimów, do tego stopnia skrępowali przepisami wolną wolę wyznawców starego zakonu, narzucili na nich tyle szczegółowych powinności dla wszystkich drobnostek potocznego życia, że duch Izraela zaplątał się w tych ścianach moralnych. Urządzili, wyrachowali, zważyli wszystko zawczasu, sparaliżowali wszystkie pierwiastki życia umysłowego, i dosięgnęli celu — ale cóż? żydzi oddzielili się od innych narodów, albo raczéj zostali od nich odepchnięci, i stoją dotąd w ciemnościach na jedném stanowisku, podobni do mumii starożytnych, wywleczonych z grobu, od których każdy twarz odwraca.

W jedenastym wieku Majmon potomek Ahasverusa piastował godność Księcia Niewoli w Babilonii. Po jego

śmierci zostało dwóch synów Elizer i Juda. Żydzi Elizera obrali następcą po Ojcu, co zazdrośnego Judę do bratobójstwa popchnęło. Ścigany póżniéj przeklęstwem przeniósł się Juda do Germanii.

Cały ten ustęp dobrze jest oddany, ma koloryt właściwy, żydowski i wschodni.

Potomkowie Judy zostali w Niemczech rycerzami. W XV. wieku Wolfram pochodzący z téj rodziny, poszedł na krzyżaka. Wolfram był zły człowiek, zginął w wojnie z Polakami za Władysława Jagiełły i dusza jego przeznaczona została na pokutowanie w zamku Kiszborgskim, (cała ta legenda wyjęta jest ze zbioru Grimma i w zajmujący sposób opowiedziana). Syn nieprawy Wolframa, Hugo, osiadł w Polsce i przezwany został *Krzyżowiec;* od niego poszli Krzyżowieccy nobilitowani za Zygmunta III.

Tu się kończy ustęp: *Życie wyjątkowe,* a zaczyna inny pod napisem *Jad w krwi.* Ten ostatni zamyka w sobie wizią Anieli w sali, gdzie wiszą portrety ich przodków. Żyd wieczny rozkazuje wszystkim tym grobowym postaciom zbrodnie swoje opowiadać. W każdéj historyi maluje się wydatnie wpływ szatana. Pierwszy z rzędu występuje Grzegorz Krzyżowiecki, Stolnik Bielski, Prapradziad Anieli. Grzegorz oskarza się, że był kochankiem własnéj siostry, daléj mówi Rigobert, Podczaszy Wendeński, zalotnik zawołany w swoim czasie, który nad Renem ożenił się z jakimś upiorem, z Księżniczką pokutującą za grzeszną wabność (tu przypomniała nam się jedna z powieści *Nieboszczyka Pantofla*). Z kolei zabiera głos Fulgenty Krzyżowiecki, skąpiec, co zamęczył anielskiéj dobroci żonę i zgładził kochającego się w niéj szlachetnie młodego wojaka. W końcu rozpowiada swoje dzieje Szymczak, syn nieprawy Grzegorza, który diabłu duszę zaprzedał jak Kasper w *Wolnym Strzelcu* za dar trafności w strzelaniu, a potém uratowany przez świętobliwą żonę umarł pustelnikiem.

Wszystkie te ustępy są nie polskiéj barwy choć do polskich miejsc i nazwisk przywiązane, choć przeplatane

polskiemi scenami, jak opis Beanii w Krakowie w historii Pana Grzegorza, choć podaniami ludu o diable ożywione; wszystkie przypominają jakieś znajome romanse; bądź co bądź napisane ruchawo.

Koniec powieści łatwo było zrazu przewidzieć; Aniela, która zrazu usłyszała, że w dzień zaduszny w Krzyżowicach syn posesora widział był jéj postać w szaty zakonne przybraną i jak do niéj wszyscy Krzyżowieccy ręce wyciągali, idzie do klasztoru, Florian wycieńczony chorobą umiera.

Jak powiedzieliśmy, cała powieść jest tylko oprawą dla systematu mniéj więcéj filozoficznego, dla zbioru zdań o wszystkiém, co wiedzy ludzkiéj i natchnienia dotyczy. Eleonora Sztyrmer nie śmiała pomysłów swoich w poważnéj formie w świat puścić, snać im zupełnie nie ufała. W istocie więcéj w nich uroszczenia głębokości, jak głębokości prawdziwéj, a co piękniejszego wyniżać się daje, nie nagradza za ogólniki i za pospolitości. W ustępach przyczepionych do wywodów filozoficznych i historycznych nie napotkaliśmy ani jednego charakteru nacechowanego oryginalnością prawdziwą i silną.

Najwydatniejszą stronę zdolności Eleonory Sztyrmer stanowi doświadczenie psychologiczne; doświadczenie to w powieściach *Nieboszczyka Pantofla*, jakkolwiek gorzkie, było bogate i rzeczywiste, tu już tylko przypomnienia znajdujemy.

Niektóre fantastyczne sceny w rodzaju niemieckim udały się zupełnie. Przytoczymy opis balu:

Niedawno przyjechałem na bal dość późno i znalazłem go już rozjaśnionym w całym blasku. Sala gorzała tysiącem świateł. W wonnéj, zaczarowanéj muzyką atmosferze, cudownie migały się w chyżym walcu lekkie postacie młodych kobiet. Szelest jedwabnych sukien, pływanie zefirowéj gazy, ogień oczu roziskrzonych namiętnością, ułudne przeloty uśmiechów, szmer latającéj rozmowy, słowem, cała ta poezya balu, wprawiły mnie w jakieś odurzenie. Stałem nieruchomy, z myślami, z uczuciami, jakby zbitemi w jedną nierozdzielną massę. Taniec dawno się skończył, a ja jeszcze nie przyszedłem do zupełnéj przytomości. W tém orkiestra zagrzmiała Szperla. Pierwsze dźwięki natychmiast

zrobiły na mnie jakieś dziwne wrażenie. Pojąłem, że w téj muzyce jest pierwiastek nieczłowieczego pomysłu. Za każdym taktem położenie moje stawało się więcéj przykrém, nieznośném. Czułem mimowolny przestrach, niespokojność mnie ogarnęła, nogi drzały podemną i same ciągnęły mnie na środek sali, a rozsądek kazał mi uciekać do domu. Szarpany dwoma przeciwnemi siłami, dręczony obawą, wytrzeszczyłem chciwe oczy, i nie mogąc się zdobyć na żadne postanowienie, patrzałem z trwogą, jak szalony chaotyczny galop z chyżością wichru oblatywał salę. — . . . . .

Uciekłem nareszcie z balu. Ścigany echem Szperla, zmięszany całą tą fantasmagoryą, która się przesunęła przed memi oczyma, wpadłem do swego pokoju, i rzuciłem się na łóżko, żeby snem umorzyć nieokreśloną niespokojność, co nie chciała ustąpić żadnemu rozumowaniu. Szalona muzyka huczała mi w uszach; nogi drzały mi pod kołdrą, jak gdybym galopował po posadzce; przytomność gasła powoli, nakoniec zasnąłem. We śnie, zamiast sali balowéj, ujrzałem obszerne pole śmierci z tysiącem mogił; zamiast czarownego oświecenia pokojów, kilka gwiazd padających pruły jasne bruzdy po niebie, błędne ognie latały między grobami i księżyc zwolna przedzierał się śród chmur; zamiast szmeru rozmowy, wiatr świszczał w chwastach; zamiast orkiestry, straszny kapelmeister, którego imienia sam się domyśl, siedział na pniu suchéj wierzby i trzymał basetlę z ogromnym smykiem. Ledwie północ wybiła na wieży, zaczął stroić swój instrument; a natychmiast z każdéj mogiły powstał duch blady i stanął na niéj w milczeniu jak do tańca. Spojrzałem na to zebranie umarłych i poznałem co do jednéj te osoby, które tańczyły na balu. Kapelmejster gwałtownie pociągną łswoim smykiem po stronach, zagrzmiał straszliwy Szpel, jak łoskot burzy, i wszystkie duchy puściły się z rozpaczą w szalony, chaotyczny galop po mogiłach... Grajek spoglądał na ten bal z piekielnym uśmiechem i rzekł do mnie: Niedawno byłem sobie w dobrym humorze, i żal mi się zrobiło Straussa, że od godziny siedział zamyślony nad białym papierem; wziąłem go pod rękę, i kierując nią napisałem ten taniec. Oho! mam nadzieję, że Szperl nieporównanie lepiéj mi się opłaci, jak Sonata, któréj nauczyłem *Tartiniego.* Brawo Szperl! *Szperl in Floribus.*

Znajdujemy raz wysokie pojęcie muzyczne:

Chcesz poznać prawdziwą muzykę? weź fugi i sonaty Bacha, Alcestę i Armidę (Glucka), Stworzenie świata (Haydna), Symfonią pasterską (Beethovena), a szczególniéj Don-Juana!

Te olbrzymie arcydzieła muzyki, a może i wszystkich sztuk pięknych. — .....

..... Podanie o dumnych aniołach, co razem z szatanem strąceni zostali w otchłań, zachowało się w pamięci ludów. Z niego po wielu wiekach Grecy utworzyli myth Tytanów, szturmujących niebo Jowiszowe; i odtąd myth ten w różnych czasach i narodach przybierał tylko nowe odcienia. W podaniach gminnych każdego prawie narodu wyrobiło się pojęcie jakieś Tytana; ale nie każde z tych pojęć znalazło artystę, coby je oświetlił promieńmi swego geniuszu i zmienił w *typ*. U nas naprzykład jest tradycya o Twardowskim, ale nikt z niéj dotąd nic zrobić nie potrafił i leży jeszcze *in crudo*. Ożywionych ogniem poetycznym jest nie wiele: Prometeusz, Faust, Don-Juan. We wszystkich trzech lubo różne znamionujących typy, spotyka się ta sama główna namiętność — *duma;* ta sama rozwiązka — szalona *żądza* śmiertelnéj istoty *omylona w nadziei;* ta sama myśl — *nicestwo geniuszu!* Don-Juan posiada najogromniejsze środki, jakie tylko człowiek może mieć na drodze życia zmysłowego: żelazne zdrowie, dziwną piękność obok błyskotnych przymiotów umysłu, spojrzenie magnetyczne, którego potędze żadna kobieta oprzeć się nie zdoła, zuchwałość bez granic, niespokojną wyobraźnię i wulkaniczne żądze. Zjawienie się takich sił w spółeczności musiało koniecznie wywołać odpowiadającą im reakcyą. Ztąd bierze początek cudowny pomysł *Donny Anny,* która jest niejako Tytanidą czystego uczucia i heroizmu serca; stąd rola *Elviry* ideał nieograniczonego poświęcenia się dla ulubionéj istoty, ztąd Don Ottavio przedstawiciel czułéj duszy przepełnionéj miłością.

To, co poprzedza, zdaje się być przepisane, albo naśladowane, w każdym razie za nadto wyrafinowania myśli w całym ustępie a za mało prostego uczucia; wszakże uderza bystry rzut oka, a sąd ogólny do przekonania naszego trafia.

Sposób pisania Eleonory Sztyrmer nie ogrzał się od czasu powieści *Nieboszczyka Pantofla*, świetność w *Kataleptyku* idzie z głowy, sarkazm jest zawsze bliski, tak bliski, że obawa ironii wstrzymuje wszelkie wzruszenie. Przesadę w kolorycie, brak smaku w obrazach i w słowach napotkaliśmy wielokrotnie.

Musi coś być w atmosferze otaczającéj pisarza, w atmosferze wielkiéj północnéj stolicy, przesiąkłéj natchnie-

niami źle zrozumianego Byrona i ostatnich utworów Puszkina, surowemi myślami raczéj, jak surowemi zasadami religijnemi, mistycyzmem spekulacyjnym, także poszeptami feiletonów i wodwilów francuzkich, co fałszywy kierunek nawet pisarzowi tak wysoko mierzącemu i tak usposobionemu daje. Kierunek ten bodaj się już niezmieni i szkoda, bo powieści *Nieboszczyka Pantofla* a nawet *Kataleptyk* pokazują zdolność prawdziwą i silny umysł.

---

O *Kollokacyi* Korzeniowskiego nie wiele mamy do powiedzenia. Pisarz ten wpadł na tor wziętości, znalazł kilka typów dosyć prawdziwych, dosyć zabawnych i ciągle je odtwarza. Dramat *Żydzi, Spekulant i Kollokacya* mniéj więcéj podobnemi zapełnione są postaciami. Wszystko to nie w wysokiéj żyje sferze, wszystko nie rzadko pospolitością razi, zkąd inąd spostrzeżenia pisarza są więcéj obyczajowe, jak psychologiczne, jego wyobrażenia moralne nie wyższe jak zdawkowa moralność towarzyska szlachetnego uniesienia. Tego rodzaju dzieła nie są w stanie obudzić, że jednak nie brak w nich łatwości i dowcipu, jakkolwiek rubasznego, że pisarz umie zachować pewną całość i proporcyą, obudzić interes i nawet przedmiot zadramatyzować, że opisuje poprostu i nigdy w deklamacie, ani w długie wywody się nie wdaje, z przyjemnością powieści jego czytać można.

Wziętość Korzeniowskiego da się z téj strony wytłumaczyć, że pisze nie dla ludzi wysoko ukształconych, ale dla klassy najliczniejszéj czytelników. Głowy sobie nad jego utworami mozolić nie potrzeba, przeciwnie wesoło się przy nich odpoczywa, śmiech przeplatając rozczuleniem i nigdy nie potrzebując przy uczuciu zadowolnienia gwałtu zdrowemu rozsądkowi zadawać.

Korzeniowski nie ma właściwie celu moralnego, wszakże czasem łatwą i zdrową myśl moralną nasuwa. Jedno jego dążenie zupełnie nam się podoba. Chłoszcze on bez miłosierdzia wszystkich Dorobkowiczów, wszystkich ludzi, co korzystają z okoliczności, żeby z krzywdą cudzą, albo lud uciskając, majątek robić.

Treść *Kollokacyi* jest następująca:

Pan Prezes Zagartowski Dorobkowicz, człowiek twardy i nieszczerze dobroduszny, jest ojcem panny Kamilki, ładnéj, trochę po hajducku wychowanéj panny, właścicielem Szyszkowic i innych wielu dóbr. W sąsiedztwie jego leży wielka wieś Czaplińce, która przez exdywizyą rozdzielona na cząstki stała się rzeczą pospolitą kollokacyjną. W Czaplińcach mieszka mnóstwo szlachty, między którą przodkuje dom Starzyckich. Starzyccy są to ludzie staréj daty. Dziadek i babka, ojciec i matka, córka Anusia i syn Józef składają rodzinę zgodną, kochającą się, poprzestającą na mierności, pełną cnót i uczuć szlachetnych. Inni mieszkańcy Czapliniec odznaczają się tylko śmiesznościami i przywarami. Oto obraz towarzystwa Czaplińskiego:

Pan Płachta był jednym z najmożniejszych obywateli w Czaplińcach. Miał on tam blisko siedemdziesiąt dusz, najlepszą część sianożęci, najdogodniéj położone grunta, stawek rybny i głęboki, i młyn, który dość znaczny przynosił dochód. Ale na nieszczęście P. Płachta był w młodości swojéj *totumfackim* w jednym z możnych domów na Wołyniu, i przywykł do tego, co nazywał *komilfo* i o co się starał we wszystkiém. Zaczął od wzięcia żony komilfo. Była to kobieta nie brzydka, ale wychowana w sąsiedztwie bogatego i modnego domu, przewróciła sobie głowę pańskością. Krzywiła się, jeśli jéj nie adressowano listów *à Madame la Comtesse Płachcina;* do męża nie mówiła inaczéj jak *Monsieur Płachta,* imitując jednę z dam, która świeżo wróciła z zagranicy; od biedy mogła się trochę rozmówić po francuzku, ale dawała wszystkim frazesom polski obrot, przemieniała co chwila rodzaj rzeczowników, przeciągała wiecznie wszystkie wyrazy na przedostatniéj zgłosce i używała najniewłaściwiéj i najdziwaczniéj partykuł *en* i *y,* które passyami lubiła. *En voulez vous du Café? Monsieur Jakub!* mówiła zawsze do P. Jakuba starego kawalera, który ją często odwiedzał i jak kronika Czapliniecka głosiła od dawna cholewki do niéj smalił. Mąż, jak mówią, patrzał na to przez spary, bo P. Jakub był komilfo, bywał u Pani Włodzimierzowéj Podziemskiéj urodzonéj Xiężniczki W., grał ślicznie na gitarze hiszpańskiéj i śpiewał doskonale: *te brzóz kilka,* i inne piosenki. Oprócz P. Płachty i P. Płachciny były jeszcze dwie panny Płachcianki Zenobia i Kryspina, które ma-

tka zawsze z francuzka nazywała Zenobi i Kryspin; ojciec, żeby się nie rozminąć z ulubionèm swojèm komilfo, dodawał *Medmosel Zenobi i Kryspin;* a P. Jakub, który miał widać pewne prawa do pieszczenia progenitury P. Płachciny nazywał Binia i Pinia. Były to panienki lat dziewiętnastu i ośmnastu, tłuste, białe i nieszpetne, ale ich edukacya i maniery, równie jak dom i całe jego urządzenie odpowiadały głównemu urządzeniu PP. Płachtów......

.....Państwo Płachtowie mieli także lokaja i niestety! z brudno żółtym paskiem na kołnierzu, który miał reprezentować galon: bo jakże może być dom komilfo bez galonowéj liberyi? Ale tego dziurawego i prawie bosego Hryćka we fraku, którego P. Płachcina, nie wiadomo dla czego, przerwała Żorżem, nie można było nigdy oduczyć, aby nie ucierał nosa palcem wtenczas, gdy komu na wyszczerbionym talerzu wodę podawał. Umeblowanie domu odpowiadało reszcie; zszarzana elegancya, popaczone machoniowe forniry, dziurawe i wystrzępione obicia, starte i nawet niepołatane dywaniki i t. d. Otóż w takim to domu 17 Października w dzień Ś. Lucyny była wielka feta. Były to imieniny saméj Pani, które mąż zawsze solennie obchodził. W domu był ruch wielki. Spodziewano się dużo gości, i nietylko wszystkich Czaplinieckich kollokatorów, ale nawet z sąsiedztwa. Po rannym zaraz obiedzie zaczęła się zaraz toaleta i wkrótce wyszedł P. Płachta w cynamonowym fraku z długiemi ale wąziutkiemi połami, w granatowych ciasnych szarawarach, podczesał siwe swe włosy i nadstawił spory fontaż białego kalsztuka......... Sporą trzaskę podłożył pod jednę nogę stołu przed kanapę, aby się nie kiwał, obejrzawszy jeszcze raz wszystko, kazał zakadzić suszonemi skórkami z jabłek. Zadyszany i spotniały Żorż uwijał się jak mucha w ukropie i ciągłe dawał szturchańce stajennemu chłopakowi, który przybrany w stare spodnie, jakiś odwieczny frak P. Płachty, z zachowaniem jednak własnych chłopskich bótów, miał rezprezentować lokaja i pomagać Żorżowi. W sieniach także stały już dwie kobiety ze wsi, które tuliły w siermięgach płaczące dzieci i oczekiwały smutno, po co je wezwano i co każą robić. Miały one pójść do kuchni i pomagać pomywać naczynia.

Wyszła nareszcie solenizantka w berecie na włosach poczernionych, o które brukały się jeszcze bardziéj brudne już pióra. Do obszernego jéj ciała przykleiła się aksamitna suknia z krótkiemi buchastemi rękawami. Czerwone ręce nie miały rękawiczek; ale za to na rozległym jéj gorsie zwijał się w przezroczystą mgłę stary pożółkły szalik gazowy,

okręcony dwa razy, i zdawał się reprezentować obłok, na którym malowały się żywe kolory téj korpulentnéj Irydy.......

......Wyszły nareszcie Panny Płachcianki w odpowiednim uroczystości stroju, którego opisywać nie myślę. Zaczęli się oraz schodzić i zjeżdżać goście. Tu już pozwolą mi czytelnicy niektórych szczegółów, ponieważ one potrzebne będą do dalszego ciągu historyi.

Wszedł najprzód P. Birucki z żoną i córkami. Był to szlachcic już nie młody z ogromną facyatą, obsypaną pryszczami, z nosem zaczerwienionym, w sieraczkowéj kapocie i z białym kapeluszem w ręku. Wąsy wielkie i gęste przykrywały wierzchnią wargę, a czupryna dość nisko przycięta posypana już była szronem. Wszakże P. Birucki miał tylko pozór straszny, zresztą był człowiek dobry, nie kłótliwy i bał się dwóch rzeczy: próżnéj butelki i żony........ Obok niego była P. Birucka, chuda, mała, ale najeżonym czepcem i wielkiemi kukardami i szlarkami podnosząca swoję figurę.... Pani Birucka dygnęła dość obojętnie solenizantce, bo cierpieć jéj nie mogła, jako swéj najbliższéj sąsiadki, co jéj ta ostatnia z całego serca odpłacała. Panny Płachcianki przywitały się także zimno z Pannami Biruckiemi, widać było, że nieporozumienia matek przelały się i na dzieci. Dawniéj, gdy były mniejsze, siedząc wszystkie cztery na płocie odgraniczającym ich ogrody, paplały nieraz jak sroczki i lubiły się wzajemnie, ale od tego czasu jak P. Płachcina dała fałszywy model na czepek P. Biruckiéj, tak, że zmarnował się tyfoń, z którego miał być zrobiony i gdy nawzajem Pani Birucka odpłacając za zdradę zdradą, dała swojéj sąsiadce fałszywy przepis na baby, tak, że mąka, jaja i drożdże poszły w niwecz i PP. Płachtowie nie mieli z tego powodu ciast komilfo, oziębiły się zupełnie sąsiedzkie stosunki i tylko mężowie jeszcze utrzymywali pozorną zgodę. Wszakże mówiono już o tém głośno w Czaplińcach, że burza co moment była bliska wybuchnienia......

.....Nowo przybyły był to P. Bartłomiéj Skrętski. Dziedziniec Pana Skrętskiego był Scyllą i Charybdą, w którą ani gęś, ani prosię sąsiada nie mogło wpaść bezkarnie — przepadło bez wieści. Ale że P. Skrętski był krzykliwy, wymowny, umiał wyprzysiądz się i wyperswadować, nie można go było złapać na uczynku. Z tych powodów, chociaż gniewy wrzały ciągle, do otwartéj kłótni nie dochodziło. Właśnie gdy P. Skrętski coś opowiadał, bo był także i nowiniarz, i zaklinał się na honor, na żonę i dzieci, że na własne oczy widział, co nie exystowało wcale, weszli dwaj jego sąsiedzi: P. Zarzycki z synem i P. Cepowski z synem. Po-

winszowali solenizantce, pocałowali wszystkie damy w rękę i powitawszy gospodarza i P. Biruckiego, na sąsiada swego nie zwrócili żadnéj uwagi. On też nawzajem nic sobie z nich nie robił i daléj ciągnął opowiadanie. Tym sposobem dopełniała się kompania; schodzili się ubożsi i drobniejsi posiadacze, mający po dwóch i po trzech chłopów, ten w surducie, ten w kapocie, ten w starym i obwisłym fraku; zjawiły się i Panie w perkalowych czepkach i Panny w perkalowych sukienkach w niebieskich i różowych trzewikach i z białemi chusteczkami na szyi.

Ale P. Płachcina zawsze jeszcze kogoś wyglądała; Panny Płachcianki co moment przecierały okno chusteczką i patrzały na dziedziniec, a P. Płachta także co chwila zazierał do sieni. P. Płachcina naturalnie wyglądała P. Jakóba, a P. Płachta i córki jego, Panów Remigiusza i Pawła Smyczkowskich, dwóch braci rodzonych, którzy, chociaż obok siebie w dwóch osobnych częściach mięszkali, wspólną mieli karczmę i za hałaburdów słynęli, rzadkim u nas przykładem żyli w braterskiéj zgodzie i dotąd jeszcze ani razu się nie pokłócili. Interesowali oni naszego gospodarza przez ten wzgląd najbardziéj, że P. Remigiusz grał na skrzypcach i obiecał je z sobą przynieść, a P. Paweł akompaniował mu na klarynecie. Chociaż klarynet nie wszystkie wydawał tony, ale że P. Remigiusz nigdy bratu nie ustępował prymu jako starszy, mniéj były rażące te luki i przerwy i wydawały się umyślnemi przestankami wtoru, dającego czas popisać się głównemu instrumentowi. Zajechała żółta bryczka na dwóch resorach i PP. Smyczkowscy, jeden ze skrzypką w ręku, obwiniętą czerwoną chustką od nosa, drugi z klarynetem okręconym także chustką i także czerwoną, razem z niéj wyskoczyli wszedłszy prawie razem do pokoju, razem winszowali solenizantce, razem witali damy i razem mężczyzn, jako dwaj bracia zgodni, nierozdzielni. Dodać tu jeszcze należy, że PP. Smyczkowscy byli jednakowo ubrani w granatowych czamarkach z potrzebami, już wprawdzie nie nowych, ale jeszcze całych; jednakowo nosili wąsy i jednakowo straszne mieli bakenbardy. Chociaż utrzymują, że muzyka łagodzi charakter i obyczaje, wszakże tego jéj skutku nie widać było na PP. Smyczkowskich. Byli oba zuchwali, gwałtowni, gburowaci, a tém straszniejsi dla sąsiadów, że gdy jeden się skłócił, posyła w ten moment po drugiego, i wówczas krzyczeli ogromnie oba, tak że biedny sąsiad, zatknąwszy uszy, uciekał do izby. Dla P. P. zaś byli ze szczególną grzecznością, bo podobno P. Remigiusz miał widoki na Pannę Zenobią, a P. Paweł na Pannę Kryspinią. PP. Zarzyccy i Cepowscy młodzi patrzyli na to z zazdrością, ale nie śmieli jéj okazać

raz że widzieli wyraźnie, że Panny słodko spoglądały na wąsatych muzykantów, a powtóre, że bali się którego z nich zaczepić, bo gdy jeden postawił marsa i pokręcił wąsa, drugi także brwi marszczył i z tejże saméj strony wąsa pokręcał.

Chociaż kompania jeszcze nie była kompletna, bo P. Jakób się spóźniał; ale że gospodyni spostrzegła, że ten i ów się ogląda ku drzwiom i chrząka, kazała podawać kawę. Panna Zenobia powtórzyła rozkaz matki Żorżowi, a przyzwawszy na pomoc, siostrę stanęły obie przy stoliku nakrytym koło pieca, na którym już stało na tacy kilkanaście filiżanek i świeże bułki, które Panny nazywały les bules. Wkrótce przynieśli wielki imbryk z kawą i sporą rynkę ze śmietaną. Panny zajęte były nalewaniem, a obok nich stojący Panowie Smyczkowscy to chwalili zręczność, to sprzeciwiali się z umizgami, wykradali cukier z filiżanek, trącali stolik, żeby się kawa wylewała na miseczki i inne równie miłe dowcipne robili figle i zaczepki. Za to wszystko odbierali to wejrzenie długie i znaczące, to łyżeczką po ręku, to kilku kroplami śmietanki, ciśnionemi zręcznie po twarzy. Patrząc na te manewra PP. Zarzycki i Cepowski młodzi, przechadzali się wzdychając, ale przystąpić nie śmieli, bo się bali.

Wśród podawania kawy, które miało trwać długo, bo filiżanek nie było i połowy tyle ile gości, P. Płachcina, siedząca na kanapie, lekko krzyknęła. Wszyscy goście zwrócili się ku drzwiom otwartym, i zobaczyli P. Jakóba, a za nim chłopaka z pudełkiem do gitary.

P. Jakób miał lat około czterdziestu, był średniego wzrostu i chudy. Cienkie nóżki jego okazywały wązkie, kortowe szarawarki jasno migdałowego koloru; czarny frak dawnego kroju z buchastemi rękawami, zapięty był na jeden tylko guzik. Wyglądała z pod niego paliowa kamizelka, a biała chustka na szyi na ogromnéj rogówce grubo i dosyć wolno okręcona, szła po same uszy i pozwalała brodzie swobodnie zanurzać się i pokazywać, co zawsze czynił w miarę wysokich i niskich tonów, jakie brał na gitarze.

Oczy jego siwe umizgały się do wszystkich, nos długi sterczał naprzód, a że miał tylko sześć ogromnych zębów z przodu, gdy się śmiał, podobnym był do konia, gdy poziewa. Czoło miał mocno na tył pochylone, a na głowie jego wznosił się czub z tylnych włosów naczesany, który zakrywał łysinę. Wszakże czasem zapał muzyczny psuł i to rusztowanie kokieteryi, bo gdy P. Jakób zmieniając raptem ton instrumentu, odrzucał głowę na tył, i czub jego rozlatywał się na wszystkie strony.

Wszyscy prawie krzyknęli: a! P. Jakób! P. Jakób! — Widząc się tak pożądanym Orfeusz Czapliniecki, przy drzwiach

jeszcze zatrzymał się, prawą nogę wyciągnął naprzód, tak że palcami ledwie dotykał ziemi, a trzymając w lewéj ręce miękki kastorowy kapelusz zmięty i stary, chustką białą, którą miał w prawéj, machał na tę i na ową stronę, i tak witał kompanią. Uśmiechały się oczy P. Płachciny, a P. Birucka ruszała ramionami.

Biniu, Piniu! ręce wasze całuję — rzekł Pan Jakób przechodząc koło Panienek, a chociaż go nie zatrzymywały, dodał:

*Lecz puśćcie mnie do mamuni,*
*Ażebym w dzień jéj imienia*
*Złożył u nóg jéj życzenia,*
*A potem dajcie kawuni.*

A co? — dodał i nieczekając, jaki efekt zrobi czworowierz, bo pewnym go był naprzód, przystąpił do solenizantki i zaczął powinszowanie, w którém pełno było zdrobniałych i pieszczotliwych wyrazów, które mocno lubił. Zakończył zaś rzecz całą taką improwizacyą:

*Dajże nam Panie Boże,*
*Byśmy za rok o téj porze,*
*Zeszli się na imieniny*
*Do Lucyny, do Lucyny.*

A co? — dodał, śmiejąc się i oglądając. Tą razą wszyscy huknęli brawo; P. Płachcina rozrzewniła się i wyciągnęła rękę do P. Jakóba, a P. Birucka ruszyła ramionami.

P. Jakób wniósł radość do całéj kompanii, dawszy jéj, że tak powiem, przedsmak téj estetycznéj rozkoszy, jaką ją miał nakarmić. Radość ta powiększyła się jeszcze bardziéj, gdy na tacy przyniesiono różnego rodzaju kieliszki, i gospodarz ukazał się z butelką. A chociaż kobiety nie miały z czego się napić i musiały zaczekać, bo kieliszków niestało, nie zważając na to Pan Jakób, wystąpił naprzód i znowu zaimprowizował:

*Daléj Panie i Panowie*
*Drogie to są imieniny;*
*Niechże, kto ma oléj w głowie*
*Duszkiem to wychyli zdrowie*
*Zdrowie Lucyny!*

krzyknął i potem dodał: — a co?

Zdrowie Lucyny! krzyknęli także wszyscy mężczyźni wychylając kieliszki. . . . . Uspokoiło się wszystko; P. Jakób usiadł na swojém miejscu i założywszy nogę za nogę, puścił biegłą rękę po stronach gitary. Gdy po kilku akordach zaczął tremulando i z czuciem, i niezważając na ruiny swego czuba, zapalał się, posuwał lewą ręką z góry na dół i z dołu do góry, i wydobywając z instrumentu dziwne

jęki, publiczność dawała znaki ukontentowania ruszaniem głów i milczeniem. Zachęcony tém P. Jakób, przestał nagle, spojrzał po wszystkich i zapytał: a co? A nieczekając aplauzu, co zwykle czynił, bo go naprzód był pewny, po krótkiém preludium zaśpiewał:

*Te brzóz kilka, ten bieg wody*
*Jak mi wiele przypomina,*
*Tu przeskakałem wiek młody,*
*Tu żyła niegdyś Lucyna.*

Ostatnie dwa wiersze powtórzył raz drugi, a ostatnie słowo wymawiając, przesłał ku solenizantce wejrzenie długie i mordercze. Tak było po każdéj strofie; i po każdéj z nich szerokie łono P. Płachciny z gazowym szalikiem podnosiło się, a głowa jéj z beretem i piórem schylała się na dół. Gdy skończył i zapytał: a co? wszyscy milczeli. Zachęcony tém P. Jakób rzekł: może Państwu co nowego? a co? — i nie czekając prośby, bo jéj był naprzód pewny, zaśpiewał:

*Niepostrzegłszy w krzaczku róży*
*Kupidyn że pszczółka siadła i t. d.*

A chociaż w ciągu piosnki P. Skrętski szepnął P. Biruckiemu, że coś nie ma wielkiego sensu, a PP. Smyczkowscy pokręcali wąsa, gdy jednak przyszło do tych słów ostatniéj strofy:

*Matka rzecze: jeśli synku*
*Tak dolega żądło pszczole,*
*Cóż dopiero kupidynku!*
*Kogo strzelba twa zakole?*

i gdy P. Jakób zawołał: a co? a co? Cała kompania umilkła; Pan Remigiusz zwyciężony, spojrzał na P. Zenobią, P. Paweł na P. Kryspinią, a PP. Zarzycki i Cepowski, młodzi, czując prawdę ostatnich słów piosenki, westchnęli, ale bali się okazać, co czują. — Czem znowu zachęcony P. Jakób, już miał zacząć weselną piosenkę i zadzwoniwszy kilka razy po wszystkich strunach, zaśpiewał z silną przegrywką po każdym wierszu:

*Nie wiem z jakiego powodu,*
*Drum, drum, drum, drum, drum.*
*Poszła Fila do ogrodu*
*Drum, drum, drum . . . . . . . . .*

Ale pirogi i prosięta przerwały jego muzyczny zapał; i gdy się na stole ukazały, nie pytano już po co Filis poszła do ogrodu i każdy ruszył się do półmiska, a dzieci pleszcząc w ręce i krzycząc różnemi głosami, które stłumiły przegrywki P. Jakóba, wołały: Piróżki! piróżki!

Ambicią Prezesa, który ma do wysokiego stopnia zmysł zaokrąglania się posunięty, jest wykupienie Czapliniec z rąk szlachty. W tym celu stara się on sam wprost i za pośrednictwem żydów pożyczkami pieniężnemi i dawaniem towarów na kredyt, członków rzeczy popospolitéj Czaplinieckiéj zrujnować. Za głównego agenta służy mu żyd Szloma, bardzo podobny do *Arona* z dramatu *Żydzi,* tylko nieco mniéj uczciwy, młodszy i większy elegant, a jako wychowany w Szkołach Krzemienickich afektujący czystą mową polską i zaklinaniem się na słowo honoru. Szlachta daje się powoli uwikłać w sidła Prezesa, jedna scheda Starzyckich czysta i nienaruszona pozostaje.

Powieść zaczyna się od spotkania na gościńcu Panny Kamilli z Panem Józefem Starzyckim, wnukiem w rodzinie Czaplinieckiéj, zupełnie tak jak w *Spekulancie.* Podobnie także jak w *Spekulancie* Kamilla po kilku chwilach serce swoje Panu Józefowi oddaje. Takie gwałtowne zakochanie się dziwnie nas uderza, ale nie będziemy się sprzeczali z autorem, bo może się to tak dzieje na Wołyniu. Zresztą jak tu się oprzeć P. Józefowi, który ma ładne wąsy blond i niebieskie oczy, a posiada oprócz tego psa nazwiskiem *Amor,* psa biegłego w sztuce tłómaczenia uczuć swego Pana. Kamilla nic nie mówi Ojcu o tém co się w jéj sercu dzieje. Panna Beldeau guwernantka, karykatura guwernantek Francuzek, także milczy; ale Kamilla ma wolę i śmiałość, a w dyplomacii bieglėjsza jest jeszcze od Prezesa; przez Szlomę wywiaduje się ona o rodzinie P. Józefa i ojca zręcznie do pierwszéj wizyty nakłania. Spotyka się Prezes, bogaty i dumny ze swoich pieniędzy człowiek z szlachcicem miernych dostatków, ale staropolskiego charakteru, Prezes jest niespokojny, za grzeczny, P. Starzycki ojciec Józefa pełen godności, może tylko za kwaśny. To sprzeciwieństwo szczęśliwie pisarz uchwycił. W ogóle postawienie obok siebie dwóch podobnych domów obficie dostarcza porównań uczciwe myśli nasuwających. Rodzina Starzyckich istotnie za wzór, służyć może i żałujemy tylko, że nie

możemy bliżéj czytelników zapoznać z dziadkiem, który jeszcze służył na dworach Wielkich Panów, zanim się swojéj roli dorobił, serdecznie dobrodusznym staruszkiem i z ojcem, który jako niepodlegle wychowany, ma już więcéj godności osobistéj i rozumu (odcień dobrze jest tu uchwycony) i z babką i z matką i z Anusią siostrą Józefa, poczciwą dziewczyną, któréj romans i wesele z P. Ignacym bardzo żywo są opisane. Bądź co bądź od wizyty Prezesa zawięzują się między dwoma rodzinami jakie takie stosunki sąsiedzkie.

Tym czasem, kiedy Kamilla zajęta jest tylko Józefem, ojciec dla niéj inne małżeństwo układa. On ją myśli wydać za mąż za Henryka Podziemskiego. Matka Henryka Księżniczka z domu, posiada duży majątek, nie umie nim rządzić i nawet od Prezesa znaczną summę pożyczyła. Henryk jedynak, wypieszczony, wychuchany przez matkę zbytnio go kochającą, czyta tylko romanse francuzkie i prawie niewychodzi z pokoju. W chwili, o której mówimy Prezes, żeby zdobyć pozycią, żąda od Pani Podziemskiéj oddania swego długu w przeciągu tygodnia. Przelękniona Pani Podziemska każe zawołać komisarza.

a gdy wszedł, P. Włodzimierzowa w jednym ręku trzymając fizyologią małżeństwa, a w drugim list Prezesa, zapytała:

— Czy ma pieniądze? —

— Nie mam JWPani, — odpowiedział komisarz, zajękując się, co zawsze czynił, gdy łgał przed Panią. Nieceśmy jeszcze niesprzedali, drogi tak niegodziwe, że żadnéj dostawy zrobić nie można, nawet żaden kupiec nie przyjeżdża — wszystko dla dró-ó-óg JWPani.

— Niech czyta — rzekła P. Włodzimierzowa, podając mu niedbale list Prezesa, a sama wróciła tymczasem do fizyologii.

Zapewne czytelników moich uderzyły wyrażenia: *Czy ma? niech czyta* i tym odpowiednie, które im także może słyszeć zdarzyło się: *niech siada, czy był, czy widział, czemu nie je* i t. d. Są to sposoby mówienia niektórych Pań naszych, z domu księżniczek i nieksiężniczek, gdy mówię do niższych, to jest do takich, którym nie chcą powiedzieć Pan, a którym nie śmieją powiedzieć ty. P. Włodzimierzowa bardzo dobrze wychowana po francuzku, ale najgorzéj

po polsku, w chwilach złego humoru używała tego sposobu mówienia nawet do męża, którego naturalnie uważała niższym od siebie. Nieraz nieboszczyk P. Podziemski odszedł ruszywszy ramionami, gdy mu żona rzekła migrenowym głosem: Niech tak nie stuka bótami, niech tak nie hałasuje po szlachecku, niechże mi da pokój ze swemi karesami i t. d.

Jest to bardzo sprawiedliwa satyra.

Pani Podziemska widząc, że nie ma ratunku, postanawia jechać do Szyszkowic z synem. Prezes przyjmuje ją zimno i upokarza za pierwszą odmowę. Po długiéj naradzie na osobności przykre jéj warunki podaje.

Przez cały czas twardéj perory siedziała biedna kobieta z nachyloną głową i łzy upokorzonéj i złamanéj dumy kapały na jéj suknią. Widział to Prezes, ale ani głos jego nie zmiękł, ani ton się nie zmienił. Gdy skończył, długo jeszcze Pani Włodzimierzowa milczała, nareszcie otarła oczy, podniosła bladą twarz i rzekła:

— Jestem matką; jeśli to ma być z dobrem mego syna, zgadzam się na wszystko. Byłeś Pan twardym i niedelikatnym dla kobiety słabéj i może zaślepionéj, ale zdolnéj Panu przebaczyć tę chwilę, jeżeliś Pan był szczerszym pod koniec naszéj rozmowy niż z początku i jeżeli w tém, co ma nastąpić, dasz dowód twego sumienia, o którémeś tyle razy i z takiém przeniknieniem mówił. Jutro przyszlij Pan kogo do ułożenia żądanych obligów, a teraz pójdźmy obaczyć, co dzieci nasze robią.

To powiedziawszy powstała i z godnością poszła. Prezes nawzajem upokorzony tak niespodziewaném znalezieniem się kobiety, którą chciał zniweczyć, splótł prędko tłuste swe rączki, puścił palce szybkiego młynka i przechyliwszy głowę szedł za nią.

W pokoju bawialnym w Szyszkowcach spotyka się Henryk z Józefem Starzyckim. Upokarza Henryka porównanie własnéj niemocy moralnéj i fizycznéj z dziarskością żywota; powiększa się jeszcze upokorzenie słowami i postępowaniem Kamilli, która pozwala sobie względem biednego jedynaka żartów i niegrzeczności, do jakich dobrze wychowana kobieta, choć zakochana najmocniéj, nigdy się nie zniża. W ogóle musimy zrobić uwagę, że postać Kamilli nie jest szczęśliwą kreacią; chyba dobra, szlachetna i we wszystkich ważniejszych zdarzeniach prawdziwa bohaterka romansowa, nie ma ona w całym

ciągu powieści téj delikatności kobiecéj, téj skromności i téj przejrzystéj niewiadomości złego, bez których nie podobna wdzięcznego typu utworzyć. Niegodziwość ojca nie upoważnia jéj ani do skrytości, ani do pisania listów, ani do schadzek.

Henryk za powrotem do domu przemyśliwa, jakby zacząć inne życie; na szczęście służy u jego matki pisarz prowentowy, mazur z pod ciemnéj gwiazdy, dawny kawalerzysta, więcéj się bawiący polowaniem jak rejestrami i jako dawny instruktor szwadronu powtarzający ciągle: *„zjadłby mi sto diabłów, który z moich wiarusów.“* Siodłowski, bo tak się nazywa, ośmiela Panicza do strzelby i do konia. Żle z początku idzie pieszczochowi, lecz powoli zaczyna się wprawiać i po niejakim czasie wybiera się konno do Szyszkowic. Wyprawa niepomyślnie się udaje, koń zbiegał mu się przed samym dworem i nieszczęśliwy Henryk przed gankiem, na którym stoją Kamilla i Józef, w błoto spada i śmiech obudza.

Józef był przyjechał pożegnać się z Kamillą, pożegnać się na zawsze, bo, oddalając się z rozkazu rodzicielskiego na Podole do gospodarstwa, nie ma nadziei więcéj jéj zobaczyć, ile że ojciec surowéj cnoty człowiek najmocniéj mu o niéj myśleć zakazał. Pożegnanie między dwojgiem kochanków zachodzi w polu, w miejscu pierwszego spotkania.

Boleśnie znowu upokorzony Henryk wyzywa na pojedynek Józefa. Za sekundanta obiera sobie Siodłowskiego. Józef wyzwanie przyjmuje, a Dziadek, który złapawszy wnuka na szeptach ze szwagrem, od prawdomownych młodzieńców dowiaduje się, o co rzecz idzie, koniecznie mu się na sekundanta narzuca. W pojedynku Józef zostaje ranny, sam oszczędza Henryka, który blady i drzący z początku, mdleje na końcu z wysilenia. Henryk z największém rozdrażnieniem wraca do matki i wyrzuty jéj robi. Zapowiada jéj, że wyjeżdża za granicę. Mówi:

Bóg mnie stworzył mężczyzną, a ty matko zrobiłaś mnie gorzéj niż kobietą, gorzéj niż dzieckiem, zrobiłaś mnie lalką

nikczemną, głupią, trwożliwą, ani sobie ani ludziom nieużyteczną. Gdym był małym chłopcem, gdy mnie natura, może nawet energiczna, kto to wie, ciągnęła na świeże powietrze, na deszcz i słotę, w pole i do lasu, nie puszczałaś mnie; nie mógłem pobiegać, żebym nie upadł, nie mógłem się wdrapać na drzewo, zbliżyć do rzeki, wsiąść na drewnianego konia, żeby mi się co złego nie stało; do dziesięciu lat nie miałem noża w ręku, jak gdybym był przeznaczony na automata, któremuby wszystko podano, wszystko za niego zrobiono, a on żeby leżał w pudełku obciśnięty w bawełnę, jak szklanne cacko, które za każdem dotknięciem mogłoby się rozbić w kawałki. O był to grzech moja biedna matko, którym niebaczna miłość twoja obciążyła twoje sumienie. Ale któż wie, mogłoby się było wszystko jeszcze naprawić, o kilka mil miałaś szkoły, gdzieś mnie mogła oddać. Tam z towarzyszami młodości, z chłopakami pełnymi życia i siły, byłbym się wzmocnił, rozwinął; przez wstyd i emulacyą byłbym dobył z swych piersi ostatek energii i stał się chłopcem jak oni i wyrosł wśród nich i z nimi na mężczyznę, któremuby nikt nie śmiał deptać po nogach i grać na nosie. Aleś tego nie zrobiła. Zamiast mnie posłać do szkół póki były, przyjęłaś do domu jakiegoś włóczęgę Francuza, abym się nauczył paplać tak jak on, abym był ciemnym i głupim tak jak on, abym zawsze był przy twoim boku obwinięty w watę, otulony piernatami: abym potém, gdy należało oświecać rozum, kształcić się nauką, miał czas dla rozrywki tylko pożerać te zgubne książeczki, które mnie nauczyły tego, czegom wiedzieć był niepowinien, które zbrudziły moję imaginacyą i w dwudziestym roku zrobiły mnie drżącym, draźliwym i niedołężnym starcem. O! tyś tego pewnie nie chciała, bo ty mnie kochasz biedna matko, ale miłość twoja była niebaczna i grzeszna.

Henryk opuszcza w istocie Wołyń, a Pani Podziemska, (i tu wcale nie poznajemy kobiety dobrze wychowanéj), donosi prezesowi o miłości Kamilli dla Józefa. Prezesa ta wiadomość bardzo zastrasza, woła zaraz córki i powiada jéj o pojedynku. Kamilla przerażona, mdleje przy ojcu, potem Szlomę do Józefa wysyła. Szloma zjeżdża się w drodze z P. Starzyckim, ojcem; ten od Prezesa przestrzeżony, spieszy także do Józefa leczącego się z rany u szwagra. P. Starzycki drugi raz najsurowiéj synowi zakazuje, żeby więcéj o Kamilli nie myślał i rychły wyjazd na Podole zaleca. Mówi mu:

Daję ci moje ojcowskie błogosławieństwo na ciężką drogę mój synu, walcz z sobą samym. Masz do poprawienia ogromny błąd nierozumu i nieumiarkowania, niech nie myślę, że i ciebie ogarnął ten szał, który na nas wionął. Rzuć okiem naokoło siebie, wszędzie obaczysz tylko chęci nad siły, zamiary nad sferę, wydatki nad możność, dumę nad stan i urodzenie, pretensye nad naukę i talent; a ztąd wszędzie wstyd, upadek, klęskę i pośmiech. To powszechne szaleństwo, tę próżność ślepą i występną uważam za powiew tego ducha zemsty, któremu poruczono nas karać za wszelkie i ciężkie grzechy naszych ojców.... Bądź mężnym, bądź wytrzymałym w walce, bez walki nie ma cnoty, bez cnoty nie ma zasługi — a nam potrzebna ogromna massa zasług, aby nam wyprosiła przebaczenie.

Prezes chce córkę do jakiegoś nowego małżeństwa namówić; Kamilla mu oświadcza, że przez posłuszeństwo zrzeka się Józefa, ale że za nikogo innego nie pójdzie.

Jeszcze jedna scena pożegnalna między Kamillą a Józefem zeszpecona jest kilku niedelikatnemi szczegółami.

Zbliża się tymczasem tryumf Prezesa w Czaplińcach. Szlachta usidlona za późno się spostrzega, że jéj ruina ostateczna grozi. Z początku wspólne niebezpieczeństwo skupia wszystkich, potém wracają swary i niechęci, w końcu niezgoda do tego stopnia dochodzi, że jedni przed drugimi spieszą cząstki swoje Prezesowi odprzedawać. Obraz anarchii Czaplinieckiéj pełen szczegółów żartobliwych w tym samym rodzaju jak w scenie, którąśmy całą przytoczyli, ma obszerniejszą historyczną prawie wartość. Maluje on dobrze to, co się działo, to co się jeszcze nieraz dzieje w naszym kraju, i choć może nie najstósowniéj czas dzisiejszy i miejsce rozgłosu obrał sobie autor, choć może nieprzychylni nie jednego dotkliwego żartu z *Kollokacyi* sobie pożyczą dla ludzi dobréj woli, znajdzie się tam dużo powodu do zastanowienia się i dużo nauki.

Prezes czycha jeszcze na cząstkę P. Starzyckich, ale P. Starzyccy ostrożném a umiarkowaném postępowaniem długo omylają jego oczekiwanie. W końcu wymysł pełen przebiegłości podsuwa mu niegodziwy sposób. W ogród P. Starzyckich każe wpędzić świnie i kiedy roz-

gniewany dziadek obił jednego z pastuchów aż do krwi, śledztwo i proces mu sprowadza. Kamilla dowiaduje się o niegodziwości i walce P. Starzyckiego, który przyjechał prosić Prezesa o wstrzymanie procesu; przez wzgląd na starca gwałtowne robi ojcu wyrzuty. Prezes zastraszony groźbą córki, że mu ucieknie do Józefa, zrzeka się śledztwa; zaś z wielkiego gniewu wpada w chorobę. Sceny między córką a ojcem lepiéj było uniknąć, delikatniejsze natchnienie powinno było w tém miejscu pióro autora wstrzymać.

Od téj chwili przestaje się wieść Prezesowi i myśl o sprawiedliwości Bożéj zaczyna go kłopotać chwilami; wszakże nie poprawia się i wpada w grubsze zmysłowe życie. W końcu z apoplexyi umiera.

Kamilla, która sobie wyrzuca śmierć ojca, za rządcę naznaczywszy P. Starzyckiego ojca, a Szlomie poleciwszy zajęcie się wynagrodzeniem wszystkich krzywd, które z jego pomocą ludziom nieboszczyk porobił, udaje się do Lwowa do ciotki. Szloma wypełnia sumiennie polecenie młodéj Pani i zasługuje sobie na zdanie, jakie o nim wyrzekła:

Jest to piękna i wyższa natura, którą okoliczności i złe użycie zniżyło. Byłby to człowiek znakomity, gdyby był Chrześcianinem.

Wszyscy wydziedziczeni mieszkańcy Czaplinieccy zostają przywróceni do dobrego bytu, dziećmi ich nawet zajmuje się Kamilla.

Jak łatwo przewidzieć, po uspokojeniu pierwszych wrażeń, dziedziczka wraca do Szyszkowic i oddaje rękę wiernemu Józefowi, który przez cały ciąg powieści trochę za podrzędną grał rolę i więcéj nam swoją powierzchowność jak swój charakter dał poznać.

Henryk wraca z zagranicy poprawiony. On, pojechawszy z Siodłowskim do Wiednia, zaczął był męzkie życie, wziąwszy przytém nauczycieli literatury i historyi.

Wstawał o godzinie piątéj, spał na twardym materacu, wyrzucając niemieckie pierzaty, codzień chodził do zupełnego umęczenia, fechtował się, uczył się strzelać i jeździć konno, i w szkole pływania był najzawziętszym uczniem.

Wspomnienie upokorzeń, których doznał, dodawało mu wytrwałości, a widoczne wzmaganie się sił, zręczność i śmiałość, która mu stopniami przybywała, obudziły wrodzoną odwagę i energią, które pierwotna edukacya uderzyła letargiem. Po roku takiéj pracy zwiedził brzegi Renu, obszedł piechoto Szwajcaryą i wrócił do Galicyi do krewnych.

*Kollokacya*, choć nie jest tak dobrą powieścią jak *Spekulant,* przecież do końca zajmuje.

Co Korzeniowski do wysokiego stopnia posiada, to dar prowadzenia rozmów; znać wprawnego pisarza dramatycznego w sposobie, w jakim go zawięzuje i bez przymusu przyciąga.

Tak w charakterach jak i w opisach przesady i karykaturowania nie zawsze się ustrzega. W scenie u P. Płachciny, którąśmy przytoczyli, jest pełno szczegółów złego smaku. Autor zdaje się często znajdować roskosz w niskiéj rubaszności, która *Ramoty i Ramotki* Au. . . . Wi. . . . przypomina. Że rzeczy tego rodzaju mogą się wielu osobom podobać, niebezpieczeństwo jest nie małe, i Korzeniowski sumiennie się nad niém zastanowić powinien.

Styl w *Kollokacyi* w ogóle znajdujemy łatwym, ale bardzo niepoprawnym; powtarzania tych samych wyrazów, nadużycie zaimków, najgrubsze nawet błędy gramatyczne w rodzajach, przypadkach i pisowni napotykać się dają.

---

Takie same prawie dzieje, jak dzieje Henryka opowiada nam Wacław Mańkowski w powieści pod tytułem: *W Kraju i za granicą.* Teodor Górski, choć przez inną matkę jak P. Podziemska, także nie męzko wychowany został:

Syn jedynak w zamożnym ukraińskim domu wcześnie utracił ojca i pod macierzyńską przeszedł opiekę. Matka, kobieta rozumna, ale wymagająca, systematyczna, a oprócz tego namiętnie do syna przywiązana, taką drobiazgową otoczyła go pieczołowitością, że w nim wolą wszelką przytłumiała. Chodziło jéj przedewszystkiem, żeby syna ustrzedz od złych wpływów, ale zapomniała, że prawdziwą siłę do życia tylko pewna niepodległość w kształceniu się daje. Teodor miał dobrą naturę; otwarty, serdeczny, choć za miękki,

kochał matkę i słuchał jéj jak najzupełniéj. W jego myśli przejrzystéj mogła ona i nawykła wszystko czytać. Uległość Teodora nie była nigdy przymuszona, nigdy nie kłamał i nigdy nie proponował skrycie się z pod posłuszeństwa wyłamywać, ale zarazem przyzwyczajony widzieć w matce przewodniczkę i sędziego, przestał myślić sam przez siebie stracił wolę i stał się niejako automatem. Wcześnie nabrał jakiejś chorobliwéj delikatności, a z całéj żywości młodzieńczéj wykształcił i wyexaltował tylko żywość uczucia, matkę kochał z całém uwielbieniem i im więcéj zrozumiał, że jéj szczęście to przywiązanie stanowi, tém do większéj dla niéj miłości się pobudzał. P. Górska, jak wszystkie u nas kobiety majętne, niepodległe a jako tako ukształcone, przebywała najczęściéj za granicą. Teodor wychował się w Wiedniu i z téj nawet wydziedziczony został w życiu podpory, jaką stósunki rodzinne i tradycyjne wyobrażenia dają. Liczył właśnie lat dziewiętnaście, kiedy mu matka ciężko zachorowała. Choroba zrazu mało niepokojąca wzmagała się późniéj i w nieuleczoną zamieniła. Pani Górska niecofnionym wyrokom Bożym poddała się z uległością, bolała tylko, że jéj przyjdzie syna samego zostawić. Rozmyślając nad bliskiem sieroctwem Teodora, zrozumiała błąd, jaki w jego wychowaniu popełniła, i od chwili, w któréj prawdę przejrzała, zaczęła się trapić gorzkiem zwątpieniem o jego losie; przeświadczenie, że sobie bez niéj nie da rady na świecie, ciężkim kamieniem na sercu jéj padło. W chwilach wolnych od cierpień powtarzała mu wszystkie swoje rady i uwagi, jak gdyby chciała wyuczyć go dokładnie tego, o czem wiedziała, że mało kto albo nikt mu w życiu wspominać nie będzie. Umarła trzymając wzrok bolesnéj troskliwości w znękaną i bladą twarz syna utkwiony.

Teodor po śmierci matki przyjeżdża na wieś na Ukrainę, gdzie wszystko obce dla siebie znajduje. Długo oddaje się bezwładnemu smutkowi, w końcu pozwala się namówić staremu swojemu sąsiadowi Podkomorzemu Rędzinie i wyjeżdża z nim do krewnéj swojéj Pani Stańskiéj. Zaraz w drodze pokazuje słabość charakteru, wstrzymując popęd dobroczynny w skutek błahéj uwagi Podkomorzego. Na popas zajeżdżają do miasteczka, gdzie ich Sprawnik ugaszcza. Scena w domu Sprawnika jest nisko-komiczna, i chyba na to służy, żeby pochwałą romansów *Eugeniusza Sue* włożoną w usta śmiesznéj kobiety, romanse te na zasadzie myśli rozwiniętéj w bajce

Niemcewicza: *Niedźwiedź, Małpa i Swinia,* skrytykować. Podkomorzy zawozi Teodora na noc do synowca swego Leona, szlachetnego człowieka, bądącego wzorem cnót obywatelskich i domowych, którego charakter bliżéj potém rozpoznamy. Leona powierzchowność tak maluje autor:

Leon był dorodny trzydziestoletni mężczyzna z dobrą spokojną twarzą, któraby się za słodką wydawała, gdyby nie żywe spojrzenie i nie posunięta naprzód spodnia warga, znak silnéj natury. Coś wojskowego w całéj postawie od razu obudzało przekonanie, że w porządku i pracowitości celować musi.

Od Leona, którego żona i cały dom doskonałe wrażenie na Teodorze robią, jedzie Teodor z Podkomorzym do P. Stańskiéj. P. Stańska ma trzy córki i wystawnie żyje; tu właściwie Teodor w świat polski wchodzi. Zastaje on u P. Stańskiéj księcia Artura, wielkiego Pana Wołyńskiego, przy powierzchownych zaletach pełnego dumy i lekceważenia w obejściu się. Wieczorem wracają oba z Podkomorzym do Leona. Tu mówi autor:

Są miejsca, do których się zawsze z przyjemnością przyjeżdża, i są ludzie, z którymi każde spotkanie miłe. Między miejscami znowu i między ludźmi zachodzi czasem taka zgodność, że niepodobna ich sobie oddzielnie wyobrazić. Rzadkie a miłe oazy, o jakich wspominamy, potrzebne są w życiu, żeby było gdzie wytchnąć sercu i myśli po niesmakach, zawodach i znużeniach. Takim uprzywilejowanym zakątkiem był dom Leona, i kto tylko raz wstąpił w jego progi, już na zawsze zapamiętał spokój i szczęście, jakie go owionęły..... Uważał Teodor, że zaraz po wieczerzy oddalili się gospodarstwo na chwil kilka, a że go wszystko w tym domu zajmowało, spytał się podkomorzego, po co odchodzili. „Mają oni zawsze zwyczaj, odrzekł podkomorzy, zacny zwyczaj, choć go mało kto naśladuje i mnie nie wyłączając, że co wieczor zbierają czeladkę i wspólnie z nią pacierz odmawiają.“ Teodor, który był przywykł inaczéj religijne obowiązki uważać, który w matce przypatrzył się tylko jakiéjś poetycznéj exaltacyi kończącéj się na czytaniu, rozmowach i listach, pierwszy raz uderzony został pięknością prostego, a wysokiego obyczaju religijnego.

Leon daje Teodorowi dobre rady, jak się ma zająć włościanami, jak w ogóle do pracy zabrać. Teodor gor-

liwie rozpoczyna zawód użyteczny za przybyciem do domu, ale go pierwsze trudności zrażają. Po niejakim czasie wraca do P. Stańskiéj i wtedy obudza się wzajemne przywiązanie między nim a Anielą, najstarszą z panien. Aniela nie jest właściwie heroiną romansową, nie exaltacya, ale dobroć i rozsądek w niéj przemagają: dopiero w końcu powieści jéj rysy ożywiają się mocniéj.

Licznie zebrani goście bawią się u P. Stańskiéj dni kilka, z tego powodu robi autor następującą słuszną bardzo uwagę:

Mimo wielkiego przywiązania skromności nawet uczciwéj dla wszystkich rzeczy ojczystych, wyznajemy, że wolimy urządzenie się domowe za granicą jak w Polsce. Za granicą nawet w gościnie każden jest panem swego czasu, każdy kilka godzin pracuje, a przynajmniéj chwilę jedną i drugą sam z myślami swojemi przepędzić może. U nas uprzejmość na tém zależy, żeby być ciągle razem. I gospodarz i goście są skazani na ciężką niewolę nierozdzielności, jeden i drudzy muszą sobie męczyć głowę jakby każdą chwilę fraszkami zająć. Ztąd to nieraz rozmowa poważna prędko się wyczerpuje, gawęda o bliźnich, w któréj obmowy albo uszczypliwości uchronić się trudno, ztąd romanse z nudów, ztąd potrzeba częstego jedzenia, ztąd gra nieustanna. U Pani Stańskiéj bawiono się z unużeniem jak wszędzie.

Po drodze, wyjeżdżając od P. Stańskiéj, wstępuje Teodor do Leona, który go do wytrwałości w dobrych zamiarach zachęca. Teodor u siebie trudne ma położenie, posessor przeszkadza we wszystkiém jego zamiarom, w popie nie znajduje poparcia, chłopi nie dowierzają nowemu panu; a że mu brak energii, co chwila ręce opuszcza. W domu nie długo i tą razą gości. Na lato wybiera się do kąpieli morskich w Odessie, bo tam Stańscy mają przyjechać. W drodze spotyka się z nimi. Opis podróży jest dosyć pospolity i zadługi.

W Odessie znajduje Teodor liczne towarzystwo, prawie zupełnie sobie nieznane. Są tam panie wielkiego świata, jak księżna Leonowa i P. Wielochowska z córką, są gracze i rozpustniki. Między damami robią się dwa obozy, obóz księżnéj Leonowéj, osoby męzkiego prawie charakteru i excentrycznych przyzwyczajeń i panny Wielo-

chowskiéj skromnéj, prawdziwie wysokiéj kobiety. Aniela zbliża się do panny Wielochowskiéj i dwie młode osoby zaprzyjaźniają się z sobą. Książe Artur bawi także w Odessie, on się z majątkowych powodów o rękę Anieli stara i domyślając się jéj skłonności dla Teodora, przybiera względem tego ostatniego rolę zdrajcy mellodramatycznego, co nie zupełnie przystaje do ogólnego zarysu charakteru, jaki mu dał autor. Książe wprowadza Teodora między szulerów i chce go w romans z księżną Leonową uwikłać, a słaby Teodor prawie we wszystkie nań zastawione pułapki wpada. Opis świata szulerskiego znajdujemy ckliwy, długi i niepotrzebny.

Miłość Anieli ratuje Teodora. Tę miłość przy sposobności oświadczają oni sobie, ale matka Anieli sprzyjająca księciu Arturowi drzwi domu przed Teodorem zamyka. Aniela ze swojéj strony obiecuje mu, że próbę czasu wytrzyma i wierną mu pozostanie. Wyjeżdżają Stańscy, Teodor zostaje jeszcze w Odessie i plątać się zaczyna z księżną Leonową w stosunki, z których go tylko jego wielka niewinność ratuje. W tym całym ustępie jest nieco przesady i fałszywego nastroju, przypomnienia z Balzaka często się nasuwają. Za powrotem do domu zjeżdża się Teodor z Leonem.

Zaczęli radzić co robić. „Widzę, mówił Leon, że nie jesteś dosyć przygotowany do siedzenia na wsi z korzyścią. Trzeba ci jeszcze pójść między ludzi, trzeba się wypróbować, wiele nauczyć i wiele doświadczyć, zanim zdołasz innymi się zająć.

Staje na tém, że Teodor ma wyjechać za granicę i to niezwłocznie. Przed wyjazdem dwaj przyjaciele w Mohilewie na pożegnaniu się spotykają. Śliczny ustęp, jaki w tém miejscu autor napisał, z prawdziwą przyjemnością przytaczamy.

W ciągu rozmowy Leon pokazał Teodorowi prawdziwe skarby dobroci i troskliwości. Zdawało się, że dla brata rodzonego nie mógłby więcéj serdeczności z siebie wydobyć. Teodor był przenikniony do głębi serca, ale mu nie przyszło na myśl dziwić się takiéj gorącéj przyjaźni. Zdolne uniesienia i szlachetnych myśli niezepsute albo nieznarowione natury, znajdują rzeczą prostą, ile razy w rzeczy-

wistości zdarza im się spotkać zapał i bezinteresowne uczucia, zresztą, same zdolne kochać, łatwo dowierzają miłości u innych. Zmarnowane tylko dusze, skrzywione umysły, albo egoistyczne i niskie charaktery, boją się prawdziwéj przychylności, nie ufają jéj i własną nieudolność za rozsądek albo za wyższość sobie poczytują. Kiedy już długo się nagadali, kiedy Leon zmierzył i zważył wszystkie trudności prawdopodobne, wszystkie względy moralne i światowe, tak jeszcze na dobranoc do Teodora przemówił. Widzisz, że całe moje doświadczenie chcę ci w krótkich słowach przelać i że nawet tam, gdzie doświadczenie nie sięga, rozumowaniem dojść probuję; ale i rozumowanie i doświadczenie cudze słaba to podpora. Żywe słowo wstrzyma nie raz, naprowadzi, oświeci, rada wypowiedziana powoli zaciera się z pamięci i nie jest zdolna walczyć z napierającemi zewsząd wrażeniami codziennemi. Iluż to wielkich ludzi rozporządzało o najważniejszych rzeczach przy śmierci, iluż ojców na łożu śmiertelném i przy pożegnaniach przestrogi synom dawało, a jednak z wiatrem poszły, i chyba na sądzie ostatecznym, jako wyrok na lekkomyślność i oziębłość się odezwą; bądź co bądź nie żałuję tego, com ci mówił i jeszcze ci raz wszystkie braterskie uwagi do kilku pewników sprowadzę. Szukaj zawsze ludzi uczciwych i szlachetnych, unikaj od złych i lekkomyślnych, choćbyś największéj przyjemności w ich obcowaniu doświadczał. Próżniactwa chroń się z całą usilnością, w niém początek wszystkiego złego. Co wyższe natchnieniem, zawsze szanuj, a jeżli czego od razu nie rozumiesz, nie pozwalaj sobie przeto lekceważenia, albo niecierpliwości. Przyjemności innych więcéj szukaj jak swojéj. W naukach i czytaniu nie idź za głosem wziętości, albo za przywidzeniem własnem, ale pytaj o radę ludzi prawdziwie umysłowo wykształconych. Surowości obyczajów, męzkości w życiu, jędrności i porządku we wszystkiem przestrzegaj. Każda miękkość dla siebie samego jest zła, a innych gorszy i psuje. Miéj zawsze przed oczyma cel jakiś wyraźny, do niego wytrwale dąż; wiara weń niech cię przeciw własnym słabościom uzbraja i od zniechęcenia broni, ona niech ci światła wśród zamętu spraw świata tego udziela. Między obcymi pamiętaj, żeś powinien uważać na zacność twoją narodową i mieć się zawsze za wyobraziciela kraju twojego. Więcéj ci teraz mówić nie będę, twoje serce i twój umysł delikatny niedostatki w moich radach uzupełnią. Jeszcze jedno słowo, pobożność, jako skarb najdroższy chowaj. Ciężko o nią, kiedy się raz roztrwoni.

Rady jakie Leon daje Teodorowi są bardzo jędrne i proste, łatwo je zrozumieć i łatwo spamiętać jak wszystko co prawdziwe i szlachetne. Takie rzeczy niezawodnie nie w jednéj książce napotkać można, wszakże gorącość przekonania i piętno rzetelnego doświadczenia odmładniają i ożywiają choćby najstarszą mądrość. Leon mówi jeszcze do odjeżdżającego młodzieńca:

Wracaj nam mężem, usposobionym do czynnego zajęcia, wracaj z miłością do obowiązków, że czasy są ciężkie, że nie ma chwili do stracenia, żeś nam winien pociechę i podporę, nam wszystkim, cośmy widzieli, ilu to się już ludzi zmarnowało.

W Warszawie znowu się Teodor spotyka z księciem Arturem, który znowu w złe towarzystwo go wprowadza. Pobyt warszawski Teodora przedstawia nam autor w zajmujący sposób. Wiele osób przesuwa nam się przed oczyma, zdrowe uwagi, co chwila opowiadanie przeplatają, dowcipu w spostrzeżeniach nie brak, powieść wszakże mało przez ten czas postępuje. Teodor przez słabość daje się wciągnąć w niepotrzebne stósunki, nawet na nieprzyzwoity piknik do Wilanowa z młodzieżą jedzie. Satyra na Warszawę jest ostra, gorzka, chcielibyśmy módz powiedzieć, że niesprawiedliwa; przytoczymy dwie rozmaite sceny, żeby dać poznać sposób piszącego. Ustęp o pikniku tak się kończy:

Teodor przekonał się, że z rozpustnymi ludźmi żadna granica nie istnieje. Pierwszy raz był świadkiem prawdziwéj bachanalii. Pierwszy raz spotkał kobiety, jakby umyślnie za każdem słowem urok z siebie zdzierające. Uczuł wielką pogardę dla całego tego poniżenia. . . . . . . Chętnie przystał, żeby wyjść na dwór, kiedy mu to książe Artur zaproponował. Poszli do ogrodu pałacowego (w Wilanowe), który znaleźli otwarty. „Potrzebuję trochę ochłonąć, rzekł książe Artur, bom się już odzwyczaił od takich hulanek.“ W ogrodzie było smutno; nagie drzewa śród mgły wieczornéj sterczały jak straszydła, białe statuy wydawały się niby opuszczone widma, liście przykro szeleściały pod stopami. „Jak tu ponuro — rzekł Teodor — zdaje się, że życie skrzepło, i że się znajdujemy śród smentarza. Jest coś pogrobowego w miejscach, które były świetne przed laty.‘ — „Dajmy pokój historyi.“ — „Alboż ją możem zapomnieć

alboż podobna wygnać z pamięci, że w Wilanowie wielkie nas otaczają wspomnienia, wspomnienia chwały i życia pełne, wspomnienia tak różne od tego, co się dziś dzieje. Jeżli porównamy czasy ówczesne i ludzi ówczesnych z naszemi, jakże boleśnie serce nasze zajęczy.“ — Przestań elegii, po takim obiedzie jak dzisiejszy nie rozumiem, że ci na myśl przyjść mogą.“ — Właśnie obiad dzisiejszy wszystkie mi myśli smutne nastręczył.......

Przyjaciele Króla Jana, którzy tu nieraz przyjeżdżali, o wielkich z nim rzeczach radzić, nie spodziewali się pewnie, że ich potomkowie za teatr dla swojéj rozpusty właśnie Wilanów wybiorą.“ Zamyślił się książe Artur. Byli wtenczas blisko pałacu i przechodzili obok wspaniałych świerków, które temu miejscu smętnéj powagi użyczają. „Wiem Teodorze — odezwał się — to wszystko, co mówisz, nie raz mnie się w sercu odzywa, nie raz, jak spojrzę na pamiątki po moich dziadach, jakiś dziwny żal mnie ogarnia. Darmo, czasy się zmieniły. Oni mieli wiarę w obowiązki, ja jéj zupełnie nie mam. Oni gonili za urzeczywistnieniem jakichś poetycznych natchnień sławy, miłości ojczyzny; ja poezyą uznaję, ale uznaję ją tylko jako żywioł dla fantazyi. W życiu rozumiem jedynie trzy potęgi: dowcip, pieniądz i zdrowie. Mnie także rażą dzisiejsi nasi towarzysze, ale rażą z innych powodów jak ciebie. Gdyby tylko używali a nie nadużywali, gdyby niezapominali, że są dobrze urodzeni i granic przyzwoitości nie przekraczali, nie miałbym im nic do zarzucenia, bo nie widzę, coby innego do czynienia mieli, jak wesoło się bawić. Za młodu hulać, na starość nie grubego materyalizmu patrzeć, ale szukać zaspokojenia ambicyi, delikatnych przyjemności, jakie sprawia zaspokojenie miłości własnéj, to cała moja filozofia. — „Ależ to egoizm. — Każdy rozumny i silny człowiek, każdy człowiek sentymentalnością nie zrażony jest egoistą.“ — Temu przeczę, przecież na świecie tylko ludzie z poświęcenia wielkie rzeczy robią....... Za mało znam ludzi, żebym mógł śmiało, na twoje książe Arturze zdania odpowiedzieć, nie mniéj jednak czuję, że to są sofizmata. Dwóch ludzi niepospolitych spotkałem, ciebie książe i Leona Rędzinę. Wszystko co mi Leon mówi, dodaje mi siły i wysokości moralnéj, i im się poczciwszym czuję, tem go bardziéj rozumiem. Twoje zdania, w dobrych moich chwilach, rażą mnie i tylko ich wtenczas chciwie słucham, kiedy się czuję wątłym, wątpiącym o sobie i o świecie.

Wieczór literacki u P. Wyżynskiéj, kobiety wysokiego moralnego usposobienia i pełnéj gorliwości, zgroma-

dzającéj u siebie ludzi przez uczucie obowiązku, dla łączenia ich w imie myśli poczciwych w ten sposób jest opisany:

Znalazł Teodor towarzystwo niepodobne do innych towarzystw. Kilka kobiet nie młodych, bardzo skromnie ubranych, ale za to głośno rozprawiających, stanowiło jakby ognisko, a dopiero w około roili się ludzie starsi i młodsi, dosyć dziwny zbiór twarzy, przyodziań i sposobów mówienia przedstawiający. Czego najwięcéj o uszy się Teodora odbijało, to komplementów. Każdy nowy przybysz obsypywany niemi zostawał. A tak wiele zapytań o nowe utwory, o prace umysłowe krążyło, że Teodor nie mógł się pojąć, jak tyle na jednym punkcie jest zebranych znakomitych pisarzy, kiedy on zawsze o małéj tylko liczbie wychodzących dzieł słyszy. Najprzyzwoitszą z całego towarzystwa, ba uderzającą ułożeniem i godnością w sposobie przyjmowania była sama gospodyni. Ta każdym z wychodzących chwilę się zajmowała i posiadała dar pokazywania wszystkim równéj grzeczności. Nikogo Teodor nie znał oprócz poety, swego piknikowego sąsiada....... Kiedy się mniéj więcéj pokoiki napełniły i kiedy rozniesiono herbatę, zaczęły damy prosić jakiegoś młodego mężczyznę z przymuskanemi włosami i rozognioną twarzą, żeby im swój nowy wiersz przeczytał. Zagadniony, bronił się długo naleganiom. Już Teodor myślał, że odmówi, ale mu szepnął do ucha jego towarzysz: „Nie bój się, on tu przyszedł umyślnie, żeby się popisać i nie spałby trzy nocy, nie jadł tydzień, gdyby nie mógł przeczytać tego co sfabrykował. Przygotuj się na wielkie niedorzeczności: szumu, świstu, huku, puku bez końca tam będzie. To wszakże nie wstrzyma uwielbienia, bo nasze *matres conscriptae* powiadają, że nie trzeba zrażać młodych talentów, a zawsze chwalą a chwalą. W ogóle salon P. Wyżyńskiéj porównałbym ci do inspektów, w których ogrodnik sadzi nieznane sobie cebulki. Cebulki te ogrzane słońcem pochwał bujnie puszczają. Oczekiwanie jest wielkie, znawcy spodziewają się hiacyntów i anemonów, a tu tymczasem wyrastają cebula kuchenna i czosnek. Otwieraj uszy, jedna z cebul cebulissima ma na nas woniami parnaskich kwiatów wionąć.“ W istocie młody wychowanek muz stał już na środku pokoju z jedną ręką założoną na kamizelkę, z drugą opartą na krześle, którem konwulsyjnym ruchem wstrząsał. Odkrząknąwszy zaczął. *„Niepoznany do Nieznanéj, Elegija.“* Tu następowała długa odezwa do jakiejś nieznanéj kochanki stojącéj wyżéj jak Beatrice Danta, i Laura Petrarki, bo wyobrażającéj kobietę do uznania siebie saméj w ludzkości przychodzącéj. Daléj poeta zaręczał,

że tylko ona go rozumie, ona przeczuwa co lawy i piorunów, co pojęć i myśli w jego głowie i sercu się mieści. Wszystko to było zakończone tiradą o niewdzięczności świata, o obojętności ludzkiéj i tą pociechą: że kiedy Sokrates mógł wypić truciznę za to, że wielkie prawdy światu przynosił, poeta się także nie żali na ciężkie losy, które go na powolną śmierć wśród długich prześladowań wskazują. Skończył i przybrał zadumaną cierpiącą postawę, a po pokoju rozlegał się szmer przyzwolenia. Po kolei jęły damy przychodzić i ściskać go za ręce, potem rzucili się do niego mężczyzni, a on przyjmował hołdy z tym bolejącym uśmiechem, jaki miał zapewne Tasso, kiedy mu zapóźno wieniec laurowy przyniesiono. „No, cóż mówisz Panie Górski na ten płód poezyi warszawskiéj? No, czyśmy was Podolaków nie prześcignęli o całe niebo. To mi to wiersze, muszę pójść uściskać mojego rywala.“ I posunął się do owego niepoznanego. „Czy słyszałeś Pan kiedy co równie pięknego?“ zapytała jedna z dam wieszcza piknikowego. — „Nigdy — odpowiedział — nasz Władzio przeszedł wszelkie oczekiwania. Tak, dodał z cicha bliżéj wróciwszy do Teodora, niezawodnie już dawno podobnego absurdum nikt nie sklecił.“ Następowali po sobie inni deklamujący. „A cóż tu tych poetów?“ zapytał się Teodor. — Mamy ich jak żab po deszczu.“ — „Nie rozumiem, na co się przyda takiego rodzaju literatura, i żal mi P. Wyżyńskiéj, że musi tem wszystkiem się opiekować.“ — „Nie bardzoś dla nas łaskaw. Mógłbym cię barbarzyńcem nazwać, ale będę wspaniałomyślny i szczerze a poważnie odpowiem. Pani Wyżyńska wie bardzo dobrze, że ta cała poezya, nie wiele warta; ale jéj się zdaje, poczciwa dusza ma urojenia, że byleby żyć przykładnie, to mniejsza, że się zły wiersz napisze. Otóż Pani Wyżyńska myśli, że ci wszyscy długowłosy panowie swoje exaltowane sentymenta z wierszy w życie wprowadzają. Myli się nieboraczka i nie wie, że na przykład, ten sam niepoznany poeta, któren się z taką skromnością obok Sokratesa postawił, dziś całą noc będzie grał w karty. Ow, coś go słyszał jak o czystych aniołach i o religijnéj tęsknocie sonet wyzionął, zwykle czytuje co najrozpustniejsze romanse i pamiętniki francuzkie. Ow znowu, co się tylko co w gorącéj odzie żalił na miękie i na zniewieściałe obyczaje i przyzywał żelaznych charakterów i czynów bronzowych, sypia co dzień do dziesiątéj, za lada wiatrem w płaszcz się otula i gotów przez trzy albo cztery dni ziółka pijać, skoro go tylko mały kaszel napadnie. Wszędzie na świecie panuje dualizm perski, a trzeba wiedzieć, że ja dualizm i sprzeciwieństwa lubię, jako

panteista i romantyk.“ Teodor w duchu sobie pomyślał: „Gdzież lepszy dowód dualizmu jak w tobie samym.“ Wtém obskoczyły kobiety poetę piknikowego i zaczęły go prosić, żeby co odczytał. Pokazało się, że i on nie jest nieubłaganym; wystąpił i powiedział wiersz o łzie, tym skarbie, jaki niebo ludziom cierpiącym zostawiło, tym zadatku pojednania dla grzeszników. Teodor nie zadziwił się, ale się uśmiechnął, a jedna z dam głośno się odezwała: „Ja zawsze utrzymywałam, że on się nawróci.“ Powróciwszy na swoje miejsce szepnął poeta Teodorowi: „zwykle mam kilka westchnień religijnych w zapasie dla tutejszego kółka. Nie dziw się różnorodności mojego natchnienia. Naśladuję Goethego i jestem zdania, że poezya powinna być przedmiotowa.“ Mówili z sobą jeszcze o ruchu literackim w Warszawie. „Jaki to ten nasz ruch — rzekł śmiejąc się poeta — to tylko Bóg wiedzieć raczy. W każdym razie mamy talent robienia piany i hałasu. Jeśliby cię to zajmowało, zaprowadziłbym cię na posiedzenie wydawców głównych tutejszego pisma. Przestrzegam cię tylko zawczasu, że to posiedzenie wcale niezabawne. Schodzi się tam kilkunastu ludzi wiedzących jeden o drugim, jakie dzieła czytał i co mniéj więcéj umie, a z których każdy stara się innych o swoich wiadomościach oszukać i nawet myśli, że oszukał. Dwóch, czy trzech gorliwych, przebieglejszych, całą rzeczą kierują. Inni tylko dla pozoru głosują nad artykułami do druku, których najczęściéj podczas czytania nie słuchają.“ — „Surowyś Pan dla swoich literackich spółbraci.“ — „Nie surowszy jak oni dla mnie.“ — „Ale czy z obu stron jesteście Państwo sprawiedliwi.“ „Sprawiedliwość należy do historyi, o teraźniejszości ja zwykle układam pamiętniki, a pamiętniki im skandaliczniejsze, tem ciekawsze.“

Przytyki do *Biblioteki Warszawskiéj* napotykaliśmy i *w Listopadzie i w Kataleptyku;* Wacław Mańkowski rzuca jéj wydawcom żart, który ich tylko zagrzać i zachęcić do surowszéj pracy powinien.

W szczegółach pobytu Teodora w Warszawie jest nieco powtarzania.

Teodor przeszedłszy przez ogniową próbę zepsutego towarzystwa, odbywszy nawet pojedynek, wyjeżdża za granicę z Ludwikiem, którego Opatrzność na jego drodze tak samo w téj chwili jak niegdyś Leona stawia. Czas niejakiś w Dreźnie bawią, szczerze umysłowo pracując, rozłączają się potem i Ludwik do Warszawy a Teodor

do Baden-Baden się udaje. Tu dzieje jego znajdujemy taką słabością nacechowane, że choć wypadki są prawdopodobne, wszelkie współuczucie dla zmiennego młodzieńca tracimy. Spotyka on Natalią lwicę Warszawską kobietę zamężną i przy niéj zapomina Anieli. Natalija osoba szlachetna, zepsuta głową, sercem czysta, nie rozumiejąca wszystkich obowiązków, ale żywo do małéj swojéj córki przywiązana, przypomina nam Panią los arcos z *Karoliny*. Ona zupełnie podbije Teodora i mimowolnie przyprowadzi go do zerwania z Anielą. Pobyt w Baden-Baden jest opisany z pewnym rodzajem natchnienia uczuciowego. Sceny przy zerwaniu w Ems, gdzie się wszyscy spotykają, jedyne dramatyczne z całéj powieści, mają rzeczywistą dramatyczną wartość. Teodor wzruszenia tych chwil zdrowiem opłaca.

Za powrotem do sił po długiéj chorobie wyjeżdża do Włoch z Nataliją i w spokojnem ustroniu w okolicach Lukki z nią osiada.

Wiele jasnych, wiele prawdziwie szczęśliwych dni przepędzili. Wszakże niema na świecie trwałego szczęścia, a jeżeli jest, to tylko tam, gdzie się dopełnia obowiązków i gdzie spokojność sumienia pozwala śmiałemi oczyma na teraźniejszość i przyszłość patrzeć...... Teodor i Natalija posuwali się z niepodobnem położeniem, w stósunki wzajemne wkradała się gorycz i nieufność. W końcu sama Natalija zrobiła wniosek, żeby powrócić do Polski, a przynajmniéj bliżéj jéj granic.

Od téj chwili nad opowiadaniem cięży twarda konieczność rozstania się, niesmaku i zgryzot, na czém się zwykle nieprawe związki kończą. Choroba Teodora ożywia nieco zajęcie, wszakże nie na długo. Teodor zapada dosyć ciężko w Berlinie, gdzie się na czas jakiś z Natalliją zatrzymał. Tu znajdujemy ustęp o towarzystwie młodzieży Berlinskiej, mający może wartość dla obeznanych z miejscowością, ale w każdym razie niepotrzebnie opóźniający rozwiązanie powieści. Samo rozwiązanie nie dosyć naturalnie następuje. Mąż Natalii zły i suchy człowiek, rozłączony z nią od lat wielu, jak *Deus ex machina* spada z Petersburga i nie z przywiązania, ale przez wzglę-

dy światowe przymusza ją do wyjazdu. Rozdrażniony Teodor goni za Nataliją do Drezna. Przybywa, idzie do kościoła i zrządzeniem opatrznem jest świadkiem ślubu Anieli z Ks. Arturem. Szczegół ten ma pozór naciągnięcia, ale sprawiedliwość kary każdy przyzna. Widok Anieli i rozdział z Natalija do reszty wstrząsają nadwątlonem zdrowiem nieszczęśliwego młodzieńca; od téj chwili z dnia na dzień gaśnie i umiera w końcu na ręku Ludwika temi żegnając go słowami:

Tak młody jestem i już mam umierać! Póki zdrowie służy, zdaje nam się, że bez końca żyć będziemy. Ach! czemuż wtenczas zapominamy, że śmierć nieuchronnie przyjdzie i że ciężko temu w ostatnich chwilach, kto obowiązków na świecie nie dopełnił.

Jak widzieliśmy, bohaterem romansu jest człowiek słaby, zwichniony zaraz z lat dziecinnych i nie umiejący sobie poradzić. Autorowi jak sam powiada w przedmowie, chodziło o udowodnienie przykładem myśli, iż *bez męzkości i jędrności w pierwszem wychowaniu, najpomyślniejsze nawet okoliczności uratować i wyrobić człowieka nie mogą.* Naszem zdaniem charaktery takie, jak charakter Teodora, ani do dramatu, ani do powieści nie są dobre na czoło. Bohater romansu musi koniecznie obudzić zajęcie nawet wśród błędów swoich, tymczasem nawet najmiłosierniejszego serca ludzie nie przewiodą na sobie, żeby się interesować niedołężnością. W powieści W. Mańkowskiego z początku przywięzujemy się do sieroty, bo za pierwsze jego kroki odpowiedzialność na matkę spada, w dalszym ciągu gniewa nas, a na końcu obudza ta nieuleczona miękkość woli. Ogólne usposobienie uczciwego człowieka jest tego rodzaju, że tylko usiłowanie i mozół współczucie jego pozyskuje. Teodor w ogóle próbuje, ale nie usiłuje. Kilkakrotnie już w piśmiennictwie zagranicznem pisano powieści o słabych ludziach, mniéj więcéj w moralnych celach, znamy jeden romans angielski na podobnéj myśli osnowany i nawet dosyć wziętości mający; wszakże wzmiankowana okoliczność nie przeszkadza nam utrzymywać, że żaden utwór tego rodzaju udać się w całéj pełności nie może. Co

się tyczy założenia, jakie w przedmowie wypisane znaleźliśmy, pozwalamy sobie jak najmocniéj mu zaprzeczyć. Nie ma upadków z którychby się podnieść, nie ma błędów z którychby się poprawić, nie ma nieudolności z którychby się wyleczyć przy dobréj woli nie było podobna, a kiedy się dla słabych ludzi pisze, trzeba im przed oczy nie zniechęcające, ale odwagi dodające wzory stawiać. Korzeniowski lepiéj swego Henryka jak nasz autor Teodora pojął.

Jeźli usuniemy na bok myśl główną, wypadnie nam pochwalić powieść i nawet jéj nie małą ważność moralną przyznać. Napotyka się w niéj sąd zdrowy, prosty i śmiały, znajomość dzisiejszych potrzeb społeczeństwa polskiego, zaufanie do teraźniejszości pomimo zagorzkiéj nieraz skargi i żywą młodzieńczą nadzieję. Psychologiczna strona książki W. Mańkowskiego bardzo nas uderzyła. Każdy niemal szczegół jest nacechowany znajomością serca ludzkiego i wytrawnością; w całym ciągu znać wyższe uważanie rzeczy. To sprawia, że choć w romansie nie ma całości, choć chwilami brak w nim interesów i najzwyczajniejszéj dramatyczności, nie rażą nas i nie zniechęcają niedostatki, jakich w innym utworze znieśćbyśmy nie mogli.

Charakterów rzeczywistych i dosyć wprawną nakreślonych ręką jest wielka, może za wielka obfitość. Koło głównych osób roją się coraz nowe i coraz rozmaitsze postaci, nie brak profilów i szkiców rozrzutnie po drodze rozsianych, często jedno pociągnięcie pióra autorowi wystarcza. Tak towarzystwo Księżnéj Leonowéj odmalował bardzo zręcznie w kilkunastu wyrazach.

Zasługuje na niemałą pochwałę W. Mańkowski za to, że znakomitą liczbę charakterów szlachetnych i to prawdziwie szlachetnych do powieści wprowadził. Aniela, Wawrzyna, panna Martin, pani Ważyńska, Natalija nawet, tworzą grono, jakiemu podobnego nie łatwo u powieściodisarzy naszych napotkać. To są typy, na jakie się zgadzamy i z jakiemi nam swojsko. Oświadczamy się za to przeciw Księżnie Leonowéj, przeciw pani Wielochowskiéj

i pani Narcyzie; tamta jest utworzona z romansów francuzkich, a te za mocno skarykaturowane. Leon, Hrabia Henryk, Ludwik przedstawiają trzy wysokie indywidualności: z miłością kreślił autor każdy odcień tych postaci. ks. Artur, Edgar, poeta piknikowy mówiący ciągle językiem słowiańskim, Adaś, mają strony dobre albo zajmujące i w pospolitość niewpadają. Szkoda, że nasz pisarz takie nędzne figury jak Muchowski i ks. Władysław do koła przypuścił; nawet dla przeciwieństwa nie bardzo są one potrzebne.

Aniela trochę blada z początku, w liście jednym Leona do Teodora nabiera wydatniejszych rysów. Pisze o niéj Leon:

Wczoraj Anielę spotkałem trochę smutną.... „Myślałam, rzekła, że jestem silniejsza, tymczasem nieraz brakuje mi odwagi na zniesienie oddalenia Teodora. Od czasu jakem go nie widziała, z każdym dniem moje przywiązanie wzrasta. Wszystkie moje myśli kupią się koło wspomnień o nim, wszystkie moje nadzieje idą w tę jasną przyszłość, w któréj widzę nasze połączenie. Obowiązki moje zajmują mnie zapewne, życie z sierotami nie jedną pociechę przynosi, a jednak wszystko to blade mi się teraz wydaje. Z głębi duszy modlę się do Boga, żeby mi dał łaskę, którąby mnie wstrzymała od zbyt silnéj miłości i którąby mi pozwoliła zaspokojenie w domowych rzeczach znajdować; dotąd mnie Pan Bóg nie wysłuchał. Co gorsza, ja dawniéj taka spokojna, miewam teraz obawy, smutne przeczucia. Nieraz przypuszczam zmienność Teodora. Mój stan tłómaczę sobie słowami, jakie w Tomaszu a Kempis o zbytniéj miłości znajduję.“...... Nie taję ci, że mi się smutno zrobiło, widząc osobę tak pełną charakteru, tak zajętą obowiązkami życia, tak dotąd przejrzyście spokojną, znękaną i zakłóconą.

Wawrzyny wizerunek same doskonałości oczom przedstawia, nie przytoczymy go; jeden delikatny szczegół w ciągu powieści wymowniéj ją od wszystkiego innego maluje

Anieli ciężył jéj sekret, chciałaby była wypowiedzieć go Wawrzynie, ale niewiedziała jak zacząć. Próbowała i nieszło jéj; wspomniała coś o poezyach miłośnych, ale że Wawrzyna bojaźliwość pokazała, Anieli serca zabrakło. Smutno jéj było że się nie może zupełnie otworzyć i tu pierwszy raz poznała różnicę wychowania swojego i Wawrzyny.

Leon jest najzupełniéj pojęty i jakby od razu ulany. Parę przytoczeń dadzą nam go poznać:

„Pozwól mi Pan, *pyta się Teodor Leona*, na dosyć śmiałe zapytanie. Jak się to dzieje, że mając zdolności i wyższe wykształcenie, przytem zalety powierzchowne, jakie w świecie ujmują, sam zagrzebałeś się na wsi i ambicyą swoją do zatrudnień gospodarskich ograniczyłeś? Czy ci nie ciasno tutaj!“ — „Okoliczności są takie, że muszę na życiu mierniejszém poprzestać. I ja nieraz marzyłem o sławie, o szerokiem działaniu i mnie sukcessa światowe w kole lekkomyślnego życia długo trzymały. Był to sen. Przyszły rzeczywiste myśli i rzeczywiste uczucia, zachciałem przyjaźni i miłości; nie znalazłem takich, jakich moje serce pragnęło; w pierwszéj chwili z goryczą na ludzi powstawałem, późniéj zwyciężyłem w sobie samolubstwo i przebaczyłem bliźnim, usposobiłem się, ale już do próżnych rozrywek, do marnych zajęć światowych nie byłem w stanie powrócić. Zrozumiałem, że kto czeka na sposobność robienia wielkich rzeczy, a do uczciwych pomniejszych obowiązków się nie garnie, ten najczęściéj bezowocnie żywot strawi; zrozumiałem, że najwięcéj niepodległości osobistéj i najlepszą sposobność oddania się innym u nas, wiejskie gospodarstwo przedstawia i przyszedłem na wieś. Pan Bóg mnie pobłogosławił, dał nietylko pracy dosyć, ale i owoce z pracy na pociechę i żeby mi znoje osłodzić, zesłał mi doskonałą żonę. Dziś mam lat trzydzieści, poprzestaję na obowiązkach codziennych i na spokojnych uczuciach; w życiu wielkich gwałtownych zaspokojeń już się nie spodziewam, tylko codzień Pana Boga proszę, żeby mi dał przechować w sercu bezinteressowną miłość dla ludzi i niestygnąć w uniesieniu dla wszelkiéj prawdy i wszelkiéj piękności.“ Kiedy tych słów Leon domawiał, głos jego był smutny, ale niezmiernie poważny. Teodor doznawał uczucia prawie religijnego.

Czytamy w inném miejscu:

.......Kiedy już Teodor zupełnie się do Leona ośmielił, zagadnął go. „Mówiłeś mi przeszłą razą, żeś na świecie ani miłości, ani przyjaźni nie znalazł, wytłómacz mi to, wypowiedz mi swoje życie.“ Nie Teodorze, nie wolno ran serca tak daleko odsłaniać, nie wolno popisywać się ze smutkami. Dziś jeszcze dzieje mojéj młodości nawet by nauczyć ciebie niczego nie mogły. Musisz sam ucierpieć i przebaczyć wiele, zanim mnie zrozumieć zdołasz. Trzeba także, żebyś sobie zarobił na moje zaufanie, na przyjaźń moją. Kiedyś dopiero, jeżeli cię będę widział postępującego na drodze obowiązków, a zawsze dla mnie chętnego, otworzę ci moje serce i wie-

rzaj, że będzie to piękny dzień w mojém życiu, bo nie ma większéj ulgi w boleści, jak ją z wypróbowanym przyjacielem podzielić. Dziś narażałbym się na zawód, chociaż mi miło myśleć, że się na tobie nie zawiodę.“

Hrabię Henryka tak Pani Natalija w towarzystwie lekkomyślnych ludzi wspomina:

„Jeśli jego samotne życie, jeśli powaga jaką się otacza i smutna niechęć, jaką zapewne czuje, drażni was i gniewa, tem gorzéj dla was widać, że zasługujecie na jego surowość. Czy chcielibyście, żeby się wszyscy ludzie bawili, przecież musi ktoś na świecie wyobrażać piękne strony duszy nieśmiertelnéj.“

Sam Henryk mówi o sobie do Teodora:

„Nieraz ja się siebie pytam, czy mi tak wolno od ludzi uciekać i dla własnéj spokojności omijać dobro, jakie każdy kto idzie po drodze życia napotykać może. Ale są rozmaite powołania: ja czuję, że nie mam powołania zajmować się drugimi; sambym sobie spokojność zatruł, a im mało dopomógł. Zresztą czy przytomny, czy nieobecny, zawsze ich drażnić będę, bo przynoszę myśli, których nie chcą zrozumieć. Natchnienia, które gdyby pojęli, musieliby zupełny rozbrat z przeszłością zrobić.“

Kiedy indziéj mówi jeszcze do Teodora i do Ludwika:

Wielu ludzi utrzymuje, że rassa słowiańska jest umysłowo niższa, pamiętajcie fałsz im zadać. Jabym tak się chciał rozumu między Polakami dopatrzeć, nie tego praktycznego rozumu, co umie obrachować i korzystać, ale tego, co daleko sięga, co pojmuje przyczyny rzeczy i ich następstwa, i co jasnowidzenie do pewności proroctwa posuwa. W przyszłości lepsze i większe czasy przewiduję, trzeba tylko ludzi, kiedy się epoka zbliży. Pamiętajcie zostać ludźmi przyszłości. W mysli mojéj będę na was liczył jako na tych, co mają kiedyś oblec białą godową szatę i z palmami w ręku iść w processyi, która się ruszy ku świątyni jasnych objawień i prawd żywych.“

O Ludwiku pisze Leon:

Serce doskonałe, charakter szlachetny, jeszcze niezupełnie wyrobiony, dążenia najlepsze, choć bez wyraźnego celu; dużo miłości własnéj bez drobiazgowości; trochę nieporządnéj fantazyi. Głowa silna, nauki dużo, tylko rozmaicie pozbieranéj. W nauce kierunek poważny, ale brak sądu. Skłonność krytyczna wiele rozwinięta. Zapału więcéj z głowy, jak z serca. Surowość w życiu z dumy, z oburzenia, może

trochę z ducha sprzeciwieństwa. Wszystko doskonałe żywioły, ale którym brak spojni i pierwiastku ożywnego, brak religii.

Przytoczymy jeszcze portret księcia Artura.

Książe Artur należał do tego znarowionego pokolenia wielkich panów, które nie rozumie, jak dawną świetność znakomitego domu podeprzeć nowemi zasługami, jak herbową tarczą, wypłowiałą przez koleje czasu i wypadków, wielkiemi cnotami odzłocić. Dla niego niezrozumiałe było piękne francuzkie wyrażenie *Noblesse oblige;* wywód genealogiczny zdawał mu się na wszystko odpowiadać i tylko chodziło mu o majątek, żeby módz w jak największym swiecie błyszczeć. Pomimo, że był starannie wychowany, że nawet miał pewną dystynkcyą zewnętrzną, książe Artur wewnętrznéj podniosłości nie posiadał. Nic go na świecie po za granicami egoizmu nie zajmowało, nikogo nie kochał, a ludzi o tyle tylko szanował i szukał, o ile ich potrzebował. Dla fortuny, gdziekolwiek ją spotkał, i to jest szczególny odcień w charakterze magnata, miał bałwochwalcze uszanowanie. Dumny aż do niegrzeczności dla każdego, kto nie był mu równy urodzeniem, właściwiéj mówiąc, kto nie był od niego wyższym, bo każdego równego miał za niższego, łagodniał i grzeczniał ile razy zdarzyło mu się poznać człowieka prawdziwie bogatego. Obyczaje miał niedobre, tylko je płaszczem elegancyi pokrywał, w karty grywał zapamiętale i przy kartach nie pytał się z kim do jednego stoliku zasiada. Próżniactwo przeszkodziło u niego najpospolitszemu kształceniu się ciągłemu, to też chcąc znać, co się na świecie dzieje, zbierał koło siebie pasibrzuchów i pochlebców, drążkowych literatów i bajronizujących poetów, którzy z nim się bawili, od których się wiele dowiadywał, których nazywał swymi przyjaciółmi, jak był w dobrym humorze, a daleko odpychał w każdéj splinowéj chwili.

Wspomnieliśmy już, że w powieści Wacława Mańkowskiego są rozwlekłości i powtarzania, inny jéj jeszcze zarzut zrobimy. W kilku miejscach autor wykroczył przeciw prawidłom dobrego smaku. Niepotrzebnie zniżył się do trywialności w scenie gry w Odessie, a jeszcze niepotrzebniéj w Warszawie baletniczki na widownią wyprowadził. Są szczegóły, jakich koniecznie unikać potrzeba, żeby nie obrażać czytelników delikatnie usposobionych, o których zawsze najwięcéj uczciwemu pisarzowi chodzić powinno i jakich, jeśli się bliżéj zastanowimy, wymagalność przedmiotu nie tłumaczy.

Styl w romansie, *w kraju i zagranicą*, jest łatwy, poprawny, czasem tylko za zwięzły na historyczny sposób. Rozmowy są w ogóle dobrze prowadzone.

Jeśli porównamy tę powieść z *Karoliną*, powiemy, że w *Karolinie* było więcéj zapału i młodości, tutaj za to znać większą siłę i dojrzałość widzimy.

Z kilku powieści, o których w ciągu naszego artykułu mówiliśmy, zebrał się bogaty snopek zdań i obrazów zawsze prawie wysokością umysłową, często prawością obywatelską, niekiedy natchnieniem dojrzałych. Wolelibyśmy z poważniejszemi mieć do czynienia pracami; nie mniéj jednak z pociechą myśl naszą zastanawiamy nad ogólnemi dążnościami lekkiego piśmiennictwa polskiego. Zewsząd podnoszą się głosy dźwięcznością rozumu donośne; wróżba lepszych czasów ze wszystkich stron horyzontu tęczą świeci. Wyjątki nie odbierają nam zaufania w kierunek naszéj literatury. Nie zmarnujmy tylko słów dobrych i nauk dobrych, niech życie nasze coraz bardziéj zbliża się do stroju z natchnieniami uczciwszych z pomiędzy pisarzy naszych. Wzory nam wszędzie przed oczyma stawiają, niech te wzory nie zabawką nam będą, ale celem usiłowań i naśladowania.

## Dziewica Orleańska.

Ustęp z Dziejów Francyi
*napisał Karól Libelt.*
Poznań, Nakładem Żupańskiego, 1847.

---

Skorośmy pierwszy raz posłyszeli, że Libelt wydaje na świat książkę pod tytułem: *Dziewica Orleańska*, sam fakt przy towarzyszących mu okolicznościach już żywo wyobraźnią naszą uderzył. Obranie podobnego przedmiotu wymowniejsze jest od wszelkich oświadczeń. Jakoż bo postać więcéj nas pociągać, więcej do nas przemawiać powinna, niż bohaterka przedstawiająca w najpełniejszém urzeczywistnieniu zapał religijny i miłość ojczyzny, poświęcenie siebie i silne przekonanie, że Pan Bóg losami ludzkości wedle zasług ludzi i narodów kieruje? Obraz epoki, w któréj żyła Joanna, także na naszą szczególniejszą uwagę zasługuje. Czasy owe cechuje upadek wiary, łóżność moralna, znikczemnienie charakterów, zapomnienie obowiązków, zachwianie w pojęciach o słuszności i o godziwości; obojętność na cnotę, naukę, zasługę, nieufność jednych do drugich, nieporządek w kościele, w państwie, w rodzinach. Wśród tych dopiero żywiołów rozprzężenia pokazuje się posłanka niebios ze słowem wiary, nadziei i miłości, z poświęceniem wywiązującem się w czyn, słaba kobieta, którą łaska Boża, myśl czysta i uczucie prawdy robią silniejszą od wszystkich ludzi orężnych i politykow. Niezawodnie epoka nasza nie spadła tak nisko jak tamta, ale że się nie dobrze na świecie dzieje, pożyteczna jest przykłady historyczne rozpamiętywać, a widząc, jak Pan Bóg pomoc wtedy przysłał, krzepić się otuchą, że Opatrzność świata

nie opuszcza i z każdego zamętu pierwiastki do nowego organizmu wydobywa. Nauka jest wyraźna, nie trzeba tylko pozwolić, żeby ją słabe umysły źle zrozumiały i żeby oczekując cudu jęły o tem zapominać, że Bóg tym jedynie pomaga, którzy sobie sami pomagają i że droga obowiązków zawsze otwarta.

To wszystko doskonale Libelt zrozumiał. Miłość ojczyzny w Joannie, jéj siłę moralną, z czystości duszy i ciała pochodzącą, jéj prostotę sięgającą wyżéj rozumu, i jéj natchnienie posunięte do stopnia zachwytu, oznaczył w niepospolity sposób. Brakło mu namaszczenia, brakło współczucia jak przyszło malować religijne oblicze *dziewicy*. Pozostał filozofem, kiedy należało być poetą; zaczął się przypatrywać, kiedy wypadało uchylić czoła przed postacią poświęconą czcią wieków i miłością ludów. Libelt wykłada wewnętrzne poruszenia bohaterki wedle nauki o fenomonologii ducha; dał nam nie statue na piedestalu, ale piękny, do studium psychologicznego przygotowany przedmiot. Smak wytrawny, jaki już nie raz pokazał, powinien go był od takiéj omyłki, omyłki nawet ze względu na sztukę uchronić,

W rzeczach religijnych pisarz ten stoi zawsze na stanowisku swojéj *Filozofii i krytyki* a). Jak wiadomo, chcąc pogodzić wypadki spekulacyi niemieckiéj ze zdaniami wieszczów polskich, wskazał on w dziele, o którem mowa, za potęgi ducha naszego i ducha w ogólności, równie wyobraźnię, siłę twórczą (*wewnętrzne pochwycenie prawdy mocą bezpośredniego związku z duchem wiekuistym*) jak rozum, któremu tylko obszar poznania wymierza, wszelkiego mu samowładztwa zaprzeczając. Rozum i wyobraźnię oddzielnie wzięte uważa za jednostronności. W Polsce u większéj części umysłów przodkujących, upatruje kierunek mistyczny, a zatém wyłącznie z intuicyi i wyobraźni idący i głosi, że mistycyzm jest przejściem do

a) Dotąd w piśmie naszém z przyczyn od woli naszéj zupełnie niezależnych z *Filozofii i krytyki* sprawyśmy nie zdali. Choć późno wywiążemy się z tego obowiązku.

filozofii Słowiańskiéj, która ma znieść jednostronności. Sam odróżniając religią katolicką od jéj form czasowych, którym wojnę wypowiada, znajduje się chcąc nie chcąc na szczeblach mistycyzmu, przynajmniéj do czasu, kiedy się rozpocznie nowa przemiana; jaką przewiduje w Chrześciaństwie i nowe odpowiednie kształty się wyrobią. Wiele rzeczy we względzie pojęć religijnych za mgłą Libelt pozostawia. Nie wiemy naprzykład dotychczas, czy religija chrześciańska jest dla niego prawdą ostateczną, nie wiemy, czy i jak Bóg opiekuje się światem i wpływa na świat po za wnętrzem ducha człowieczego. Są to zadania ważne, główne, nie chcemy ich przez indukcyą rozwiązywać, żałujemy wszakże, że nam tylko tor domysłów pozostał.

Oderwanego dogmatu religii katolickiéj nigdzie Libelt nie dotyka; co się tyczy jéj czasowego oblicza, jest, ile nam się zdaje, przekonania, że od rewolucyi francuzkiéj a właściwiéj od Hegla, upadała i coraz bardziéj upada strona cudowna katolicyzmu, a za to coraz wyżéj wznosi się w sumieniu narodów moralność Chrześciańska. Co się tyczy moralności wyraźnie oświadcza, że nie pojmuje, żeby mogło być co doskonalszego nad zasady ewangeliczne, których pełnego urzeczywistnienia pragnie i spodziewa się na świecie.

To nie wystarcza. My utrzymujemy, że nie można bez przymusu o Joannie d' Arc mówić, nie biorąc religii katolickiéj tak, jak ją brała bohaterka i jak ją do dziś dnia kościelny wykład bierze, po prostu nie stojąc na stanowisku katechizmu. Libelt z całym swoim talentem, że inaczéj czuł i myślał, nie sprostał przedmiotowi, ugrzązł w systemacie, zniżył się do polemiki i choć napisał książkę zajmującą, pełną rzeczy dobrych, słów gorących i myśli potężnych, prawdziwéj historyi cudownéj dziewicy nam nie podał. I Michelet i Goerres, przewodnicy Libelta, choć Michelet nie jest także bez winy, stoją od niego wyżéj.

Dzieło Libelta jest mniéj więcéj parafrazą dziesiątéj księgi historyi francuzkiéj Micheleta i popularnéj książki

Gwidona Goerresa o Joannie d' Arc. Za Micheletem idzie chętnie nasz autor, Goerrosa rzadko się radzi. Nie zadziwia nas ta stronność. Michelet skłonny do mistycyzmu, nie przywiązany do żadnego dogmatu, do żadnego ścisłego wyobrażenia, zkąd inąd wynoszący miłość ojczyzny i uczucie narodowości do najwyższéj potęgi, niezawodnie więcéj go pociąga, jak pisarz katolicki równie żywo pojmujący miłość ojczyzny, ale dający jéj za podstawę religią i splatający te dwie latorośle tak, że kwiaty jakie wydają, jakoby z jednéj gałęzi pochodzą. Michelet musiał jednak często Libelta razić. Idąc za popędem nieporządnéj i niepomiarkowanéj fantazyi, wyszukuje on w dziejach powiązań wewnętrznych za każdym niemal krokiem. Niekiedy świetne i szczęśliwe otrzymuje na téj drodze wypadki, ale nie rzadko jego uogólniania, paradoxa i fałszywe przystósowania, obrażają trzeźwość zdrowego umysłu. Libelt, który ma przedewszystkiem rozwagę i ostrożność, pewnie się nie raz zastanowił w pisaniu, jednakże w końcu pociągnięty został do naśladowania swego wzoru nawet ze wszystkich słabych stron jego. Michelet ma naszém zdaniem nieskończenie więcéj talentu od Goerresa, którego sposób pisania wcale nam się nie podoba; myślimy wszakże, że ten ostatni lepiéj bo prościéj przedmiot pojął i tę jeszcze przyznajemy mu zasługę, że uprzedzeń naszych czasów do wieku Joanny nie przenosi.

Oprócz textu na cztery księgi podzielonego i zawierającego naprzód opowiadanie o położeniu Francyi przed ukazaniem się dziewicy Orleańskiéj, powtóre dzieje Joanny d' Arc, potrzecie jéj proces i śmierć, poczwarte i jako konieczne rozwiązanie historyą ostatecznego wyswobodzenia Francyi, jest jeszcze w książce Libelta przedmowa, która dla nas najważniejszą jéj część stanowi. Przedmowie kilka chwil poświęcimy.

Autor powiada, że ludzkość była naprzód pod wyłączną opieką Bogów; utrzymuje, że od Chrystusa nie ma Pana Boga w dziejach, spodziewa się w końcu, że

Pan Bóg wróci do historyi i nowem ją życiem wypełni. Przytaczamy jego wyrazy:

Ludzkość różnoplemienna i różnorodowa, rozrzucona na kuli ziemskiéj i sformowana w obszerne społeczeństwa i państwa, była w początkowych związkach swoich wedle wiary ludów pod wyłączną opieką Bogów losami jéj zajmujących się. . . . Wyobrażenia teokratycznych rządow najwyraźniéj wypiętnowały się na Żydach, na owym narodzie wybranym, którego historia niczém inném nie jest, jak wyrazem wiary w bezpośrednią opiekę Jehowy nad losami ludu, co wśród pogańskiego świata sam jeden pozostał wierny wyznaniu jednego Boga. . . . . Zmienia się ten stosunek po Chrystusie. Człowiek wyzwala się do wolności, wszystko działanie staje się niezawisłéj jego woli wpływem, a to wyobrażenie samowolnego ludzkiego działania przenosi się także do dziejów. Znika z nich Boskość i bezpośrednie w nich rządy Boga ustają. . . . . Ustały wieszczby, wyrocznie i wróżby ucichły Sybille i prorocy, a jeżeli się gdzie jaki prorok lub wieszcz pokaże, otacza go tylko wiara gminu. Na losy, na dzieje narodu nie wywiera dziś prorok żadnego wpływu, bo nie ma charakteru publicznego, policzon owszem do ludzi chorych, obłąkanych, a nawet oszustów. . . . . Co się dzieje w narodzie i w świecie w ogólności, z ludzkiéj woli i przez nią się dzieje, jest następstwem koniecznem cnót i wad osób u steru stojących. . . . Wedle pojęć chrześciańskich świat wprawdzie nie jest sobie samemu zostawionym, bo czuwa nad nim Opatrzność boska. . . . . To wszakże wyobrażenie Opatrzności nie przeszkadza do wolnego rozwijania się myśli i czynów . . . . Na chrześciańskiém stanowisku wyzwoloną została wola z pod bezpośredniego wpływu Bóstwa, pod którym w starożytności zostawała.

. . . . Fatum pogańskiego świata zostawiło tylko brzask słaby i dla tego nie dość wyraźnie ujęty w pojęciach chrześciańskich o dopuszczeniu i przeznaczeniu boskiém.

Daléj wywodzi, że duch ludzki skierowany został w siebie i w wieczność z uszczerbkiem czasowości i światowości.

Narody jako społeczności a zatém jako osoby moralne nie mają udziału w zbawieniu, bo nie są jednostkami ducha, ztąd dzieje narodów, jako nie wiodące do zbawienia, nie zasługują na uwagę religijną i wyjęte są z pod bezpośredniego wpływu Boga. Jest inna społeczność, w któréj Bóg mieszka, społeczność duchowa, przez wszystkie plemienności i narodowości rozlana, nie mająca rodzinnych, ani rodowych,

ani obywatelskich stosunków, bo jest jednem braterstwem, jedną rodziną Boga, jedną miłością w sobie, jest kościół.... Kościół jest wedle pojęć o bezpośrednim wpływie Boga jedyną na ziemi historyą wśród wypadków wszystkich innych narodów. Albowiem jemu dane są obietnice, jak niegdyś dana była *Abrahamowi*, że zesłany będzie *Duch Święty, Duch Pocieszyciel*, który z nim będzie aż do skończenia świata i nauczy go wszelkiéj prawdy. Podobna obietnica nie dana była żadnemu narodowi, a zatém w duchu chrześciańskim jego dzieje nie mogą być uważane za bezpośredni wpływ woli boskiéj.

Zgadzamy się, że w dziejach świata starożytnego, wpływ Boski miał bardziéj urzędowe pozory, ale czemu najmocniéj przeczymy, to, że w sumieniu ludzkości większe było uznanie tego wpływu jak teraz. Wpływ Boży w świecie zmienił charakter, stał się nie tyle bezpośrednim, objawienie w piśmie i w podaniu przechowane, stanowi w téj mierze przejście i różnicę; ale różnica na tém się tylko ogranicza, że wyobrażenie Opatrzności zastąpiło wyobrażenie rządu. Niezapominajmy, że do wyobrażenia Opatrzności przywiązuje się pojęcie łaski, a łaska działa tak w narodach jak i w pojedynczych ludziach.

Kościół katolicki i to jest jego wielka zasługa, zawsze bronił z jednéj strony wolnéj woli człowieka, przeciw *predestynacyi* czyli przeciw starożytnemu *fatum*, z drugiéj łaski Bożéj przeciw indywidualizmowi, przeciw dumie rozumu człowieczego. Łaska widoczna jest w dziejach, których opatrzny a zatem Boski charakter uznają wszyscy pisarze chrześcijańscy. Jeden z kronikarzy francuzkich dał swojéj kronice napis *Gesta Dei per Francos*. Bossuet powiedział, że w dziejach ludzkich dzieje Opatrzności wykładać należy.

Wielkie wydarzenia historyczne, noszą w sumieniu ludów charakter religijny. Wszyscy widzą bezpośredni wpływ Boga w zwycięztwie Konstantyna W., w cudownem wstrzymaniu Attyli przez Leona Ś., w nawróceniu się Chlodwiga, którego biskup z cudownéj ampułki namaszcza, w pojawieniu się aniołów u Piasta, w oślepnięciu Mieczysława. Dzieje kościoła splatają się z dziejami pojedyńczych narodów. Kościół w duchu odrębnéj na-

rodowości opiekuje się i rządzi Francyją za Merowingów, Anglią za królów Saxońskich. Z drugiéj strony Karól W., Kanut, Ś. Edward, S. Ferdynand i Ludwik S. mają charakter kapłański prawie w obec ludów swoich. Czemże jest namaszczenie królów, jeźli nie wzmocnienie ich ducha siłą idącą od Boga?

Sam Libelt przyznaje, że w krucijatach obudziło się poczucie bezpośredniéj woli Boga. My przypominamy mu jeszcze koncylija i przypominamy zastęp świętych, którzy z wieku w wiek zdają się sobie podawać urząd wykładany rozkazów Bożych. Łatwo utworzyć taki nieprzerwany łańcuch świętych promieniejących w dziejach świeckich. Ś Benedykt, Święci papieże z czasów zalewu barbarzyńskiego, Ś. Bonifacy, Ś. Sylwester, Ś. Anzelm, Ś. Bernard, S. Tomasz z Kanterbury, S. Franciszek z Assyżu, Ś. Dominik, Ś. Tomasz z Akwinu, Sta Katarzyna Seneńska więcéj mieli władzy jak królowie i więcéj jak królowie na czasy swoje wpłynęli.

Uważajmyjeszcze, żegdyby wyrazy *królestwo moje nie jest z tego świata*, miały takie znaczenie, jakie im Libelt daje, kościół przywiązywałby świętość tylko do życia askietycznego i nie kanonizowałby ludzi czynnie w sprawy tego świata i w rządy doczesnych rzeczy wplątanych. Godne jest także uwagi, że święci, którzy w rzeczach ludzkich mieli udział, większą jaśnieją chwałą jak ci co wiedli życie czysto kontemplacyjne. Niesłusznie mówi: *Inna jest świętość dziejowa, a inna kościelna.* Dzieje bez Boga wymownie nasz pisarz maluje.

Rzecz oczywista, że żadnemu narodowi nie zostało dane i nie mogło być dane zapewnienie nieśmiertelności. Narody i narodowości są z Boga, urzeczywistniają myśli Boże na świecie, ale nie są osobami moralnemi, nie są jednostkami ducha. Inaczéj trzebaby im przyznać osobistą pozaświatową nieśmiertelność, co jest *absurdum.* Narody i narodowości przemijają i pożyteczna jest żebyśmy na to pamiętali. Dopóki naród jaki ma wiedzę swojego powołania i uczucie swojéj samoistności, dopóki szanuje wszystko to, co go w jedności spaja, religiją,

język, obyczaje, dopóki żyje w nim duch miłości i poświęcenia, może być pewny swego bytu. Jeśli odbiegł od tych pierwszych i koniecznych warunków, nic go nie uratuje od zguby. Ważny jest przykład Celtów i Kambryjczyków (Kysnon) z Walii. Żadne plemie donośniéj o swojej narodowości nie głosiło, żadnemu wieszcze jego tak wzniośle nieśmiertelności nie zaręczali i cała Europa brzmiała pieśniami bardów; a jednak Celtowie upadli i za dni naszych zacierają się ostatnie ślady ich istnienia. Nie o nieśmiertelności narodu, ale o obowiązkach narodowych mówić należy. Zapewnienie nieśmiertelności kołysze dumę i usypia, wskazanie obowiązków budzi i do usiłowań zachęca.

Teraźniejszość i przyszłość tak oznacza Libelt:

Umiłowano religiją (*po rewolucyi francuzkiéj*) gorętszém sercem niż dawniéj, bo chwilowe jej postradanie droższą ją uczyniło. Bóg na nowo wstąpił do przybytku serc ludzkich, ale wstąpił i w narody. Idealna filozofia niemiecka i rządy konstytucyjne powstały na rumowiskach ośmnastego wieku; niejako Chrystus po mękach zmartwychwstały, Bóg w idealnéj i praktycznéj stronie swojéj materyalizm encyklopedystów francuzkich przerzucił się w idealizm niemiecki. . . . . Ta filozofia czysto duchowa i idealna, musiała w téj jednostronności stać się panteistyczną, atoli pokazała, pojmując Boga jako ideę, jako *absolut* duchowości, że Bóg jest wszędzie, że zatem jest i w dziejach: że historya nie jest zbiorem przypadkowości ludzkich bez celu i myśli, ale że jest rozwijaniem się ducha ludzkości, w któréj się Bóg objawia do wiedzy.

Z drugiéj strony Bóg wstąpił w narody, bo głos narodu, będący wedle przysłowia głosem Boga, przyszedł do praw swoich i wypowiada się w zgromadzeniach narodowych i prawodawczych. Dzieje będą tylko spełnieniem téj missyi, a że w niéj dysze myśl Boża, same nabiorą charakteru Boskiego i ustępować z nich będzie powszedniość i niskość osobistych tylko zabiegów i widoków. Naród sam w wiedzy tego, czego chce i do czego dąży, wedle powołania, jakie odebrał od Boga, stanie się twórcą dziejów swoich. Proroctwa ustaną, ale dla tego tylko, że się Bóg wiedzą całego narodu objawił. Historya, wedle słów jednego z naszych znakomitych pisarzy, zamieni się w historiozofią.

Dziwno nam się wydaje orzeczenie, że Pan Bóg drogę idealnéj filozofii niemieckiéj i monarchii konstytucyjnéj do dziejów powraca. Naszem zdaniem ani P. Bóg dziejów nie opuszczał, ani ludzie nigdy nie stracili uczucia obecności Boskiéj w dziejach. W opiekę Opatrzną sumienie ludów wierzyło i wierzy. P. Bóg dał ludziom słowo, najwyższe objawienie możebne na ziemi. Ludzie dążą do osiągnienia tego szczytu doskonałości, coraz bardziej rozumiejąc i coraz pełniéj urzeczywistniając wolę Bożą. To jest postęp. Ludzkość dopóty się niezatrzyma, dopóki Prawo Ewangelii nie zapanuje nad sercami i nad umysłami, a im to prawo bardziéj wsiąkać będzie nietylko w pojedyńczych ludzi, ale i w narody, im więcéj do Ewangelii zbliżać się zaczną wszystkie stósunki polityczne i społeczne, tem wpływ Opatrzności Boskiéj jawniejszy się stanie dla wszystkich. Na tym punkcie przedział między nami a Libeltem, nie jest wielki.

Co się tyczy zapowiedzenia, że historija zamieni się w historiozofią, uważam je za jedno z tych uroszczeń, których sobie nauka dzisiejsza szczodrze pozwala.

Ważną jest bardzo kwestija cudowności w każdym opisie życia Joanny. Zobaczmy jak ją Libelt pojmuje.

W przedmowie mówi w ogóle o posłannictwie Joanny:

Mniejsza o to czy wiara natchniona do widzeń objawień natężająca się, czy przekonanie jasne, pewne, niewzruszone, taką siłę ducha wywołuje, że się za sprawę duszą umiłowaną z zaprzaniem siebie samego poświęca i do korony męczeństwa ze wzrokiem utopionym w niebo uśmiecha..|..

Nic duchownego nie istnieje bez powłoczy materialnéj... Ztąd i odwieczne rządy Boga w ludzkości przez ludzi tylko objawiają się, Bóg sam stać się musiał człowiekiem, aby zbawił ród ludzki... Dla tego w ludziach i przez ludzi dzieją się objawienia, czyli te wypowiedziane przez pojęcia i nowe prawdy zdobyte na polach teoryi i praktyki, czyli też ubrane w formy cudowne widzeń, które wyobraźnia pod wpływem natchnienia tworzy. Natchnienie tu i tam jest twórcze, czyli to drogą rozumu, czy drogą wyobraźni się na zewnątrz wylewa, a natchnienie pochodzi z nieba, jest węzłem ludzkości z Bogiem — natchnieniem jego ducha w nas. Ono samo jest natury boskiéj, ale objaw jego musi przybrać formy ludzkie i czasowy na sobie nosi koloryt wieku. Do

tego to objawu czyli zmysłowego uwidomienia ducha ściąga się, co Goethe we Fauście powiedział „takim jest duch, jakim go mieć chcecie.“ To orzeczenie byłoby ateistyczne, gdybyśmy je do odwiecznego i niezmiennego zródła wszelkiego duchowego objawu odnieść chcieli; jest prawdziwe, gdy je do form zewnętrznych odnosimy. Ztąd z pojęć i wyobrażeń pogańskich czasów układały się objawienia pogańskiego zakroju, z pojęć i wyobrazeń żydowskich, formowały się widzenia patryarchów i Mojżesza, z pojęć nareszcie i wyobrażeń Chrześcijańskich, zrastać się muszą widzenia natchnionych Chrześcijan, wedle form i kształtów każdego w szczególności wieku i wyznania. Tym sposobem tłumaczą się i pojmują widzenia Joanny d' Arc.

Mówi jeszcze w ciągu historyi, przepisując prawie Micheleta:

Natchnienie ima się takiego materyału, jaki znajduje i ubóstwia go wedle wyobrażeń danych i znalezionych. Gdybyśmy znali wszystkie i najdrobniejsze szczegóły życia Joanny, gdybyśmy przed sobą mieć mogli wszystkie włókna jéj umysłu, te żywe kolory tego wszystkiego, co kiedy widziała, słyszała, pojęła i w pokarm ducha swego obróciła, przekonalibyśmy się, że widzenia jéj z tych włókien i z tych kolorów uprzędły się, czyli, że duchowe wrażenia w duchową rzeczywistość się przekształciły. Cudowność przestaje zatém być cudowną, nie jej kształty są cudownemi, ale cudowném jest samo natchnienie twórcze, źródło tych kształtów. Natchnienie bowiem zstępuje z nieba i jest natury boskiéj, bezpośrednim związkiem Boga z człowiekiem; gwiazdą świetlną jasności niebieskiéj, zatloną w ciemnicach ducha człowieczego i o tém świetle i o potędze zywotności tego światła rozbłyskują wielkie myśli, rozgrzmiewają wielkie słowa z niczego, bo z ducha powstają zdumionemu i maluczkiemu światu na podziw. Cudem istotnym jest samo natchnienie, a ludzie mali na umyśle dzieła tego natchnienia wzięli za cuda. Twór już ich zdziwiał, jakże mieli pojąć twórcę!

Libelt przypisuje jak największą potęgę duchowi ludzkiemu. U niego duch przez intuicią stawia się w bezpośrednim stósunku z Bogiem, a za pomocą wyobraźni i rozumu tworzy i kształty wywołuje. Wszakże te kształty są obłóczą jego myśli, należą do jego wewnętrznych wsobnych ruchów, zewnętrznie przedsobnie nie istnieją.

Nie magija ale poezyja stanowi dziedzinę wyobraźni. Duch może natężyć się do jasnowidzenia, do przeczucia, co się w świecie zewnętrznym dzieje. „Jak jedna osoba, mówi autor, przeczuwa nieszczęście drugiéj, z którą czy to związkiem krwi, czy przyjaźni jest połączona, tak człowiek przeczuć może nieszczęście kraju swojego; gdy go potężną siłą miłości ogarnął i całego ducha swego dla niego wytężył.“ Z tego wszystkiego widzimy, że każdego ducha indywidualnego pojmuje w całéj pełności znaczenia słowiańskiego. Dotąd dobrze; ale pytamy się, jakiż jest u niego stósunek Boga do ducha człowieczego? Intuicia łączy człowieka z Bogiem, czyż Bóg sam z siebie bez przyłożenia się człowieka objawić się temu człowiekowi nie może? Chrześcijaństwo uznaje łaskę, łaskę spływającą na ducha człowieczego, nawet bez przyłożenia się jego woli. Czy na łaskę przystaje autor? Chrześcijaństwo wierzy w cuda to jest w objawy przedsobne (objektywne), istniejące rzeczywiście. Czy przyjmuje cuda? Nie, Libelt musi i łaskę i cuda odrzucić, bo umysł jego zaplątany w formuły spekulacyi niemieckiéj, z więzów subjektywności wydobyć się nie może. My cuda pojmujemy tak, jak je pojmuje Ewangelija i gmin. Jest niejako inny świat, w mowie zwyczajnéj nazwany *niebo,* gdzie warunki bytu są absolutniejsze, odmienne od warunków bytu na *ziemi,* na naszym świecie. Bóg ziemię stworzył zrazu bliżéj nieba, od upadku człowieka dopiero związek się między dwoma światami utrudnił, wszechmocność Boża może jednak tak jak przy wcieleniu Chrystusa przełamywać szereg następstw ziemskich i z miłości dawny pierwszy stan rzeczy chwilowo przywracać. Nie naprózno wiara w cuda znajduje się u wszystkich ludów. Cuda Chrystusa stanowią część Ewangelii nieodłączną od nauki moralności. Czytajmy Ewangelią z prostotą, tam nie o przenośniach i o mytach, ale o faktach historycznych stwierdzonych świadectwem mnóstwa ludzi, przyznanych przez samego Chrystusa jest mowa. Nie ma sposobu, albo Ewangieliści i Apostołowie są oszusty, albo cuda rzeczywiście się stały tak jak je opowiadają.

Teraz jeźli chodzi o cuda w historyi Joanny, oświadczamy w duchu wyobrażeń kościoła katolickiego, że wolno w nie wierzyć albo nie wierzyć katolikom, wszakże każdy katolik powiedzieć musi, że nic w nich niepodobnego nie ma.

W dalszym ciągu Przedmowy mało się rzeczy znajdzie, na którebyśmy się z autorem nie zgodzili. Wyrzucimy mu jednak niesłuszną uwagę, że tylko lud prosty zdolny był w cud uwierzyć, kiedy sam na wielu miejscach przytacza fakta dowodzące o wpływie, jaki Joanna wywarła na osoby z wyższych klass spółeczeństwa. Takie rzeczy tchną duchem stronnictwa, a od Libelta żądamy i mamy prawo żądać, żeby stanął na polu pojednania nie nienawiści, za godło przyjął to, co jeden z poetów o miłości napisał i razem z nami wszystkich dzieci jednego kraju do pełnienia wspólnych zaczął wzywać powinności. Wzmiankę o ostatnich stronnicach przedmowy odkładamy na późniéj, a teraz przechodzimy do wskazania kilku punktów w ciągu opowiadania, w których się różnimy z pisarzem.

W jedném miejscu wspomina *sumienie państwa,* ideę państwa podnosząc do godności osoby moralnéj. Pojęcie państwa jako jednostki jest czystem bałwochwalstwem i zaród tyranii w sobie nosi. Materyaliści francuzcy i ideologowie niemieccy odmiennie rzecz orzekując zgadzają się jednak w tym punkcie. Libelt, który nie chce być ani materialistą, ani ideologiem, nie powinien ich zdania podzielać. O kilka wierszy dalej znajdujemy nową osobistość, *duch dziejów* czynnie działający (str. 95); zadziwia nas ta nieścisłość wyrażenia, bo nieprzypuszczamy, żeby chciał jedną jeszcze więcéj jednostkę duchową stwarzać. Te usterki są niebezpieczne.

Niechęć, jaką w ciągu dzieła pokazuje dla kościoła, przypomina to, co powiedział dawniéj w swoim dekalogu o *stwargłym na opokę katolicyzmie.* Micheleta, który także z uprzedzeń przeszłowiecznych wyzwolić się nie może, nietylko przepisuje, ale poprawia. I tak naprzykład Michelet pisze:

La question su procée se treuva ainsi posée dans sa simplicité dans sa grandeur, le vrai débat s'ouvrit d'une part l'Eglise visible et l'autorité, de l'autre, l'inspiration attestant, l'Eglise invisible.... Invisible pour les yeux vulgaires.

Libelt parafrazuje:

Akcya występuje teraz dopiero, gdy dziewica chroni się w niebo, w święte przysionki tryumfującego kościoła, a sąd z warowni wojującego kościoła na ziemi dosięga ją silnemi swojemi grotami. Z jednéj więc strony stawa kościół widzialny *i nieomylna powaga jego na ziemi,* z drugiéj stawa natchnienie, dające świadectwo o kościele niewidzialnym.

Znać tu wpływ prelekcyi Mickiewicza o kościele officialnym; owo mistyczne stanowisko, o jakiem wspomnieliśmy na początku, wydatniéj się pokazuje. Nie raz w ciągu czytania Dziewicy Orleańskiéj zapytywaliśmy się siebie, czy Libelta od Towiańskiéj różni co w pojęciach o religii chrześciańskiéj, do granicy praktyki religijnéj, i nie umieliśmy sobie odpowiedzieć.

Przeciwstawienie kościołów trymfującego i wojującego z powodu procesu Joanny jest oczywistą niesprawiedliwością. Przebiegły kardynał Winchesterski i dwaj biskupi francuzcy zaprzedani Anglii nie wyobrażali i nie mogli wyobrażać kościoła wojującego. Sami oni doskonale o tem wiedzieli i wbrew najprostszym zasadom prawa kanonicznego nie chcieli przystać na apellacyę do Rzymu. Przecież nawet w sądach świeckich, wyrok dopóty nie ma cechy prawności i odpowiedzialności, dopóki wszystkich się stopni sądowniczych nie przebiegło.

Już w ciągu processu księża w Ruan protestowali przeciwko rozkazom zaprzedanych prałatów. Proboszcz, któremu zalecono, żeby skrycie wiatyk Joannie do więzienia zaniósł, z całą pompą kościelną obowiązku tego dopełnił. Sami sędziowie w sprzeczność popadli, skazali Joannę jako heretyczkę, a pozwolili jéj dać kommunią. Cały proces nie kościelną ale polityczną na sobie barwę nosi: dość jednego rzutu oka, żeby się o tém przekonać. Co więcéj, z rozkazu Kalixta III. papieża wyrok Ruański został selennie zniesiony i kościół nigdy nie przestał opiekować się pamięcią Joanny i wdaniem się swojem wszystkich na jéj cześć odprawianych uroczystości uświęcać.

Tu się odnosi ustęp o mistyczności w obec kościoła. Powiada autor:

Wszelka mistyczność przedstawia tę słabą stronę, że ją można ze względu na stanowione zasady kościoła zaczepić. Jest to niejakiś zbytek świętości, który przez to samo staje się grzechem. Mistycy swoim objawieniom wierzą więcéj, niżeli naukom kościoła, przekładając głos, który się do nich z nieba odzywa, nad głos, który ich przez usta kapłana z ziemi dochodzi. Wierzą natchnieniom własném i przenoszą je nad powagę zwierzchności kościelnéj. Tymczasem kościół zarzucić im może, że objawienia ich są tylko osobiste, a jako takie ulegać powinny objawieniom całego kościoła, że Bóg, któremu się z pokorą poddają i wypełniają jego rozkazy, jest tylko Bogiem ich wnętrza, ich osobistego, eksaltowanego ducha, a nie Bogiem przedmiotowym, żywym, który jest w kościele.

Zupełnie się myli Libelt. Kościół nie zbytku świętości, ale zbytku dumy się boi. Objawieniom mistycznym nie zaprzecza, tylko ich próbuje. Wielu bardzo z pomiędzy Świętych, wielu także fałszywego natchnienia ludzi przyszło z objawieniami do kościoła. Kościół nikogo nie odepchnął, zażądał tylko za każdą razą czasu do rozpatrzenia i wypróbowania nowości. Kto nie zdołał przedstawić rękojmi cierpliwości, kim miotała niespokojna próżność, czyje posłannictwo nie było z nieba, poszedł i zwykle się rzucił na bezdroża herezyi; ale kto pokorą i ufnością dał świadectwo swemu powołaniu, zawsze uzyskał zatwierdzenie, bez którego bezpieczeństwa dla sumienia wiernych nie ma. Wyzywamy, żeby nam pokazano w dziejach kościoła jednego świętego odepchniętego, jedną myśl wielką a prawdziwą opuszczoną. Tylko o przykładach współczesnych dyskussyi nie przyjmujemy, sąd o nich tylko późniejszéj historyi z zaufaniem zostawiając. Rzecz oczywista, że objawienia pojedyńczych mistyków muszą być w zgodzie z objawieniem całego kościoła, jakżeż inaczéj przechowałaby się jedność nauki. Widzimy w dziejach objawienia, widzimy całe szkoły mistyczne po za granicami prawowierności, jedne i drugie nie wytrzymują próby czasu i trwają tylko tak długo, jak długo trwa ich powód doczesny.

Jeszcze jedno dać musimy objaśnienie. Pisze Libelt:
Wiele jest rodzajów poświęcenia i nigdy im nie brakowało męczenników. Już Horacy powiada, że ten, który się pierwszy ważył na morze i zbitym deskom powierzył życie wśród rozhukanych i niezmierzonych fali, musiał być człowiekiem z miedzianą piersią i niezwykłéj mocy umysłu. A co w nim obudziło takie poświęcenie? — sama chęć zysku. Innych wiedzie do poświęceń sława, innych ciekawość zwiedzenia cudzych krajów, jeszcze inni naukom poświęcili wszystkie godziny żywota i nad księgami i piórem wyschły ich kości. Złość nawet, zemsta i wszystkie namiętności ludzkie, miały i mają swoich męczenników. Dla tego też urok świętości tylko takim poświęceniom i takim męczeństwom był przyznawany, gdzie się człowiek za Boga i za religią poświęcał.

Były to poświęcenia się nie za sprawy ziemskie i nie za królestwo tego świata. Dla tego też wszystkie męczeństwa kościoła chrześciańskiego noszą na sobie charakter bierności, cierpienia, passyi; nie ma w nich czynu dziejowego, jest i owszem unikanie walki i doświadczeń wśród burzliwych stósunków świeckich — bo te stósunki nie miały znaczenia w kontemplacyi duchowego żywota, podawano się im z konieczności tak, jak się duch potrzebom ciała poddawał, ale i ciało i cała ta świecczyzna w nie się miała obrócić i dla tego nie warta była poświęceń. Wszystkie apologie pierwiastkowych chrześcian tchną tym duchem.

Niezawodnie zwyciężenie siebie samego i oderwanie się od tego, co pociąga na świecie poświęcenie się za królestwo niebieskie, jest wysokiem bohaterstwem i słusznie koronę świętości wyjednywa; ale jeśli potrzeba dla przykładu ułomnym ludziom, dla dodania odwagi na drodze moralnych zapasów, świętość askietyczną na świeczniku stawić, potrzeba także i kościół zawsze to zrozumiał, wynosić zasługi tych, którzy wśród spraw świata miłość i poświęcenie wyobrażali. Powiedzieliśmy już wyżéj, że ci ostatni szczególniejszym blaskiem wśród zastępu błogosławionych jaśnieją.

Żyli i w epoce Joanny wielcy święci. Odczytajmy ich dzieje. Ś. Wincenty Ferrer, ś. Bernardyn Seneński, ś. Jan Kapistran, szczególniéj ten ostatni, który tyle zasług dla Chrześciaństwa i dla Europy (budząc umysły przeciw Turkom) położył, byli ludzie czynu, zaprzątający

się stósunkami publicznemi, żyjący chwilami na dworach, niekiedy w obozach. Poświęcenie ich nie z jednéj strony było podobne do poświęcenia Joanny, brakło im tylko męczeństwa, żeby porównanie ustanowić się godziło.

Chcemy skończyć z krytyką, dla tego nadmienimy w tém miejscu o stylu autora. Libelt nigdy nie miał łatwego poprawnego sposobu pisania, nigdy wysokiego uczucia piękności języka, przejęcia się wzorami nie pokazał; ale że myśl jego daleko sięga, że często rzeczywiste unosi go natchnienie, zdarzyło mu się nieraz rzecz jaką jedynie i przejrzyście napisać. *W dziewicy Orleańskiéj* styl jest twardszy, chropowatszy i mniéj poprawny jak w dawniejszych utworach. W wyrażeniach i w opisach smak nie zawsze delikatny znaleźliśmy. Pospiech często uderza.

Pięknych ustępów, ustępów żadnym sporom nie podpadających, wielebyśmy przytoczyć mogli. Musimy się do małéj liczby wyjątków ograniczyć.

W jednem miejscu słusznie mówi Libelt:

Czasy klęsk powszechnych, bywają czasami wielkiego upadku umysłów i upodlenia narodowego. Jak w chorem ciele słabieje dusza, tak duch narodu słabieje i upada, gdy kraj moralnemi i materyalnemi klęskami dotknięty. Tylko wielkie dusze hartują się w nieszczęściu — innych ogarnia zwątpienie, podłość nie wydaje im się tak czarna, jak nieszczęście co nad niemi zawisło i okupują się z niego, gdy się podłością okupić mogą. Nędza ludu jest jego moralném poniżeniem.

W inném czytamy:

Nic tak nie upadla narodu, jak długa niewola. Nie ma pola do rozwinienia cnót narodowych, a jest codzienna sposobność do popełnienia podłości jakiéj. Obywatel postawiony wciąż między obcym panem, a własnym poddanym narodem, ma zbyt trudne i śliskie obowiązki. Łatwo mu zostać albo wiarołomnym krzywoprzysiężcą, albo zdrajcą kraju. Obłuda główną jego rolą. Poświęcenie albo hańbą, albo męczeństwem. Cnota względna przestaje być cnotą, człowiek nie mogąc albo nieśmiejąc znaleść szczęścia i zaspokojenia w duchu — pozbywa się téj szlachetnéj cechy człowieczeństwa — rdzewieje, gnuśnieje, marnieje — i materyalizm bierze górę. Biada narodowi w niewoli.

Mocno nas uderzył cały ustęp o książce *„Naśladowanie Chrystusa."* Przetłómaczył Libelt dosłownie prawie w tém miejscu Micheleta, ale myśl, którą ogłasza jako swoją, miło nam jemu przypisać. Pisze on:

Dwa wielkie dzieła natchnienia objawiły się równocześnie we Francyi w chwilach jéj zupełnego zwątpienia i ratunku: dzieło pisane *Tomasza a Kempis*, i dzieło czynu dziewicy *z Dom-Remy*. Oba nadzwyczajne i wielkie, cudowne w skutkach swoich — oba z tego samego źródła potęgę swą czerpiące — z nieprzebranego źródła miłości — oba poczęte w niewinności ducha, w nieznaném ustroniu, w nieznanych osobach — oba mające na celu szczęście ludu i kraju. . . . .

. . . . Mylą się, którzy „Naśladowanie Chrystusa" o mistycyzm posądzają, jaki się rzeczywiście w XIII. i XIV. wieku pokazywał. Najmniejszego tam nawet nie ma śladu mistyczności. Nie ma żadnych widzeń, ani objawień nadprzyrodzonych; nie ma téj bezpośredniości Boga do człowieka, jaka się w ludzkich stósunkach, a zatém w zniżeniu Bóstwa do człowieczeństwa objawia; jest raczéj bezpośredniość saméj miłości, sama kontemplacya ducha w duchu przez miłość. Był jeszcze inny rodzaj mistycyzmu, pochodzący z zupełnéj negacyi siebie, z rozpłynienia się duszy w Bogu. W takiéj jedności duszy z Bogiem nie ma już miłości. Jest to pewien rodzaj panteizmu jedności bezwzględnéj ducha, któréj szukano i do któréj dochodzono po szczeblach miłości. Ale w tém utonieniu utonęła i miłość, która z natury swojéj jest dwojcą nie jednostką. Miłować może się tylko dwojga. Autor „Naśladowania" pojął miłość w jéj prawdziwém znaczeniu. W miłości duszy do Boga nigdy dusza nie przestaje być sobą, czuje się jednostką osobną, czuje się człowiekiem pod brzemieniem stósunków, wiążących go ze światem, a z których uwolnić się usiłuje przez miłość Boga. Jéj uszczęśliwienie w Bogu na tém właśnie polega, że w nim miłuje stwórcę i dobroczyńcę swego, że czując się w Bogu, czuje oraz siebie.

Książka ta wśród upadku kościoła powszechnego i narodowego musiała wywrzeć na ludzi wpływ nieskończenie błogi i ożywić w nich ducha do nowego życia; musiała ich zagrzać nową, potężną wiarą, i usposobić do czynu, mającego się siłą téj wiary dokazać.

My także *Naśladowanie* za najwznioślejszą, za największą książkę Chrześcijańską po Ewangelii uważamy. Choć pisana dla zakonników i zakonnéj surowości reguły

podająca, książka ta omija zdala mistycyzm i jest najpraktyczniejszym poradnikiem. Kto spracowany albo smutny, kto potrzebuje ukrzepienia, rady, światła do rozproszenia mgły własnych słabości, w każdym dniu i w każdéj godzinie życia swojego, ma tam wypisaną słowami prawdziwie przez Ducha S. natchnionemi naukę, która go wzmocni i odrodzi. W jakiémkolwiek usposobieniu, w jakiéjkolwiek chwili otwiera się *Naśladowanie*, zawsze się znajdzie kilka wyrazów, z których pożytek się krzewi. Inne choćby najlepsze dzieła powszednieją. *Naśladowanie* z każdym rokiem, z dniem każdym więcéj pociąga i czuje się, jak te słowa uroczéj prostoty stają się coraz zrozumialsze, jak rosną w nieskończone zamiary. Takiéj znajomości głębokiéj serca ludzkiego żadne dzieło świeckie nie przedstawia.

Przed kilkoma laty w jedném z pism czasowych naszych sponiewierano *Naśladowanie*; szczęśliwi jesteśmy, że pisarz téj powagi co Libelt wziął na siebie staranie około przywrócenia czci i uszanowania najczystszemu Chrześcijańskiemu utworowi.

Dzieło Libelta ma cel, cel w sobie wysoki i dobry, budzić entuziazm w kobietach. Czytamy w przedmowie:

Niesłychana i niezmierna jest głębia uczucia i niepojęte jéj potęgi I wiara nic innego nie jest jeno uczucie, i słusznie powiedziano jest: miéj wiarę, a góry te przeniesiesz z miejsca na miejsce. I miłość w łonie matki jest tylko uczuciem i robi z niéj lwicę, stawającą w obronie dziecka swego. To i miłość ojczyzny jest takiém uczuciem, którém olbrzymieją siły człowieka i nic dla nich nie ma niepodobnego. Niewieście więcéj niżeli mężczyźnie dostało się w podział uczucie. Ono jest jéj ozdobą, ale oraz jéj potęgą.

Z całego serca zgadzamy się z pisarzem na oznaczenie stanowiska kobietom. W ręku kobiet więcéj jeszcze jak w ręku mężczyzn są przyszłe pokolenia; przeciw kobietom u nas nie jeden już zamach daleko widząca nienawiść wykierowała. Wszakże nie dosyć miłości Ojczyzny, żeby kobietę wynieść do całéj wysokości powołania, trzeba jeszcze religii — nie religii gubiącéj się w przestrzeni uczuciowéj, indywidualnéj, polemizującéj;

ale rzeczywistéj w dogmacie i w formie ściśle określonéj, łączącéj a nie rozrywającéj, zagrzewającéj do miłości, nie dumę łechtającéj, przychodzącéj wyraźném wskazaniem obowiązków w pomoc, nie rozproszenie wewnętrznéj siły w fantazie uprawniającéj. Na ogólnéj wierze w Boga na romansowém przywiązaniu do Chrześciaństwa nie dosyć. Słabe to podpory dla moralności i dla cnót: Miłość ojczyzny bez religii będzie tylko zapałem albo odziałaniem, niecierpliwością albo biernym oporem, nie zaś wytrwałą i pełną młodości siłą.

Jest pole, na którém się z Libeltem zupełnie spotykamy, na którém coraz częściéj spotykać się powinniśmy i będziemy się niezawodnie spotykali. Pole to obejmuje w swoich granicach moralność i wszystko to, co do podniesienia i uzacnienia ludzi prowadzi. Różnimy się i możemy różnić w wyobrażeniach religijnych, przypuszczamy, że się znajdzie jakaś różnica w naszych pojęciach towarzyskich; ale razem z nim i jednakowo z nim czujemy, że pierwsza u nas praca jest praca około podniesienia charakterów, oderwanie od materializmu, obudzenie czci dla wszystkiego co wiarą, pięknością i miłością. Znikczemnienie umysłów i charakterów to wspólna nasza obawa, ochydny materializm to wspólny dla nas wróg. Przeciwko materializmowi jako ludzie dobréj woli ręce sobie podać powinniśmy. Spór o zadania oderwane ma niezmierną wagę zapewne, wszakże jest dla nas podrzędną w téj chwili rzeczą. Nie spierać się, ale budzić entuziazm do cnoty i smak do poświęceń ludziom gorliwym dzisiaj przystało.

Z prawdziwém zadowoleniem na zakończenie naszego rozbioru przytaczamy następujący wyjątek z Przedmowy:

Od dawna był pojmowany i dostatecznie oceniony ten stan ducha, który wytęża jego potęgi przez to, że się człowiek w nim samym koncetruje i sił żywotnych na zewnątrz nie rozprasza. Ascetyzm wśród starożytnych pogan, wstrzemięźliwość Nazarejczyków i otrzebienie się dla królestwa niebieskiego, polecone przez ewangelią, nawet celibat duchownych z téj saméj wypływają zasady, któréj późniejsze nadużycia wywrócić nie potrafią. Wielkie dzieła wielkiem

poświęceniem dokonane tylko być mogą. Materyalne wieki starożytności, nie wyróżniające ducha od ciała, mieniły, iż ku temu potrzeba skupienia sił ciała, pełności nieroztrwonionych soków, w których pulsuje i elektrycznością nabrzmiewa żywot, i w tym celu ascetycznie ćwiczyli i hartowali młodzież, aby z niéj powstało pokolenie silne, sprężyste, do wszystkich poświęceń gotowe — we wielkiéj myśli narodowéj wychowane. — Wychodzili z niéj Kurcyuszowie, Scewolowie, Fabiusze — falanga nieprzełamana obrońców kraju — ojczyzny święta straż przybrana. Chrześciańskie czasy pojęły ducha w osobni od ciała. Żywot wiekuisty jest żywotem ducha, nie ciała, ztąd umartwienie ciała dla ducha. Atoli chrześciaństwo w dalszym swoim postępie pojęło, że dzieła ducha spełniają się już w tém życiu, wśród ludzkości, że i tu duch objawia się w całéj wielkości i potędze swojéj, i że ludzie, przez których się objawia i moc swoję spełnia, są przedewszystkiém ludźmi ducha. Aby być godnym takiego posłannictwa, tego bezpośredniego synostwa Bożego, trzeba zrobić poświęcenie z rozkoszy ciała, zrzec się ojcostwa człowieczego dla synostwa Bożego; w czystości życia, Bogu lub wielkiéj jakiéj myśli poświęconego, znaleść siłę i potęgę do walki z ciałem, ze światem. Pojęcia takie, któremi przesiąkały pierwsze mianowicie wieki chrześciańskie, wydały owe zastępy świętych i błogosławionych, owych niezmordowanych pracowników we winnicy Chrystusowéj, palmą męczeństwa ozdobionych. Wszakże te same pojęcia o żywotności ducha przeniesione do świeckich stósunków życia zdolne także wywołać wielkie i wzniosłe postacie dziejowe obrońców narodu, zbawców ludzkości, olbrzymich myślicieli w umiejętności, ludzi poświęceń, bo poświęcających się dla wielkich myśli, dla wielkiego celu. — W téj także żywotności ducha przedstawia nam się z onych wieków upadku dziewica Orleańska.

W czasach niedołęstwa duchowego, co dziś tak powszechnie dawa poznaki niemocy; w czasach skeptycyzmu i zachwianéj wiary w potęgi ducha, w czasach coraz bardziéj szerzącego się przekonania o panowaniu brutalnéj, materyalnéj siły, zdało się być rzeczą stósowną przedstawić historyę Dziewicy Orlańskiéj, jako szczytny meteor wielkości dziejowéj, tak jak ją przedstawili ziomkom swoim Michelet i Görres — jednym ku zasileniu, ku zawstydzeniu drugim.

Do tych słów przymierzmy, co Libelt w *Literaturze i krytyce* powiedział i co już nas, którzy dzisiaj tak wiele na obyczajowém podniesieniu się narodu zakładamy, w czasie swoim bardzo uderzyło.

Cokolwiekbądź, to pewna, że życie człowieka fizyczne, domowe i społeczne w najściślejszym zostaje stosunku z życiem jego duchowém, i że wielkie prawdy objawiają się światu przez ludzi, którzy się nietylko nauką, ale i życiem do pojęcia tych prawd przysposobili. Ludzie wielkich poświęceń i wielkich charakterów byli to zawsze *asceci* w obyczajowém swém życiu.

Podobnie trzeba być ascetą, przynajmniéj za lat nauki, aby wyjść na wielkiego myśliciela i reformatora świata. Bo na sumienie obciążone zbrodnią, na ducha skalanego ciałem i rozwiozłością natchnienie nie zstępuje.

Tak jest niezawodnie, i bodaj wszyscy o tém pamiętali: bez natchnienia nie ma nietylko wielkich ale i uczciwych spraw na świecie, a natchnienie na ducha skalanego ciałem nie zstępuje.

## Wiadomości bieżące.

Wielką mamy trudność ze zdawaniem sprawy z książek w kraju naszym ogłaszanych. Chcielibyśmy szczérze niczego nie pomijać, o lepszych dziełach mówić obszerniéj, o pomniejszych tyle, ile potrzeba do dania wyobrażenia, tymczasem autorowie i wydawcy nic nie nadsełają, a stósunki księgarskie tak są źle urządzone, że często minie rok i więcéj, zanim książka wydrukowana w Wilnie lub Warszawie rąk naszych dojdzie. Dla dzieł ulotniejszych rok jest całém życiem, większa ich część więdnieje i zapach traci w kilka miesięcy. Gdyby wydawcy lepiéj swoją własną korzyść rozumieli, staraliby się ułatwić nam krytykę literacką, która w każdym razie zajęcie i chęć do czytania obudza.

W kaplicy Turewskiéj w W. X. Poznańskiem umieszczony został w tych czasach w óltarzu obraz malowany w Rzymie przez artystę młodego polskiego nazwiskiem *Nowotny*. Ziomek nasz jest uczniem Overbecka i przejął wszystkie zalety i wady téj szkoły. Wystawił na obrazie Matkę Boską z otwartemi rękoma, tak jak na medaliku Niepokalanego Poczęcia; jéj kształt odznacza się na tle złocistego słońca. Postać jest dobrze odrysowana, ale nieco sztywna; draperija jak u wszystkich Madon Overbecka z ramion ślicznie i w prosty sposób spada; niżéj zbytecznie ją pofałdował artysta. W wyrazie twarzy upatrujemy wiele czystości, wiele świętości, ale młodość rysów raczéj anioła jak Matkę Bożą przypomina. Włosy i ręce są dziwnie delikatnéj roboty; cały krój szaty napis okola. Między wady policzymy ciężkość obłoków u stóp N. Panny. Koloryt w ogóle nie dobry, za

siny; P. *Nowotny* nie uchronił się tu wpływu mistrza, który słusznie za doskonałego rysownika ale za złego kolorystę uchodzi. Bądź co bądź cały obraz jest niepospolity, jaśnieje czystém, religijném, natchnieniem i wróży krajowi naszemu dobrego malarza.

---

Przed kilkoma miesiącami umarł we Francyi P. Valery, bibliotekarz zamku królewskiego w Wersalu, autor dobrych przewodników podróży po Włoszech i troskliwy szperacz ciekawości literackich po bibliotekach francuzkich i zagranicznych. Krótko przed śmiercią wydał ciekawy zbiór listów od i do uczonych Benedyktynów *Mabillon, Montfaucon* i Filipina *Quesnel* pod tytułem: Correspondance inédite de Mabillon et de Montfaucon avec l' Italie, contenant un grand nombre de faits sur l' histoire réligieuse et littéraire du XVII. siécle, suivie des lettres inédites du Pére Quesnel, Paris chez Jules Labitte 1846. 3 vol.

Epoka nasza często niesprawiedliwa dla przeszłości zapomina przysług, jakie nietylko w średnich wiekach, ale i od czasu tak nazwanego odrodzenia klasztory oświacie oddały. Nauka dzisiejsza o początkowéj historyi i o prawodawstwie narodów europejskich opiera się w wielkiéj części na dziełach, których mozolne badania mnichów, a szczególniéj Benedyktynów przysporzyły. Im winni jesteśmy najlepsze wydania Ojców kościoła i nie jednego starożytnego autora. Voltaire powiada: „Najgłębsze poszukiwania w wieku XVII. zrobione zostały przez Benedyktynów.“ Nazwiska Jana Achéry, Tomasza Blampin, Quirini znane są w świecie uczonym; nie tyle jednak co nazwiska Mabillona i Montfaucona. Ci obaj należeli do sławnéj kongregacyi Benedyktyńskiéj Saint-Maur, założonéj we Francyi r. 1618. i ogłosili *Dyplomatykę, Wykład Starożytności i Monumenta Monarchii Francuzkiéj.* W Mabillonie znajduje się wiele ważnych szczegółów o wprowadzeniu Benedyktynów do Polski. Dzieła te są pomnikami wszechstronnéj a cierpliwéj erudycyi. Do dziś dnia, *Dyplomatyka* szczególniéj, stoi na szczycie nauki. Bliższych szczegółów o życiu Mabillona i Montfaucona szukać należy w Historyi literackiéj kongregacyi Saint-Maur przez Benedyktyna Tassin, dziele doskonałém w swoim rodzaju. Ale dosyć listów, które p. Valery ogłasza, żeby powziąść wyobrażenie, ile dwaj zakonnicy przy nauce i pobożności mieli słodyczy w pożyciu, myśli swobodnéj i niewinnéj, współczucia dla spraw świata i zapału do pracy, zapału, który ich do końca czerstwéj starości nieopuścił. Wielką zapewne można mieć korzyść naukową z tego zbioru spostrzeżeń i wiadomości o ludziach i o pracach literackich z piętnastu ostatnich lat XVII. wieku, kiedy Ma-

billon i Montfaucon swoje podróże do Włoch odbywali, ale niemal rzeczywistszy pożytek psychologiczna strona korrespondencyi przynosi. Nam, kiedyśmy książkę zamknęli, przyszło na myśl, że człowiekowi świeckiemu nie podobna jest ani tak pracowicie naukowego życia długo prowadzić, ani takiéj pogody wewnętrznéj zachować. Jeśli go kłopoty nie dręczą i nie odrywają, to mu duma regułą niepowściągniona i ślubem nieograniczona odbiera pokój, jakim tylko wyrzeczenie się siebie samego darzy. Wielu uczonych szperaczy, nie przywdziewając habitu pozostaje bezbożnymi; Ducange autor nieoszacowanego Glossarium mediae et infimae latinitatis, zakonne życie śród świata prowadził; ale takie odosobnienie często do mizantropii prowadzi, gdy tymczasem samotność klasztorna wspólnością religijną uszlachetniona, miłość w całéj sile przechowuje. Powtarzamy, że listy dwóch Benedyktynów warto czytać, choćby dla tego, żeby się przekonać, co czerstwości, siły moralnéj, serdeczności, prostoty i rzeczywistéj swobody w duszach prawdziwych zakonników się mieści.

P. Valéry, którego nikt nigdy między pisarzy katolickich nie liczył, mówi jednak w przedmowie:

„Od czasu jak dla moich poszukiwań mieszkam niejako w klasztorze i odwiedzam samotne opactwo Monte Cassino i nasz sławny klasztór St. Germain du Prés, zbyłem się wielu przesądów. Klasztory w ogóle wydały mi się rzeczą godną uszanowania, kiedym je ujrzał ożywione pracą naukową silną i wytrwałą. Klasztory takie, jakie nam listy, które ogłaszamy, pokazują, były prawdziwemi ogniskami literackiemi, ogniskami, jakich dziś brakuje. Ztąd pochodzi ta barbarzyńska obojętność w naszych czasach dla najpoważniejszych dzieł historycznych, krytycznych i erudycyjnych i trudność do ich ogłaszania; nie ma dla takich dzieł publiczności.“

Wspomnieliśmy Ducangea; listy w zbiorze P. Valéry bliżéj nas zapoznają z tym wielkim uczonym, który do 78 lat wieku swego całą młodość umysłu i całą pracowitość zachował.

Wszystkich listów w publikacyi, o któréj mówimy, jest przeszło czterysta w trzech językach: francuzkim, włoskim i łacińskim. Wydawca dodał do nich przypiski, krótką wiadomość o pisarzach, o których się w nich wzmiankę napotyka i Spis alfabetyczny przedmiotów.

Że w XVII. wieku stósunki Polski z Włochami i Francyą były liczne, ciekawieśmy szukali, czy czego zajmującego dla historyi naszéj nie napotkamy. Nic nie znaleźliśmy ważnego. Michał Germain pisze między innemi do Porcherona r. 1685. w Sierpniu z Rzymu: „Myślę, że miasto Neuchausel zostanie wzięte, choć tu bardzo ganią opieszałość Niemców.

Słychać, że Wenecyanie dokazują, z tém wszystkiém nie można jeszcze liczyć na tuziny miast przez nich zdobytych. Polakom ciężko się będzie obronić.“ W liście Jana Durand do Karóla Bulteau z 15. Stycznia 1686. z Rzymu czytamy: „Kawaler Lubomirski wniósł do papieża prośbę o uwolnienie siebie od ślubów, chce się żenić. Jego Świątobliwość odmówił mu, mimo to postawił na swojém. Miał on jedno z naszych opactw, rodzaj Kommandoryi, zależącéj jednak od oboru zakonników. Lubomirski z przyzwoleniem króla ustąpił opactwa swemu synowcowi w przekonaniu, że obór zakonników zgodzi się z życzeniem królewskiém. Inaczéj się stało, kto inny obrany został.“ Michał Germain pisze jeszcze w Styczniu 1686. „Mówią że Turcy chcą oddać Jerozolimę, byleby z nimi pokój uczynić. Ale Cesarz chce Budy, a Polacy Kamieńca.“ W liście Kl. Estiennot do X. Bulteau z lipca 1686. znajduje się: „Przeszłéj niedzieli biskup Przemyślski mianowany biskupem Warmińskim, został przypuszczony przez papieża do audiencyi pożegnalnéj. Nic nie otrzymał z tego, co sobie życzył, ani kapelusza kardynalskiego dla biskupa z Beauvais, ani uznania małżeństwa Lubomirskiego, ani prawa mianowania przez króla na opactwa Benedyktyńskie i Cystersów, ani pieniędzy na wojnę z Turkami. Obiecano mu coś pieniędzy i niezupełnie odmówiono prawa nominacyi, ale nic się nie ułożyło i mało czego spodziewać się może.

Listy X. Quesnel, sławnego z wyobrażeń potępionych przez Stolicę Apostolską, stanowią dział osobny i są więcéj literackie jak polemiczne: Jest ich dwadzieścia.

---

Po trzydziestu przeszło latach i najrozmaitszych krytykach doczekało się dzieło Voigta drugiego wydania pod tytułem: Hildebrand, als Papst Gregorius VII. und sein Zeitalter aus den Quellen dargestellt von Johannes Voigt, zweite vielfach veraenderte Auflage. Mit einem Portrait Papst Gregorius VII. Weimar. Landesindustrie-Comptoir 1846. 3 Tal.

Od czasu pierwszego wydania Voigta biografii we wszystkich niemal europejskich literaturach imie Grzegorza wielekroć powtórzono, bo nieuprzedzone zdanie autora pobudziło tak przeciwników jako stronników Wielkiego Papieża do bliższych poszukiwań. W Anglii Greisley (London 1832), z politycznego stanowiska potępiwszy Prymat Papiezki jako największą zjednoczenia Włoch przeszkodę, gani wszystko, co Grzegorza przypomina; John William Bowden (The life and pontificate of Gregory VII. London 1840. 2. voll.) przeciwnie, w teoryi hołdując Puseya i Newmana zasadom, Grze-

gorza jako najpotężniejszego obrońcę jedności i samowładności kościoła broni i wynosi. Delécluze w swém dziele: Grégoire VII., Saint François d' Assise, Saint Thomas d' Aquin, Paris 1844, stara się utrzymać równowagę pomiędzy zbytnią pochwałą a potępieniem i zajął stanowisko bezstronne. W Niemczech, gdzie najwięcéj Voigta dzieło zrobiło wrażenia, najwięcéj się i Grzegorzem zajmowano. Pomijamy to, co Henke i Gieseler w historyi kościelnéj o Grzegorzu powiedzieli, aczkolwiek Niemcy protestanccy do nich jako teologów udają się po zdanie w rzeczach kościoła tyczących, ale podziwiać prawdziwie upór musimy, z których dla tego, że Grzegórz był papieżem i świeccy historiografowie, a im miłość prawdy wszystkie winna przytłumiać względy, do dzisiaj nie widzą w Grzegorzu męża dźwigającego na sobie kilku wieków a, nie pytając o wielkość jego powołania, świętych zamiarów i pobudek, błogich działania owoców, wołają z Viennetem: „L' Europe lui doit trois legs funestes, la querelle des investitures, la rivalité des rois et des papes, la vaine conquête du Saint Sépulcre, c' est-à-dire, siècles de schismes, de guerres civiles, de guerres étrangères et de calamités de toute espèce." — Pseudonym uczony Georg Cassander w dziele: „Das Zeitalter Hildebrands für und gegen ihn. Aus zeitgleichen Quellen" Darmstadt 1842., najobszerniéj zajął się polemiką przeciw uważaniu Grzegorza VII. w takiém świetle, w jakiém go wystawił Voigt, starając się przez krytykę źródeł dotyczących żywota Grzegorza pośrednio zbijać zdanie nieuprzedzonego biografa; również niekorzystnie osądził dzieło to Giesebrecht w wydaniu nowych do ówczesnéj historyi źródeł: „Annales Altaheuses (klasztor Niederalteich) eine Quellenschrift zur Geschichte des 11. Jahrhunderts, aus Fragmenten und Excerpten dargestellt von Wilhelm Giesebrecht. Als Anhang eine Abhandlung über die Kirchenspaltung nach dem Tode Nikolaus II." Berlin 1841. Roczniki te, z których historycy aż do 17. wieku, jak tego jasno dowieść można, korzystali, zaginęły; wydawca ułamki pozostałe zestawił na 227. stronach, przysługując się przez to niemało do wyjaśnienia czasów Konrada II., Henryka III. i Henryka IV. W dodanéj zaś rozprawie stara się dowieść z nowo wydanych źródeł, że zdanie Voigta, polegając na fałszywém uważaniu rzeczy, jest względem Grzegorza nie prawdziwe. Również nie dzielą zdania Voigta, oświadczając się surowo i cierpko: Weber w swych dziełach (Stuttgard 1834), z których pierwszy tom rozbiera dzieje Papieży aż do Celestyna III. — daléj Gurlitt i Paulus w swych uwagach do Spitlera Historyi Papiestwa, Stenzel w dziejach niemieckich za czasów frankońskich cesarzy, Sismondi w dziejach rzeczypospolitych wło-

skich, ani gruntowny zresztą Koeppen w piśmie swém: „Vertraute Briefe über Bücher und Welt, 1819. Umyślnie przytoczyliśmy szereg znakomitszych pisarzy niemieckich nieprzychylnych dziełu i sposobowi uważenia Voigta, by wykazać, jak wiele zdoła uprzedzenie, jak łatwo stwardnie na upór, którego i najjaśniejsza nie przekona prawda. Na Niemcy całe reformacya tak przeważny wywarła wpływ, iż system krytyczno-negatywny przesiąknął nawet te dziedziny, które się odeń chronić usiłują, nawet katolicyzm nabrał zimnéj krytyki i czczego rozsądku, tém więcéj działała ta dążność na dusze przychylne temu popędowi, na protestantyzm sam. Wszystko, co się tylko zbliża do synthetycznéj potęgi ducha, do gorącéj i bujnéj w siłę żywotną bezpośredności, w Niemczech nie znajdzie wielbicieli, choćby prawdą jaśniało szczerą i gorzało czystą miłością. Nie mogła więc silna dusza i natchnienie święte Grzegorza podobać się krytyce niemieckiéj, dzieło olbrzymie przez niego podjęte jeszcze przed wstąpieniem jego na Stolicę Apostolską, a dokonane w dwa nieomal wieki po śmierci, dzieło niezależności zewnętrznéj kościoła przez inwestyturę duchowną i wewnętrznéj kapłaństwa mocy przez dziewiczość celibatu nie mogło przez ważących wszystko na szali rozsądnego interesu Niemców być inaczéj pojęte jak za skutek zamiarów osobistych, dumnych, fakcyonarskich. Tam więc i prawdziwe rzeczy wystawienie nie przekonało uprzedzonych, aczkolwiek prawda tak była jasną, iż jeden z liczby krytyków samych blaskiem jéj uderzony przejrzeć nareszcie musiał. Po tak niekorzystnych recenzyach zdawaćby się powinno, iż dzieło Voigta wcale nie wywarło żadnego wpływu na literaturę historyczną Niemiec, przecież tak nie jest. Wpłynęło i wpłynęło korzystnie, aczkolwiek nie tak potężnie jak wpłynąć było powinno; a wpływ ten był podwójny. Już to najprzód zdanie o Grzegorzu przez biografią Voigta zmieniło się cokolwiek; bo widziano w nim dawniéj tylko gościa Kanossy, który dla dogodzenia osobistéj dumie upokarzał w najhaniebniejszy sposób Henryka IV., teraz nikt téj potwarzy powtórzyć nie zdoła, a, jeżeli dumę w nim widzi, kładzie ją przynajmniéj na karb hierarchicznéj roli Samozwańca i, przyznając mu wyższość myśli, na to się tylko oburza, iż ją poświęcił papizmu dążnościom, które wynosił dla tego jedynie, aby sam stanąć na jego szczycie. Małać to koncessya, ale zawsze zasługuje na uwagę, bo pochodzi z ust nieprzyjaciela, który dotąd był przywykł ze strony katolicyzmu tylko słuchać koncessyi. — Ale ważniejszy wpływ wywarło to dzieło wspólnie z Menzla Historią Niemiec i Hurtera Historią Papieża Innocentego III., zaczęto bowiem odtąd cokolwiek pilniéj zazierać do źródeł,

przekonawszy się, że historiografia dawniejsza dała się powodować dążnościom czasowym i z ciasnego zakresu stronniczych widoków wyrokowała o wszystkich wypadkach i wszystkie sądziła działania. Wszelako i bezpośrednio przyznali niektórzy chętniejsi dla prawdy katolickiéj historycy protestanccy w Niemczech słuszność Voigta twierdzeniom: Luden np. w Historyi ludu niemieckiego dzieli zdanie autora, chociaż wyznać należy, że Luden już przed Voigta I. dziełem różnił się w zdaniu o Grzegorzu z innymi historykami niemieckimi i że właśnie ta różnica uważania autorowi szczęśliwą do bliższych poszukiwań myśl poddała. Leo przecież w historyi Włoszech (Tom I. str. 459) przyznaje słuszność Grzegorzowi, mówiąc: „W saméj rzeczy trzeba być samemu nader nieokrzesanym i niskiego usposobienia umysłu, gdyby kto chciał przez względy narodowości powstrzymać się od radosnego udziału w tryumfie, jaki odniósł w zamku Kanossy mąż szlachetny nad niegodnym niewieściuchem.“ — Zdania o Grzegorzu nie pojednają się nigdy, bo mąż ten walczył o principia, które do dzisiaj poruszają cały świat; daremnie powtarzał Schiller, że historia jest sądnym dniem świata, ale historia nie ta, która się odbywa przy pulpicie na papierze, historia jak ją Bóg, Pan historii widzi i kiedyś nam przed oczy rozwinie; sądny dzień będzie najprawdziwszą lekcyą historii. Ale pocieszającą jest dla serca i umysłu rzeczą, że prawda przebija się zwolna i do serc jéj nieprzystępnych, że i protestanccy historycy przyznają po części z psychologicznego stanowiska wyższość Grzegorzowi i tak odzywa się jeden z nich w najnowszych czasach: „Czyli można szukać w duszy podłéj źródła myśli i zamiarów, jakie pojmował i przedsiębrał Grzegórz VII.? Czyli mógł duch bez energii wywołać walkę z nadzieją zwycięztwa, która wyzwała w szranki cały wiek współczesny, najpotężniejszych chrześcijańskiego świata ludzi i najgwałtowniejsze wznieciła namiętności? Czyli to znakiem drobnego krótkowidza albo raczéj najbystrzejszego przeniknięcia czasowych stósunków świata, położenia państw pojedyńczych i ocenienia osobistości wszystkich, że to właśnie wybrał do walki pole, gdzie jedynie można było odnieść zwycięztwo i że tych właśnie w wieku swym wyszukał środków, które jedynie do celu go wiodły, i że te pojął słabości spółczesnych książąt, które mu mogły jedynie służyć za stopień do wysokiéj godności, na któréj nie on, ale kościół miał stanąć? czyliż duma, wołają przeciwnicy, nie była głównym duszy Grzegorza popędem, a może nawet w stopniu pogardy godnym? — Tego historia dowieść nie może, a pewien rodzaj dumy można przypuścić bez skażenia charakteru. — Krom tego

to jest pewném, że podłe i poziomym dążnościom oddane, w zmysłowości pogrążone dusze nigdy jeszcze całego nie zdołały wstrząść świata.“ — Stósunek drugiego wydania do dawniejszéj edycyi sam autor w przedmowie tak oznacza: „Wiele rzeczy w tém drugiém wydaniu zmieniłem, wiele skreśliłem, wiele inaczéj pojąłem, na innych miejscach poczyniłem dodatki i sprostowania, ale w ogóle pozostawiłem plan pierwiastkowy i cały charakter dzieła bez zmiany, bo zdanie moje o Grzegorza życiu i działaniu w ogóle pozostało to samo. Do licznych poprawek, odmian i uzupełnień w szczegółach posłużyły mi mianowicie wyborne dzieła Stenzla, Ludena i Schlossera, którem pilnie przeglądał; bo aczkolwiek tu i owdzie na nowo do źródeł zajrzałem, brakło mi przecież przy mych obecnych stósunkach i pracach potzebnego czasu, do starannego odczytywania w tym celu kronikarzy nie używanych przed 30 laty, a odtąd dostępnych i dla tegom tylko trzymał się co dopiero wymienionych gruntownie badających historyków i podanych przez nich do historyi Grzegorza materiałów, co oświadczyć otwarcie mam sobie za obowiązek.“ Dodana jest także autentyczna korrespondencya Voigta z Klemensem Villecourt Biskupem z Rochelle, która przed kilku laty wielkiéj narobiła wrzawy (Ami de la Religion 1839. Sion 1840). — Protestanci widzą w listach Ks. Biskupa proselytizm, my acz uczciwego, otwartego proselityzmu za zbrodnię ni zarzut nawet nie uważalibyśmy, wszelako nie znajdujemy wyraźnego zamiaru w téj korrespondencyi Ks. Villecourt, widząc szczere chęci prawdy w Voigcie, podziękował mu za hołd, który prawdzie oddał; w zapale prawdziwym mienił, iż ten zwrot od negacyi będzie miał konsekwentne przeprowadzenie w całym Voigta sposobie myślenia; ale czyż godzien nagany, że nadzieja go omyliła? Błąd nieraz tak grube bielmo zarzuci na oko duszy, że i promień słonecznéj prawdy przebić go niezdoła!

Jak wielki wpływ Grzegórz wywarł na swój wiek i cały bieg czasów późniejszych, to z tego łatwo poznać można, iż pomimo tylu już prac o jego działaniu i życiu, wciąż nowe pojawiają się dzieła, wystawiające coraz z innego stanowiska tego olbrzyma dziejów Chrześcijańskich; nowe dwa dzieła co dopiero wyszły:

Gregor der Siebente, dargestellt von dr. Söltl, Professor. Leipzig. Fr. Fleischer 1847. 268 pag. 8.

Autor w przedmowie zapewnia, iż spostrzeżenia jego polegają na poszukiwaniach w źródłach dotyczących się owéj epoki, ale zapewnienie to nie sprawdza się w samém dziele, bo wszystko czerpane jedynie z listów Grzegorza, a do tych nawet nie sięgnięto po bliższą znajomość do Kodexu Waty-

kańskiego, który zdaje się w tym względzie być wielkiéj wagi; Giesebrecht, który Annales Altaheuses krytycznie wydał, ma także i tym Kodexem bliżéj się zająć. Soeltl występuje zaraz od początku jako zacięty Grzegorza przeciwnik, ale, aby zapewnić czytelnika, iż sumiennie pracą się zajął, oświadcza, że trzy razy listy Grzegorza jak najstaranniéj przeczytał w celu pochwycenia każdego słowa i każdego szczegółu mogącego wystawić dzieje i życie Grzegorza w należytém świetle. Nie przeczymy bynajmniéj, aby autor nie czytał źródeł przystępniejszych, czytał je w wydaniach starych i niekrytycznych, aczkolwiek Lamberta i Annales Romanos mógł znaleść już daleko poprawniéj opracowane w Monumentis Germaniae, nie przeczymy trzykrotnemu wertowaniu listów Grzegorza, najwięcéj używanych w téj pracy, ale łatwo przekonać się można, iż wszystkich tych dzieł użył w nierzetelnym celu, uprzedzony przeciw Grzegorzowi. Słuchajmy jak mówi o pobudkach zajęcia się tym przedmiotem: „Wielu o to się już w wiekach średnich a jeszcze więcéj w nowych czasach pokusiło, by robić postrzeżenia nad zasadami i dziełami tego męża, a że każden sądził, iż jego poprzednik nie dosyć się zbliżył do prawdy, zawsze poszukiwania ponawiano.“ — „Nie rumienią się od wstydu, uniewinniając albo co więcéj wynosząc działanie Grzegorza, które tyle hańby i zguby sprowadziło na Niemcy.“ — To więc pobudziło w oburzeniu Soeltla do pisania: „że się znaleźli pisarze, co chcieli Grzegorza wystawić jako bohatera świętego i dobrodzieja ludzkości.“ — Kto więc z uprzedzeniem o niegodziwości Grzegorza zajmuje się jego dziełami, temu nie trudno będzie znaleść do potępienia sposobności i powody, mianowicie postępując sobie z listami jego jak Soeltl. Rozumiemy stronniczą namiętność, która przy czytaniu jakichkolwiek pism weźmie słowa, zdania lub ustępy dwuznaczne, niejasne, dające się na dwie strony tłumaczyć w znaczeniu przychylném uprzedzeniu osobistemu; potępiamy wszelako fałszerstwo przekręcające w przekonaniu o inném znaczeniu słów myśli na swą stronę, a gardzimy podłym podstępem, który dla dogodzenia partyzanckim widokom umyślnie przemilcza dzieła lub słowa korzystne albo co gorzéj fałszuje text dla wystawienia rzeczy w świetle stronniczém. — Takiéj manipulacyi chwytali się pisarze protestanccy przeciw kościołowi katolickiemu, a nawet Ranke, który niekiedy zdaje się prawdy szukać, nie gardzi nią, by rzecz z téj strony wystawić czytelnikowi, z jakiéj jemu się na nią zapatrywać podoba. Oto i Soeltl daje rubasznéj takiéj zręczności liczne dowody w swojém dziele. — Na stronie 91. przytacza Reg. II. 9 i wypuszcza słowa: nihil potius quam suspectum animum

fugientes, niczego więcéj nie unikając jak dwuznacznego umysłu. Te słowa własne Grzegorza dowodzą otwartości szczeréj i prostoty jego, chyba żebyśmy to oświadczenie chcieli uważać za maskę fałszywéj obłudy; ale wtedy trudno wyrokować a nawet sądzić o jakimkolwiek w dziejach charakterze, wtedy podejrzliwość zarazi wszystkie badania, miejsce sumienności zajmie żółciowa złośliwość, która według własnych swych uczuć ceni wszystkich, sobą zadowolniona a zazdrosna na wszystko sczytne, piękne, dobre i szlachetne, co się wznieść zdoła nad ciasny zakres jéj nikczemności, czerni to, czemu hołd i cześć należy. Dzieje nie mają prawa naciągania ani przekręcania, powinny każdy czyn, każde słowo przyjąć jako nienaruszoną świętość, nie mają nawet prawa inaczéj tłumaczyć zamiarów, tylko tak, jak były pojęte i do skutku przyprowadzone w chwili wykonania. Jak zręcznie opuszczeniem jednego słowa można wywrócić myśl, dowodzi Reg II. 12. przytoczony na stronie 92. Grzegórz mówi, iżby mógł pozyskać przyjaźń, podarunki, poddaństwa, pochwałę i sławę ze strony książąt niemieckich, gdyby im zezwolił rządzić według ich upodobania, ale sądzi, iżby przez to ubliżył swéj powinności. Któżby w tém nie poznał tego szczytnego, a równie dzielnego i potężnego męża, co gardzi sławą, przyjaźnią, uległością i bogactwami, by nie ubliżyć obowiązkowi wysokiego powołania? Kto nie podziwia tego szczytnego stanowiska, które zajął Grzegórz, zwierzchnik on nad króle i pany nie w tym celu się wynoszący, by koronowane głowy widział skłonione w pokorze u nóg swych, ale podniesiony na to od Boga, by przypomniał samodzierzcom tego świata, że oni winni w myśl Bożą zawiadować losami ludów, że mają zadanie uszczęśliwiać narody, jak Bóg przykazał, a nie uciskać, jak im się spodoba? — Tak rozumieć należy zdanie przytoczone Grzegorza, gardzącego nawet poddaństwem tych książąt niemieckich — oto tego nawet Grzegórz nie pragnie, a historycy dzisiejsi właśnie tę chęć poddaństwa uległego, tę żądzę panowania Grzegorzowi zarzucają. Oto Soeltl dla tego wypuszcza to słowo „poddaństwa subjectiones“ a wtedy Grzegórz wszystkiém gardzi, ale pragnie uległości według miejsca przytoczonego. — Na następującéj zaraz stronie Reg. II, 49, Grzegórz mówi, że dotychczas Pan nie błogosławił przez jego życie Kościołowi, w czém autor widzi potwierdzenie z ust Grzegorza tego zarzutu, który mu obecnie wszyscy robią, ale Grzegórz czyni to w pokorze Chrześcijańskiéj i oddaje zarazem: „ut sperabam“ — „jakem się spodziewał.“ Te dwa słówka myśl całą o wiele zmieniają, a opuszczenia ich trudno uwolnić od zarzutu nikczemnego fałszerstwa. —

Ten sam list zawiera miejsce bardzo piękne, wystawiające sposób myślenia i religijność Grzegorza w jasném świetle, autor to wszystko opuszcza, bo się to nie stósuje do jego widoków. Ad me ipsum, mówi Grzegórz, cum redeo, ita me gravatum propriae actionis pondere invenio, ut nulla remaneat spes salutis, nisi de sola misericordia Christi — sed quia non est pretiosa laus neque sancta oratio cito impatrans in ore peccatoris; cujus est vita vix*) laudabilis et actio secularis, precor etc. — A gdy na siebie samego zwrócę uwagę, znajduję się tak przygnębionym własnéj winy ciężarem, że żadnéj nie pozostaje mi nadziei, jak tylko jedyne Chrystusa miłosierdzie — ale, że chwała Boża w uściech grzesznika nie jest wielce skuteczną, ani modła tego świętą i prędko wysłuchiwaną, czyje życie na pochwałę nie zasługuje, a czyny światowością przejęte, dla tego błagam i t. d." — Gdzie na trzech stronach tyle miejsc pofałszowanych, tam trudno przypuścić dążności poczciwe i szlachetny sposób myślenia, a całe dzieło sprawiedliwie obwinić można o złość i umyślną nierzetelność, tam jeżeliby co to erudycya mogła zjednać pobłażanie w zdaniu i dla dzieła sąd łagodny pozyskać; ale, jakeśmy powiedzieli już wyżéj, ani uczoność nie jest jego zaletą, bo źródła nie są używane w edycyach nowszych, poprawnych, gdzieby nie jedną usterkę znalazł autor sprostowaną. Nie zbywa również na pomyłkach historycznych, mniéj wprawdzie znacznych, ale potwierdzających czytelnika w zdaniu, iż książka ta, aczkolwiek rości sobie prawo do gruntownego i uczonego badania i za taki się utwor wydaje, jest raczéj zaślepionéj namiętności owocem. — O dziele Gefroerera „Das Zeitalter Gregor des VII., wkrótce bliższą podamy wiadomość.

---

Bardzo ważne do dziejów swego czasu listy Klemensa XIV. Papieża wyszły w niemieckiém tłómaczeniu pod tytułem: Ganganeli, Papst Clemens XIV. Seine Briefe und seine Zeit. Vom Verfasser der Römischen Briefe. Berlin. Duncker 1847. 8vo 74 i 403 str.

Tytuł za wiele obiecuje, bo tylko na 74. stronach jest obraz czasu Klemensa XIV., a w uwagach krótkie biograficzne wiadomości o osobach, z któremi Ganganelli korrespondował, ale listy Klemensa są prawdziwym obrazem czasu onego; miał przez długi czas styczności z pierwszymi ludźmi Francyi i Włoch tak w literackim świecie jako też w politycznych zakresach, ztąd korrespondencya jego charakteryzuje nieomal wiek cały. Listy podzielone są na trzy

*) Według Giesebrechta korektury dodane vix.

oddziały: pierwszy oddział pag. 3—296 zawiera 128 listów pisanych z klasztoru od Fra Lorenzo Ganganelli Zakonnika Minorytów i Konsultora przy Sant' Uffiizio w Rzymie od Kwietnia 1740 do Września 1759, drugi oddział pag. 299—348 zajmuje 35 listów z dziesięciu lat kardynalstwa od Września 1759 do Marca 1769, trzeci nareszcie pag. 351—403 zawiera 22 listów prywatnych a pisanych już po wstąpieniu na stolicę Apostolską i brewe dotyczące zniesienia zakonu Jezuitów z ostatnich pięciu lat życia od 1769 do 1774. Dzieje tych listów są następujące. Najpierwéj je wydał Luigi Antonio Caraccioli, Włoch żyjący w Paryżu († 1803) znajomy Ganganellemu literat, ale którego prace zapomniane od dawna. Zebrał je przyjaciel Ganganellego Abbate Giovanni Lami z Florencyi i oddał Caracciolemu już 1758.; inne dodał Mr. Cerati z Pizy, poufny Klemensa, tak że w półtora roku po śmierci Papieża wyszły pod tytułem: Lettres intéressantes du Pape Clemens XIV. (Ganganelli) 2 Voll. Paris, Lottin 1776. Wkrótce Caraccioli dodał Supplement a 1787 Paris. Royer. wyszedł drugi dodatek. Jak wielkiéj wrzawy narobiły wtedy te listy, dowodzi spór literacki owego czasu w Mercure de France, Journal encyclopédique i Journal des Sciences et de Beaux Arts, a oprócz tego wiele pism ulotnych, których krytyka zaprzeczała lub broniła autentyczności tych listów. We Włoszech wyszło wiele wydań: roku 1829. dwie we Florencyi, w Medyolanie jedna roku 1831., a ostatnia we Florencyi 1845. (Lettere, bolle e discorsi di Fra Lorenzo Gangenelli (Clemente XIV.) edizione ordinata, accresciuta, e illustrata da Cosimo Frediani). Co się tyczy ich autentyczności, to można się zgodzić na zdanie Rankego (Römischen Paepste III. 202), że listy te są w istocie prawdziwe, ale mają wiele interpolacyi, zresztą tchną jednym i tym samym duchem, trudnym do naśladowania w fałszywych pismach, mianowicie gdy idzie o postawienie się w rozmaite stósunki i okoliczności, jak to jest w korrespondencyach z wielu i odmiennego usposobienia osobami. — Rozprawa wstępna podzielona na cztery rozdziały: 1. Janzenizm i Jezuici, 2. Wiek XVIII. we Francyi i Włoszech, 3. Ganganelli, 4. Zniesienie Jezuitów. — W wieku XVIII. jak autor słusznie uważa, trzy wielkie zaszły wypadki, około których całe obracają się dzieje ówczesne, a które zarazem biegowi historycznemu przyszłości dały kierunek i ztąd do dzisiejszego czasu działać nie poprzestały czynnie; jest to rewolucya francuzka ze swemi poprzedniczemi warunkami, wyniesienie Monarchii Pruskiéj do pierwszego rzędu państw Europejskich przez Fryderyka II. i upadek Jezuitów, a że imie Ganganellego z ostatnim wypadkiem najściśléj jest połączone, ztąd wypływa

ważność jego dziejów dla historii powszechnéj. Czyny jego oceniają obecnie najczęściéj według namiętności stronniczych, bądź to wynosząc potęgę jego ducha do najwyższego stopnia genialności i otaczając nawet głowę światłem śmierci męczeńskiéj, bądź to z drugiéj strony uwłaczając jego pamięci przez nadanie charakterowi jego piętna nikczemnego służalstwa dla dworów świeckich. — Listy jego i bezstronne zapatrywanie się na wypadki inne o nim dają nam wyobrażenie; był to człowiek bardzo pięknie wykształcony, posiadał niemało wiadomości pozytywnych, łagodnych i słodkich obyczajów, przyjazny na wszystkie strony, w religii skłaniający się więcéj do czczéj moralności jak do mistycznéj gorącości ducha, ale również daleki od zimnego racyonalizmu encyklopedystów, uchylający się od trudnych zadań, ale bez potężnéj wielkości, któréj trzeba było na one czasy. Nie mógł usunąć się od pretensyi Burbonów i wykonał zmuszony w myśl ich dzieło jedyne, które uczynił, poświęcił zakon Ignacego Loyolli pokojowi, przyjaznym stósunkom z Parmą, Neapolem, Hiszpanią, Portugalią i Francyą — ale nie miał też tyle mocy, by, uczyniwszy ten krok, znieść jego konsekwencye: w najczarniejszéj melancholii, w podejrzliwości śmiesznéj resztę życia spędził i sprawdziły się słowa wymówione przy podpisaniu Brewe: Dominus ac Redemptor noster; wyrzekł wtedy: Questa soppressione mi darà la morte. Odtąd passował się ze śmiercią rok cały, w chwilach wyrzutów wołając: Łaski! Łaski! Compulsus feci! — W Narodzenie Najświętszéj Panny roku 1774. prawie nagle skonał, mówiąc: Przenoszę się do wieczności i wiem za co! —

---

Książki przeznaczone dla całego narodu są bardzo liczne, ale rzadko która odpowiada celom swego przeznaczenia, bo są to najczęściéj albo owoce spekulacyi księgarskiéj albo też prace stronnictwa i koterii; ani pierwsze ani drugie nie przemówią do ogółu i pomimo chwilowego wrażenia nie będą nigdy długo i przeważnie wpływały. Dzieła takie muszą być owocem dojrzałym prac długoletnich, wydanym przez ducha sprężystego, któryby nie stracił wśród mozolnych studiów świeżości pierwiastkowéj i umiał rezultat ślęczenia w ujmującéj a poważnéj wystawić szacie. Do takich dzieł liczymy pracę Loebella, znanego już z dawniejszych dzieł a mianowicie z udziału swego w wydawaniu historii Beckera, ogłosił:

Weltgeschichte in Umrissen und Ausführungen von Johann Wilhelm Loebel. Erster Band. Leipzig. Brockhaus. 1846. 8. maj. 2 Tal.

Jest to niejako sprawozdaniem z wszystkich prac krytycznych w historii, jakie w Niemczech podejmowano i podejmują do dzisiaj, a przez nie nabiera czytelnik jasnego wyobrażenia o wszystkich kontrowersach, tyczących się tego pola umiejętności. Podobne przedsięwzięcia, jak np. Beckera historya powszechna i Schlossera, dzieło wydane przez Kriegka, albo pomijają zupełnie krytykę i opowiadają orientalne powiastki, w dobréj wierze każąc je przyjmować za prawdę historyczną, albo też przywłaszczają sobie jakieś zdanie w krytyce i, pomijając wszystkie zdania przeciwne, ani na domysł nie wprowadzają, że można inaczéj o tém sądzić. Oba sposoby nie odpowiadają prawdzie krytycznéj: Loebell wystawia kontrowersę jasno i zręcznie również jak bezstronnie, każdemu zdaniu dodaje należyte poparcie, a, wyrokując sam na tę lub ową stronę, nie nęci pozorem czytelnika, ale przekonywa alboli też zostawia drogę otwartą do przechylenia się ku innemu zdaniu. I na tém polega główna zaleta dzieła tego, że nietylko rezultat krytyki objawia według swego przekonania, ale całą metodę wskazuje, według któréj autor do tego przyszedł rezultatu; przez studium więc tego dzieła nietylko dochodzi się do spamiętania prawdy machinalnie, ale prawda historyczna wyrabia się w nas przez sąd własny i samodzielną krytykę, aczkolwiek opuszczony ciężar apparatu uczonego nie przytłumia smaku i wyobraźni. Jest to rzadkie zjawisko w literaturze niemieckiéj, a może po chemicznych listach Liebiga i Humboldta Kosmosie jedyne dopiero; ale zdaje się, że sposób ten przystępniejszy i prawdziwéj umiejętności daleko więcéj odpowiedni — a przejęty od Francuzów coraz częściéj pojawiać się będzie tam, gdzie dawniéj przeważała i jedynie tylko miała znaczenie uczoność ciężka i niestrawna. — W tym tomie autor opowiedział dzieje starożytne aż do końca dziejów greckich bohaterów, czyli do ukończenia wojny trojańskiéj. We wstępie (str. 3—55) rozwija autor teorye stworzenia rozmaite, mówi o jedności lub wielości rass ludzkich i przedstawia pierwiastki oświaty rodzaju ludzkiego, dalekiéj jeszcze od cywilizacyi późniejszéj, gdzie robota wewnętrzna, duchowa, zwróciła się na pojedyncze życia praktycznego kierunki, ale sposobiącéj się do coraz bujniejszego wzrostu i siły, coraz potężniejszéj w rozmiarach i tęgości wewnętrznéj. — Rozdział drugi (str. 56—82) podaje charakterystykę Azyi a skreśla mianowicie bardzo naocznie naturę państwa Azyatyckiego, wyprowadzając słusznie z położenia geograficznego wnioski ważne, tłumaczące istotę i bieg oświaty azyatyckiéj. Widać, jak Rittera poszukiwania geograficzne przyczyniły się do prawdziwego pojęcia i wystawienia tych mia-

nowicie oddziałów dziejowych, gdzie więcéj chodzi o charakterystykę stanu oświaty i odgadnięcie ogólnych ruchów ludowych, jak o osoby historycznie działające a właśnie w początkowych dziejach Azyi o inną nie można dobijać się historyą. Plan autora w każdym narodzie z osobna jest taki, iż, najprzód geograficzne kraju położenie tłumacząc, przechodzi późniéj do religijnych wyobrażeń ludu, daléj polityczne stanowisko wyjaśnia, wskazując, jak to wszystko wpłynęło na umiejętności, życie duchowe i handel. Charakterystyka zaś topografii również jak dzieje starożytne posuwa się z Azyi wschodniéj coraz bliżéj do Europy i kończy się u morza śródziemnego. — Rozdział trzeci (83—131) zajmuje się Indyami i jak w pierwszym rozdziale zasady Alexandra i Wilhelma Humboldtów, w drugim Henryka Rittera przebijały się bardzo widocznie, tak tutaj korzystał autor z prac Bohlena, Lassena i nie dość jeszcze znanego w Niemczech pomimo bliskiéj z Creuzerem styczności Burnoufa. Ponieważ w Indyach o historyi starożytnéj prawie ani myśleć nie można, autor stara się mianowicie o to, by wyjaśnić stósunek pokoleń zamieszkujących zachodni mianowicie półwysep i daje krótki rys historycznego rozwoju religijnych wyobrażeń w Indyi, mianowicie jest jasno wystawione przejście z Brahmaizmu do dzisiejszego Buddhaizmu, rozkrzewienie się tegoż i sekciarstwo w najróżnorodniejszém wielobóstwie. — Rozdział czwarty (132—162) mówi o mieszkańcach starożytnego Iranu, Assyryi i Babilonii. — Poszukiwania nabierają tutaj już niejakiéjś pewności, aczkolwiek dla krytyki i koniektur bardzo wielkie pozostawiono jeszcze pole: chodzi tu o mowę Zendyjską, jéj pokrewieństwo ze staroperskim dyalektem, daléj o Zendavestę, Zoroastra, Chaldejczyków. Powieści o Ninusie, Semiramidzie i Ninyaszu w Schlossera dziejach pomijane krytyką destrukcyjną służą tutaj za podstawę badań głębszych, a jasność, z jaką autor wystawia dzieje, upowszechni rezultaty badań, jakie na tém polu poczynili Niebuhr, Müller, Movers i Hupfeld. — Fenicyanie i Kartagińczykowie w rozdziale piątym (195—188) stanowią ostatni naród, w którym nam wykład religijnego usposobienia, politycznych stósunków i przedstawienie przemysłowéj i intellektualnéj oświaty zastępuje miejsce historyi rozwiniętéj przez działające osoby i opierającéj się na żywych postaciach rzeczywistości; historya żydowska (Rozdział szósty i siódmy (str. 183—281) już inne wystawia nam widowisko. — Oczywiście, że krytycyzm niemiecki, daleki od pozytywnych zasad, szukający wszędzie rozbioru faktów i ulotniający je na myśl mystycznie ubraną i tutaj jeszcze znajduje analizy pole, ale krytycyzm autora wytknął sobie

przynajmniéj jakieśkolwiek granice, a, idąc torem Ewalda, przyszedł do pewnych, stałych rezultatów; mianowicie od Mojżesza są dzieje żydowskie pojmowane w dość pozytywnym duchu, tak że autor wyraźnie oświadcza, iż o mythach i mythologii Pisma ś. i jego podań historycznych mówić się nie godzi. Mythy powstają w historyi przez zasłanianie historycznego wypadku powłoką fantastyczną i ukrywają przez to prawdę zupełnie, albo przenoszą wydarzenia natury lub dzieła nadprzyrodzone na postacie uosobione. — U Izraelitów przeszkadzał operacyi wcielania sił przyrodzonych monotheizm czysty, z wszelkiéj obrazowości obrany, a stał na przeszkodzie powlekaniu dziejów fantazyą zdrowy rozsądek ludu i trzeźwa czystość wyobrażeń religijnych, tak że nawet w czasie przedabrahamowym, gdzie niektóre osoby w saméj rzeczy są nieco idealizowane fantastycznie, łatwo dojść żywéj prawdy. Rozdział 8—10. (str. 282—361) poświęcony historyi Egipskiéj. Żałować należy, iż dzieło Bunsena nie doszło autora jak po ukończeniu pracy i dla tego nie mogło być użyte w całości, w dodatku tylko autor na nie zwraca uwagę. Historya Egipska ma bliską ale niewyjaśnioną dotąd styczność z azyatycką oświatą, ale odłączenie od reszty Semickich ludów i klimat, jako téż topograficzne położenie kraju szczególny wyrcbiło temu narodowi charakter; to jest jasno, że dwie należy tutaj rozróżnić rasy w różnym czasie do kraju przybyłe; czarni murzyni są starymi jak w Indyach mieszkańcami, Kaukazka rasa jest późniejszą, ale przywiodła ze sobą zarody oświaty, któréj jeszcze murzyni nie posiadali, odszczepiwszy się przed jéj wzniesieniem od kolebki ludzkości. Co do oświaty, to autor swe wiadomości wziął po większéj części z Wilkinsona, do historyi posłużył mu nie mało Boeckh i Ewald, w dzieje przed Hyksosami niewdaje się z Eratosthenem, i sądzi, że Bunsen sobie pomimo wielkich zasług, położonych w dziejach Egiptu, postąpił za porywczo, porównywając Eratosthena z Manethonem i uzupełniając ich doniesienia kronikami papyrówémi; przyznaje wszelako wielką takim badaniom ważność, a nieodrzuca tak niewzględnie studiów uczonych, pracowitych badaczów, jak Schlosser w swych dziejach. Rozdział 11. (stron. 362—413) wystawia początek i wzniesienie państwa Perskiego aż do Dariusza. Zaraz na wstępie zachodzą ważne poszukiwania krytyczne, bo u Cyrusa było wiele pracy do przezwyciężenia, gdyż źródła starożytne dotąd używane, tak zupełnie inne podają nam wiadomości od odkryć nowych w źródłach historyi Perskiéj, iż trudno było pozostać w zupełnym o te zdarzenia pokoju, a wyszukanie prawdy wiele zadawało pracy. Przezwyciężył ją Loebell i nie dał nam

uczuć mozołu walki; po porównaniu bowiem dziejów Cyrusa według Starego Testamentu, Cyropedyi Xenofontowéj, doniesień Mikołaja Damascena i Herodota z jednéj, a majora Rawlinsona (The Persian cuneiform inscription at Behistun, decyphered and translated by Major C. Rawlinson, London 1846.) i Benfeya (Die persischen Keilschriften und Glossen v. Benfey, Leipzig 1846.) z drugiéj strony, oddał gładko metodę i rezultaty swych poszukiwań, tak że zaznajomił nas z kontrowersami i przysposobił do łatwego a o ile nam wyrokować w dziejach tak odległych wolno, pewnego sądu. Panowanie Cyrusa i Dariusza dokładnie a nawet ozdobnie wystawione, należą wraz z rozprawą o oświacie Persów do najinteresowniejszych rozdziałów tego pięknego dzieła. — Rozdziały 12 — 14. (str. 414 — 545) są poświęcone pierwiastkowym dziejom Greków. Po wystawieniu bardzo bystrém a jasném geograficznego położenia Grecyi i klimatycznéj natury każdéj prowincyi, wprowadza nas autor w mythologią Hellenów, a mianowicie w historyczną jéj stronę, trzymając się co do korzystania z mythów dla dziejów Ottfrieda Müllera, wskazuje potém zobopólny stósunek Pelasgów, pieryjskich Thraków i Hellenów, utrzymując, iż oświata Helleńska jest skutkiem harmonijnego w pierwiastkach działania tychże szczepów z przeważną w późniejszych czasach siłą Hellenów, którzy umieli, korzystając z obcych oświaty wpływów, utrzymać samodzielny postęp ducha i stali się przez to głównym Greckiéj cywilizacyi i kultury czynnikiem. Rzecz o Homerze i Homeridach, jako téż o powstaniu Iliady i Odyssei i ich wzajemnym do siebie stósunku opiera się oczywiście na poszukiwaniach Fryderyka Augusta Wolfa, lubo w podrzędnych kwestyach myśli autora oddalają się nieco od zdań mistrza nowszéj filologii. Zdaje się być zdaniem autora, lubo nie masz rzeczy dostatecznie rozstrzygniętéj, że poeta, który napisał Odysseę, jest Homerem, któremu dla pierwszeństwa pomiędzy innymi rhapsodami i Iliadę, poemat dawniejszy i śpiewem ludu wielekroć przekształcony, przypisano. Od strony 545 do 604 następują nareszcie uwagi dla uczonych z apparatem, którego nie mógł mieścić do textu, chcąc jasność myśli i piękność języka zachować, a którego opuścić nie był powinien, aby usprawiedliwić tu i owdzie zdanie odmienne od opinii uczonego świata, do którego go głębsze spowodowały studia. Książka ta zyska wielką wziętość, bo jest pięknie a gruntownie napisana; takie dzieła przysposobiają ogółowi narodu drogę do tajników, do których tylko szczupłe grono uczonych ma przystęp, i jest prawdziwéj oświaty dźwignią potężną.

---

W Wrocławiu u Maxa wyszła broszura (pag. 208) pod tytułem: Briefe eines Deutschen über Galizien, któréj celem jest zbić zarzuty względem nieprawego posiadania Galicyi przéz Austryą, zaniedbania jéj od czasu okkupacyi i bezwładnego dozwalania gwałtów w czasie zajść ostatnich. O ile się przedsięwzięte zadanie powiodło, nie trudno odgadnąć; wypadki zaświeże do krytyki, a trudno sine ira et studio zdanie o pisemku objawić, które każdą stroną namiętności pobudzić zdolne.

---

Dr. Kurd von Schloezer ogłosił broszurę w Berlinie, w któréj wyjaśnia stósunki najdawniejsze Rossyi do Szwecyi i Carogrodu. Tym dwu źródłom przypisuje cały tok dziejów Rossyjskich, mianowicie polityczną i religijną oświatę i jedność. Wystawia na wstępie więcéj podług wniosków jak z doniesień historycznych stan oświaty tychże plemion koczujących przed Ruryka zawojowaniem. Ten nasamprzód wróg Finów i Sławian był ochroną późniéj przeciw napaściom Duńczyków, a, zjednoczywszy wszystkie plemiona w patryarchalnym stanie żyjące pod berłem monarchiczném, stał się ojcem politycznéj jedności, jak chrześcijaństwo od Carogrodu przyniesione dało fizycznéj massie jedność narodową. Rozprawa ta sięga przez dwa wieki aż do środka jedenastego wieku; ale cała osnowa jest więcéj zręczną kombinacyą i wnioskowaniem z analogii innych narodów, jak dziejowym wywodem, opartym na rozległych pracach po źródłach samych, a takie nam tylko prace mianowicie w czasach odległych przydać się mogą.

---

Dr Neigebauer dawniejszy Konsul generalny Prus w Multanach i Wołoszech a znany w Niemczech z lekkich prac o Grecyi i Włoszech, wydał statystykę legacyi Papiezkich pod szumnym tytułem:

Der Papst und sein Reich oder die weltliche und geistliche Macht des heiligen Stuhls. Leipzig, Arnold Ruge. 1847.

Jest to praca bardzo powierzchowna i prędka, w któréj autor, lubo usiłuje zachować bezstronność, na każdéj stronie dowodzi nietylko uprzedzenia, ale nadto i fałszywego pojmowania wszystkiego, co kościołowi katolickiemu jest właściwém; stanowisko autora nie wynosi się nad zwyczajną statystykę liczb, a chcąc ten szkielet tablic i geograficznych wiadomostek zapełnić, zbiera anekdoty, powtarza legendy, cytuje gawędy i przeplata na końcu swe notatki pozbierane porównaniami z stanem rzeczy w Prusiech. — Jak prędką była praca, dowodzi tłumaczenie władzy: *presidenza delle armi* niemieckim tytułem: *Der Stab der Armen*. Całe dzieł-

ko dzieli się na dwie części: pierwsza opisuje władzę Papieża jako monarchy politycznego (1—278), druga bardzo miernie podaje statystykę katolicyzmu w ogóle i uważa Papieża jako głowę kościoła (279—409). Ktoby przecież szukał statystyczynych wiadomości o legacyach, znajdzie tutaj dość szczegółowe wykazy stanu obecnego państwa kościelnego.

---

Wyjdzie wkrótce Codex diplomaticus fuldensis w Kassel u Teodora Fischera. Wydawcą jest znany już ze swego dzieła: Traditiones et antiquitates fuldenses Dr. Dronke, Direktor Gimnazyum w Fuldzie. Kodex ten zawierać będzie na 60 arkuszach in 4to. wszystkie donacye, papiezkie przywileje i królewskie exemcye od fundacyi klasztoru sławnego aż do roku 1215. Czerpał wydawca 1) z oryginalnych dyplomatów, 2) z chartularium zawierającego donacye nadreńskie i 3) z Kodexu Eberharda. Dyplomata mają być wydawane pisownią dawniejszą bez zmian i w całkowitości. — Całe dzieło wyjdzie w czterech poszytach i ma kosztować 6 Talarów.

---

Umarł w Paryżu Aimé-Martin, autor znanego bardzo dzieła o *Wychowaniu Matek rodziny* a raczéj o kobietach. Aimé Martin był uczniem Bernardina de St. Pierre, którego *Paweł i Wirginia* dotąd mile się czyta. I mistrz i uczeń wyznawali zasady uczuciowéj filozofii, zbliżającéj się do chrześcijaństwa w rzeczy zasad moralnych, w dogmatach lóźniejszéj, żadnych więzów ani kościoła, ani szkoły nie przyjmującéj. Jego książka mieści wiele uczciwych, szlachetnych rzeczy, ale nie podaje takiéj zdrowéj nauki, z któréjby poszła tęgość moralna. W czytaniu bardzo przywiązuje. Aimé-Martin należał czas jakiś do tego kółka Lugduńskich literatów, z którego wyszli Ballanche, Ampère, a w późniejszych czasach Ozanam i Victor de la Prade, kółka bardzo zacnego i odznaczającego się nietylko umysłowem wykształceniem, ale i godnością moralną.

---

Autor *Pieśni o ziemi naszéj* napisał następujący wiersz do Liszta w czasie jego pobytu w Galicyi. Nie jesteśmy wielbicielami bezwarunkowymi Liszta, wszakże uważamy w nim niepospolitego artystę i cenimy jego dobrą wolę dla naszego kraju. Wiersz sam w sobie ma zalety, które sprawiają, że go bardzo chętnie czytelnikom udzielimy:

Rzadki gościu na téj ziemi,
Rzadszy pośród nas!
Ty z pieśniami natchnionemi
Nam przybywasz w czas.

Na téj ziemi nam zaświeci
Rzadko pełny kłos,
I tak rzadko nas doleci
Z Nieba prawdy głos!

A nas przecie tam do nieba
Ciągnie, że aż dziw,
A nam przecie tak potrzeba
Kwiatu z owych niw.
By przechować tutaj skrycie
To, co Bóg nam dał
I co rozsiał po błękicie
I w Twe pieśni wlał.

Mistrzu tonów, natchnień Synu,
Coś w pieśń bożą wrósł!
Wieńce Mirtu i Wawrzynu
Cały świat Ci zniósł.
To, co inni sztuką głoszą,
Dla nas prawdą tam,
Co szczęśliwym jest roskoszą,
To pociechą nam.

W nas też ciernie tak utkwiły,
Że na gody Twe
Niesiem tylko kwiat z mogiły
I braterską łzę.
Tam u góry Twoje tony,
Spłyną z naszą łzą;
Myśmy smutni — Tyś natchniony,
Bóg zrozumie to.

## Spis rzeczy.



Redaktor Dr. Szafarkiewicz.